

NIE WIDUJĄC GWIAZD

AGATA PIECHOTA



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

AGATA PIECHOTA

NIE WIDUJĄC
GWIAZD

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Agata Piechota
Nie widując gwiazd

ISBN 978-83-8116-158-9

Copyright © by Agata Piechota, 2017
All rights reserved

Redaktor
Ewa Krawczyk

Projekt okładki i stron tytułowych
Izabella Marcinowska

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.
amajewska2@gmail.com -->

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Wszystkim tym, którzy większość życia spędzają w swojej głowie. Czasem
warto z niej wyjść

*żyję nie widując gwiazd
mówię nie rozumiejąc słów
czekam nie licząc dni*

aż ktoś przebije ten mur

Rafał Wojaczek

Rozdział I

W zależności od przyływu odwagi i pewności siebie raz na więcej nas stać, a raz na więcej zasługujemy. Piętrzące się niczym Fudzi z kartonu, zaschniętej mozzarelli i przypalonej kukurydzy puste pudełka po taniej pizzy mi świadkiem, że jestem właśnie w tym drugim, parszywym nastroju. Zamiast raczyć się butelką schłodzonego moët & chandon w towarzystwie bruneta z IT, który od jakiegoś czasu patrzy mi w oczy o wiele dłużej, niż korporacyjny *small talk* wymaga, dzierzę w dłoni kieliszek whisky. Zdecydowanie nie jest to kilkudziesięcioletnia single malt. Nie przeszkadza mi to jednak zapomnieć, który z kolei raz przechylam butelkę, by bursztynowy płyn dosięgnął wysokości dwóch palców. Cały świat skurczył się do bezwiednego, powolnego obracania szklanego naczynia — jedynej czynności aktywującej mózg, dzięki której nie tracę pewności, że to ja siedzę tu, gdzie siedziałam.

Coraz trudniej mi się oddycha. Kładę się na dywanie, by powstrzymać drżenie swojego ciała. Obezwładnia mnie świadomość, jak ogromny wysiłek wkładam w utrzymanie wszystkich jego części w całości. Czuję, jak każdy centymetr sześcienny, każdy kawał mięsa pragnie żyć własnym życiem. Jak gdyby ktoś na siłę poskładał mnie z nieprzystających fragmentów materii.

* * *

Tyle rzeczy co noc tracimy, by odzyskać je tuż przed wschodem słońca. Tak właśnie dzieje się na przykład z moją pewnością siebie. Każdego ranka wkładam ją jak pancerz, twardniejący z każdą kolejną porażką, ukrytym drżeniem głosu, łzą zatrzymaną w połowie drogi. Czasem przyłapuję się na

tym, że zaczynam wierzyć, iż właśnie taka jestem naprawdę. Otwarta, zdystansowana, świadoma swojego miejsca na ziemi. Najbardziej liczy się jednak to, że większość osób, które spotykam na swojej zawilej drodze, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Jest poniedziałek, ósma rano. Zaspiane słońce nieśmiało rzuca na ziemię różowawą poświatę. Lekki wiaterek orzeźwia mnie, karmiąc niespodziewaną porcją energii. Przez noc nad miastem szalała burza, więc większość mieszkańców wciąż siedzi w przytulnych domach, nie wychylając nosa na zewnątrz. Idę, a stukot moich obcasów, nie znalazłszy konkurencji, niesie się echem po całym osiedlu. Mam wrażenie, jakbym była jedyną uczestniczką jakiegoś dziwaczego pochodu, bo popękany, betonowy chodnik pokrywa konfetti z płatków kwiatów, które wiatr pozrywał z drzew. Ogromne krople deszczu kapią z ich gałęzi prosto na moją głowę, studząc myśli.

Wchodzę do biura ze spuszczonego wzrokiem, pragnąc jak najszybciej znaleźć się przy swoim biurku i rzucić w wir pracy. Dziś szczęście ma jednak widocznie coś ważniejszego do roboty niż sprzyjanie mi, bo po zrobieniu zaledwie kilku kroków zduszam westchnienie, gdy z nieeleganckim impetem wpadam na mężczyznę z naręczem teczek w dłoni.

— No, no, cóż za przyjemne spotkanie! Dzień dobry. Nie spodziewałem się, że będę trzymał dziś w objęciach tak piękną damę. Wolne weekendy ci służą, wyglądasz zjawiskowo! — Błyska w moją stronę rzędem śnieżnobiałych zębów.

— Widzę, Robercie, że nienaganne maniery nie opuszczają cię nawet w poniedziałkowy poranek. Twoja żona to szczęściara. — Odpowiadam szczerym uśmiechem. Muszę przyznać, że niespodziewany komplement, choć opierający się na konwencjonalnej grze, skutecznie poprawił mi humor.

Mówimy sobie na ty, tak jak niemal wszyscy pracownicy kilkunastopiętrowego wieżowca, choć oczywiście o wiele prościej byłoby

zwracać się do siebie per „pan” i „pani”. W pierwszych tygodniach pracy musiałam się posługiwać karteczkami, by nie pogubić się w morzu imion nowo poznanych osób. W szufladzie mojego biurka wciąż można znaleźć rozrysowany plan budynku z wszystkimi pomieszczeniami i zajmującym je personelem. Na niebiesko wpisywałam mężczyzn, na zielono — kobiety. W nawiasie umieszczałam ewentualne cechy szczególne, ułatwiające rozpoznanie towarzysza podróży windą lub spaceru długim korytarzem. Chwytałam się wszystkiego, zaczynając od charakterystycznego makijażu lub fryzury, skończywszy na intrygującym sposobie poruszania się i specyficznej artykulacji głoski „r”. Podkreślenie oznaczało stan małżeński, pytajnik — brak danych. Stworzenie takiej legendy doradziła mi Ida, najlepsza koleżanka ze szkoły średniej, dzięki której uniknęłam wielu *faux pas*.

Choć nie brakuje tu zarówno pięćdziesięciokilkulatków, jak i dwudziestoletnich praktykantek, po przekroczeniu progu biurowca wszyscy stają się kolegami. Dzięki temu ma być nam łatwiej przejść przez stresujący tydzień pracy. Inna sprawa, że w większości przypadków jest to zwykła gra pozorów, równie nieszczerą jak żywa konwersacja z sąsiadką o dającej w kość pogodzie. Nasza „przyjaźń” ogranicza się do niezobowiązujących pogawędek w kolejce do ksero lub przy ekspresie do kawy. Po opuszczeniu budynku na nowo stajemy się nieznajomymi.

Docieram do swojego stanowiska bez kolejnych przygód. Siadam w fotelu i naciskam przycisk, po czym zamykam oczy, by wykorzystać ostatnie sekundy spokoju, nim ekran zapełni się dziesiątkami maili. Chwilę później na ziemię sprowadza mnie czterdzieści siedem listów. Dokładnie tyle osób pomyślało o mnie w miniony weekend. To całkiem miłe, nawet jeśli charakter otrzymanych przeze mnie komunikatów dalece odbiega od towarzyskiej pogawędki.

Kilka minut później orientuję się, że nawet i od tej reguły istnieje mały

wyjątek. Widząc dramatyczny nagłówek wiadomości od Idy, która uparcie korzysta z mojego służbowego adresu, wybucham głośnym śmiechem. Treść maila napisanego przez dziewczynę brzmi następująco:

Zaginęła Jagoda Szewczuk

Brunetka, zielone oczy, 166 cm wzrostu.

Ostatni raz widziana 30 czerwca 2008 roku.

Miała na sobie czarną spódnicę przed kolano (skądinąd okropnie poszerzała jej biodra), białą bluzkę z dekoltem w serek i śmiesznymi rękawami (których fenomenu do dziś nie potrafię zrozumieć), skórzane sandały na niskim obcasie i czapkę absolwenta oraz świadectwo maturalne w dłoni. Poszukiwana ona oraz jej nadzieje, marzenia i aspiracje.

Pogrążeni w rozpacz znajomi proszą o kontakt osobę obecnie przebywającą w jej ciele.

Przyjaciółka regularnie obrzydza mi pracę na etacie, wykorzystując każdą sytuację, by mi dogryźć. Sama pod koniec studiów ruszyła z własnym biznesem, który z każdym kolejnym rokiem przynosi coraz większe zyski. Ostatnio mogła sobie nawet pozwolić na zatrudnienie asystenta, dzięki czemu ma więcej czasu na obmyślanie strategii marketingowej i pozyskiwanie kolejnych kontrahentów. Dobrze, że natura obdarzyła ją niewinnym wyglądem eterycznej blondynki, w innym wypadku o wiele trudniej byłoby jej zdobyć klientów. O ile Ida stanowi doskonałą szefową dla siebie samej, o tyle jej przebojowy charakter i nieumiejętność pójścia na kompromis sprawiają, że o wiele gorzej radzi sobie z pracą z ludźmi. To dziewczyna, która zawsze bierze sprawy w swoje ręce i ma problem z tym, żeby dać je komuś potrzymać chociaż na sekundę.

Ja jednak nie mam tyle śmiałości co ona. By osiągnąć sukces, bardziej niż na szczęście muszę liczyć na ciężką pracę. Skupiam się więc na nadrabianiu zaległości w korespondencji, kręcąc głową z uśmiechem, który nie schodzi z mej twarzy jeszcze przez kilka godzin.

* * *

Gdy wreszcie udaje mi się wyrwać z czeluści papierkowej roboty, choć to wytarte wyrażenie nie jest w stanie oddać ogromu wysiłku włożonego w zażegnywanie wszelkiej maści branżowych kryzysów, dochodzi dziewiętnasta. Już dawno przestałam się łudzić, że ośmiogodzinny dzień pracy i w miarę przyzwoite życie idą ze sobą w parze. Nadgodziny są moimi najlepszymi przyjaciółmi, odkąd w zeszłym roku zdecydowałam się wyprowadzić od Kaśki.

Na początku współdzielenie mieszkania nie było aż takie złe, ale z czasem wyczerpało mnie psychicznie. Zresztą już na początku studiów wiedziałam, że to nie jest coś dla mnie. W trzyosobowym pokoju w akademiku wytrzymałam zaledwie rok. Do dziś śni mi się po nocach, mimo że już od kilku lat mam w kieszeni dyplom absolwenta uniwerku — ze średnią ocen cztery osiemdziesiąt siedem, jak gdyby wносиło to cokolwiek do tematu egzystencji przypominającej niekończącą się wycieczkę szkolną. Brakowało tylko łóżek piętrowych i przymusowej integracji po wieczornym posiłku.

Tak oto, na drugim roku studiów, zamieszkałam z Kaśką. Gdy znalazłam ogłoszenie w internecie, nie wahałam się nawet przez sekundę, mimo że decyzja ta wiązała się nieodłącznie z podjęciem dorywczej pracy. Miałyśmy swoje maleńkie, ale własne pokoje, aneks kuchenny połączony z korytarzem i czymś na kształt salonu oraz łazienkę z dużą wanną i zapierającym dech w piersiach widokiem na miasto. Okazało się, że trafiłam na całkiem fajną dziewczynę. Czasem wyskakiwałyśmy do studenckiego kina — w poniedziałki

bilety kosztowały tylko dziesięć złotych, a później przyrządzałyśmy razem zapiekankę ziemniaczaną, pijąc tanie wino. Kiedyś, gdy zabrakło prądu, siedziałyśmy w kuchni do samego rana przy waniliowych świecach z Ikei, dzieląc wszystkich ludzi na dwie grupy. Jedzących popcorn z solą albo karmelem. Śpiących na plecach lub na brzuchu. Myjących zęby przed prysznicem lub po nim. Nastawiających jeden lub kilka budzików, by nie spóźnić się do pracy. Wychodzących z domu bez śniadania albo makijażu.

Było całkiem w porządku. Do czasu, aż Kaśka poznała Mężczyznę Swojego Życia, który coraz częściej nocował na kanapie w przestrzeni nazywanej przez nas eufemistycznie salonem. Skończyły się beztrioskie wieczory, wypełnione śmiechem i fantazjami na temat naszych byłych lub niedoszłych facetów. Każdego ranka Kasia — już nie Kaśka — ćwiczyła jogę, robiła zakupy w pobliskim warzywniaku i odkurzała mieszkanie. Przestałam czuć, że to wciąż moje miejsce, dokładnie w momencie, gdy moja współlokatorka porzuciła wesołą, bawełnianą piżamę w żyrafy na rzecz satyny i koronek.

Kilka dni później, wracając z pracy, natknęłam się na Idę, koleżankę ze szkolnej ławki. Bezwiednie wpadłyśmy sobie w ramiona, by po chwili odsunąć się z zażenowaniem. Minęło tyle lat. Obiecałyśmy sobie, że będziemy do siebie regularnie dzwonić, ale chyba żadna z nas nie łudziła się, że licealna przyjaźń będzie znaczyła cokolwiek po opuszczeniu murów szkoły i wypłynięciu na szerokie wody. W moim przypadku oznaczało to studiowanie marketingu, w przypadku Idy — filologii angielskiej.

Od wymienienia zdawkowych uprzejmości przeszłyśmy do swobodnej rozmowy, podczas której okazało się, że w budynku naprzeciwko mieszkania Idy zwalnia się przytulne lokum. Była to klitka o niskim standardzie w starej kamienicy, mającej odwagę stać w pobliżu nowo wybudowanych apartamentowców. Czynnosc był jednak na tyle niewysoki, że uznałam to za znak z niebios i już po kilku tygodniach byłam sąsiadką Idy.

Jako że dziewczyna prowadzi własny biznes, jest w swoim domu zaledwie gościem. Zważywszy na to, że spędza poza mieszkaniem jeszcze więcej czasu niż ja, by doglądać firmy, to nie ja powinnam narzekać na nadgodziny. Mimo to Ida uparcie powtarza, że w przeciwieństwie do mojej jej praca jest przyjemnością, która daje jej nie tylko satysfakcję, lecz także zadowalające dochody. Cóż, z tym argumentem nie sposób dyskutować.

Pracować w poniedziałkowy wieczór jest jednak zbrodnią, więc zbiegając ze schodów biurowca, dzwonię do przyjaciółki.

— U mnie czy u ciebie? — pytam, jak gdyby komfort przebywania w średnio urodziwych trzydziestu siedmiu metrach kwadratowych dało się porównać z przestronnym, oszklonym apartamentem na jedenastym piętrze.

Rozpinam ostatni guzik koszuli i wyjmuję szpilki z włosów, pozwalając im opaść łagodnymi falami na ramiona. Czeka mnie dwudziestominutowy spacer.

* * *

— Znowu piłaś? Boże, nie odpowiadaj... — Ida przytula mnie, głaszcząc po włosach jak niesforną nastolatkę. Przez moment wydaje mi się, że widzę zrozumienie w jej oczach. Musiałam jednak pomylić to z pożałowaniem dla mojego opłakanego stanu, gdyż chwilę później dodaje: — Śmierdzisz gorzej niż przepełniony autobus w noworoczny poranek! Jadłaś coś w ogóle?

Uśmiecham się z zawstydzeniem, opierając głowę o framugę drzwi.

— Rusz się — mówi i wzdycha zniecierpliwiona. — Porozmawiamy, jak weźmiesz porządny prysznic.

* * *

Podwójne espresso i pełny talerz parującego penne z pesto później siedzimy na miękkiej, skórzanej sofie w salonie Idy. Mam na sobie puchaty, kremowy szlafrok. Mój własny, leżący na wszelki wypadek w jednej z jej łazienek.

Podobno ludzie, którym się udało w życiu, mają więcej niż jedną.

Opieram brodę o podkurczone kolana, obejmując je ramionami. Skubię bezwolnie skórki wokół paznokci ze wzrokiem wpatrzonym w obraz, który Ida kupiła w zeszłym roku na eBayu za niemałą fortunę. Podobno to reprodukcja dzieła znanego białoruskiego artysty, Leonida Afremova. Ognista feeria barw uderza mnie z całą swoją intensywnością. Trzeba przyznać, że dziewczyna ma niezły gust.

— Niech zgadnę, przesiedziałaś cały weekend w domu, oglądając po raz setny ten sam serial, osobiście obstawiam *Przyjaciół*, zamawiając jedzenie na dowóz i wlewając w siebie tani alkohol? — Z zamyślenia wyrывa mnie oburzenie przyjaciółki. — Błagam, skończ wreszcie tę żalobę!

Patrzę na nią nieobecny wzrokiem, zapominając nawet o tym, by mrugać. Tyle razy już to słyszałam, że jej tyrada nie robi na mnie najmniejszego wrażenia. Tymczasem Ida kontynuuje, nie czekając na moją odpowiedź.

— Kotku, obudź się! Wyjdź do ludzi. Jesteś cudowną kobietą i to, że jakiś idiota, którego przez pięć lat miałaś wątpliwą przyjemność nazywać swoim facetem, ma problemy z hierarchią priorytetów w życiu, nie oznacza, że do końca swych dni masz się zadręczać z tego powodu.

„Może powinnam była rzucić wszystko i z nim pojechać...” — myślę, choć chwilę później okazuje się, że powiedziałam to na głos.

— Wszystkim nazywasz tę kiepsko płatną, odmózzającą harówkę w korpo i klitkę niewiele większą od mojego salonu?! — W głosie Idy słychać coraz trudniej skrywaną irytację.

— Po pierwsze to nie jest korpo, tylko jedna z większych agencji marketingowych w kraju, a po drugie wcale mnie nie pocieszasz — mruczę.

— Bo ty nie potrzebujesz pocieszenia, tylko solidnego kopa w tyłek! Nie zabraniam ci pić i analizować swe niezbyt udane, podkreślam, wyłącznie z własnego wyboru, życie, ale błagam cię, rób to przynajmniej w jakiejś

porządnej knajpie. — Uśmiecha się i już wiem, że knuje coś niedobrego. — Koniecznie z nieziemsko przystojnym biznesmenem u boku, który właśnie przyszedł opijać kolejny rozwód i byłby wielce ukontentowany, gdyby taka ładna, młoda kobieta podniosła go na duchu, towarzysząc mu w sączeniu potwornie drogich drinków...

Śmieję się, kręcąc głową z dezaprobatą. Ach, ta Ida. Zupełnie nie wie, co dla mnie najlepsze, ale przynajmniej potrafi poprawić humor jak nikt inny.

Gdy rok temu cały mój świat legł w gruzach, jako jedyna nie uzalała się nade mną. Po tym, jak mój narzeczony z zaskoczenia poinformował mnie o swoim wyjeździe na stałe do Chicago, zamknęłam się w mieszkaniu i przez wiele dni z niego nie wychodziłam. Żywiłam się łzami i zamawianym przez internet śmieciowym jedzeniem. Nie wpuszczałam nikogo do środka, ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, był widok współczucia malującego się na twarzach ludzi. Nie odbierałam telefonów od rodziców, ignorowałam maile od brata oraz SMS-y znajomych. Nikt nie wiedział, jak do mnie dotrzeć. Nikt, oprócz Idy. Do tej pory nie wiem, jak mnie znalazła, bo nawet ja sama nie potrafiłam siebie odnaleźć. Dała mi tydzień, po czym za pomocą zapasowych kluczy wtargnęła do mojego mieszkania, zmuszając siłą do powrotu do żywych.

— Słuchaj, mała. Dość już napatrzyłam się na cierpienniczą minę pod tytułem „dla jakiegoś dupka jestem mniej atrakcyjna niż mglista szansa kariery w USA”. — Łapie mnie za nadgarstki, zmuszając do spojrzenia sobie w oczy. — Wystarczy. Serio.

— Nie przesadzaj. Nie jest ze mną aż tak źle — protestuję, sama sobie nie wierząc. — Być może moje życie nie obfituje w rozrywkę, ale przynajmniej wychodzę z domu i czasem nawet udaje mi się szczerze uśmiechnąć. To już coś.

— Podziwiam twoją wytrwałość w ciągłym przypominaniu sobie, jaka

jesteś nieszczęśliwa. Doprawdy masz w sobie więcej progów zwalniających niż cały Mokotów — oświadcza z goryczą. — Szkoda tylko, że życie to nie konkurs na liczbę niepowodzeń.

Marszczy brwi, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym podnosi się i bez słowa wychodzi z pokoju. Chowam twarz w dłoniach. To tyle, jeśli chodzi o osoby, na których mi zależy. Wszystkich odpycham. Jestem w tym mistrzynią. Wstaję i kiedy już zaczynam się zbierać do domu, przyjaciółka wraca, chowając coś za plecami. Wygląda na to, że błędnie zinterpretowałam jej wcześniejszą reakcję, bo teraz stoi przede mną, przygryzając usta, jakby próbowała nie parsknąć śmiechem.

— Chodź tu, uparciuchu. — Mocno mnie przytula, po czym wręcza mi różowe zawiniątko.

— Co to jest? — Śmieję się, gdy dostrzegam logo Victoria's Secret.

— No już, otwórz, zanim zmienię zdanie — ponagla, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Rozrywam papier, po czym wyciągam ze środka najpiękniejsze, a zarazem najbardziej skąpe bikini, jakie widziałam w życiu. Jest czerwone i diabelnie seksowne — jednym słowem, całkowicie w stylu Idy. Patrę na nią z rozdziawionymi ustami. Zanim zdążę cokolwiek wykrztusić, przyjaciółka wyrzuca z siebie tak długie zdanie, że potrzebuję dobrych kilkunastu sekund, by je przyswoić.

— Kupiłam je na zimowej wyprzedaży z myślą o wakacjach, no wiesz, mówiłam ci, w sierpniu Karol zabiera mnie na Santorini, ale w sumie w czerwieni nie jest mi najlepiej, za to tobie przydałby się urlop, więc pomyślałam, że ci je dam, zatem jeśli nie przyjmiesz ode mnie tego najdziwniejszego prezentu, jaki dostałaś w życiu, to chyba cię zabiję. — Patrzy na mnie ze skrzyżowanymi ramionami i śmiertelną powagą malującą się na twarzy.

Wybucham śmiechem, kręcąc głową z niedowierzaniem. Ida musi być naprawdę zdesperowana, żeby poprawić mi nastrój, skoro zdecydowała się pozbyć takiej perełki. Zwykle broni swojej garderoby jak tygrysica, traktując każdy jej element niczym Świętego Graala.

— Doceniam twoją hojność, naprawdę. Wiem, ile cię to kosztowało, i wcale nie mam na myśli pieniędzy, ale... czy ty właśnie użyłaś słowa „urlop” w jednym zdaniu z moją osobą?

— Dobrze słyszałaś. Musisz zrobić sobie wakacje. — W ostatnim słowie wymawia wszystkie sylaby oddzielnie, tak że absurdalność tego pomysłu dociera do mnie ze zdwojoną siłą. Widząc moją niepewną minę, kontynuuje: — No co, z pewnością poradzą sobie bez ciebie. I tak masz masę zaległego urlopu, zgadza się?

Nie podnoszę wzroku znad swoich stóp, bo wiem doskonale, że ma rację. Nagle uzmysławiam sobie, że zmiana otoczenia faktycznie może mi dobrze zrobić.

— W porządku, wygrałaś — poddaję się. — Ale nie ma opcji, bym wzięła od ciebie to bikini! Nie zrobię tego Karolowi.

Spogląda na mnie z taką radością w oczach, jakby właśnie się dowiedziała, że trafiła szóstkę w totka.

— Nie wierzę! Naczelną pracoholiczka Rzeczypospolitej Polskiej będzie popijała na plaży drinki z palemką i niczym się nie zamartwiała! — piszczy, zamykając mnie w euforycznym uścisku. Konspiracyjnym szeptem dodaje: — A Karol woli mnie bez bikini.

Udaję, że się krzywię, lecz tak naprawdę cieszę się, że w końcu znalazła kogoś, na kim jej zależy. Po niezliczonych romansach nareszcie zaangażowała się w relację, która przynosi jej coś więcej prócz frustracji. Choć będzie musiało minąć jeszcze trochę czasu, zanim to do niej dotrze.

Patrzę na niespodziewany prezent i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Wygląda na to, że i tym razem Idzie się udało.

Rozdział II

Choć nie wierzę w ideę jednoznacznych początków i zakończeń, postrzegając życie jako chaotycznie zapętający się proces, piątkowe wieczory mają dla mnie coś z antycznego katharsis. Przypominają mi, że to, co robię przez większość poprzedzających je dni, jest moim świadomym wyborem, zaledwie jedną z wielu powziętych decyzji. Niestety, moje decyzje mają to do siebie, że lubią zaprzeczać samym sobie.

Piątki napawają mnie złudną nadzieją, że praca nie jest całym moim życiem. Gdy jednak o siedemnastej czterdzieści siedem zatraskuję drzwi do mieszkania i powłóczę nogami, kieruję się do sypialni, a następnie, nie trudząc się zdjęciem butów oraz ubrania, rzucam się na łóżko, zaczynam mieć co do tego pewne wątpliwości. Leżę odwrócona twarzą do materaca i odliczam sekundy, aż do mojego mózgu dotrze, że przez następne kilkadziesiąt godzin mogę robić, co mi się żywnie podoba. Polecieć do Mediolanu, skoczyć ze spadochronem, a nawet kupić sztalugi i namalować obraz, dzięki któremu może wreszcie zrozumieć tę całą sztukę współczesną oraz udowodnić mojej nauczycielce plastyki z podstawówki, że się myliła, nie dostrzegając moich zdolności manualnych.

Godzinę później orientuję się, że nie tylko nie ma mnie na pokładzie samolotu Ryanair, lecz także nie zbliżyłam się nawet o milimetr do zrozumienia fenomenu *Czarnego kwadratu na białym tle*. Zdążyłam jedynie przewrócić się na drugi bok — i to tylko dlatego, że przestałam czuć, iż prawa ręka jest wciąż częścią mojego organizmu.

Gwałtownie się podnoszę i rozmasowuję zdrętwiałe przedramię. Pora coś przedsięwziąć. Poniedziałek już czyha za rogiem, żeby rozliczyć mnie ze

zmarnowanego weekendu.

* * *

Sprzątanie mieszkania wydaje mi się w tym momencie zanadto przyziemne. Mój umysł jest także zbyt zmęczony, by poświęcić się przyniesionej do domu pracy, decyduję się więc uporządkować książki. Nie jest to bynajmniej najpilniejsza rzecz do zrobienia, biorąc pod uwagę stertę niepozmywanych naczyń w zlewie i wysypujące się z kosza na pranie ubrania, ale chcę poprawić sobie humor zauważalnymi efektami swojej pracy. Nawet jeśli są one osiągnięte przy minimalnym wykorzystaniu energii, na której deficyt ostatnio cierpię.

Wybrane przeze mnie zajęcie okazuje się jednak o wiele trudniejsze, niż się spodziewałam. Najpierw układam pozycje zgodnie z kolorami grzbietów, ale sytuacja się komplikuje, gdy natrafiam na wegańską książkę kucharską, którą kupiłam tylko dlatego, że wypełniona jest niezwykle uroczymi fotografiami. Morski to bardziej zielony czy niebieski? W ostatniej chwili rezygnuję z napisania do autora grafiki, którego nazwisko znajduję na karcie redakcyjnej, z prośbą o pomoc w rozwikłaniu mojego problemu.

Nie chcąc jednak zdecydować się na przypadkowe rozwiązanie, zmieniam strategię. Decyduję się posegregować książki alfabetycznie, według nazwisk autorów. Zatrzymuję się na dłużej przy podręczniku psychologii, będącym pracą zbiorową. Którego z twórców powinnam wyróżnić? Okładka sugeruje, że pierwszego, ale czy porządek alfabetyczny jest w stanie oddać faktyczny wkład pracy każdego z tych ludzi? Swoją drogą, kim ja w ogóle jestem, by podejmować tak poważną decyzję, będącą konsekwencją całych lat pracy wielu badaczy? Co najgorsze, prawdopodobnie nigdy nie będę miała okazji ich poznać, by upewnić się, czy nie zdecydowałam się na zbyt pochopne rozstrzygnięcie. Zresztą alfabetyczna segregacja jest zbyt oczywista. Zamienia

moją prywatną kolekcję publikacji w bezduszny regał biblioteczny, a przecież znam zawartość tych półek lepiej niż własnego serca.

Ostatecznie skłaniam się ku porządkowi wyznaczonemu przez wysokość grzbietów. Wciąż nie jestem do końca zadowolona, ale jestem gotowa się poddać, zważywszy na wybrzmiewający coraz bardziej natarczywie dzwonek do drzwi. Odkładam więc ostatnie naręcze książek na regał, upewniając się, że wsuwam je na identyczną głębokość, i wlokę się do przedpokoju, by otworzyć.

— Piątek, piąteczek, piątunio! — woła wesoło Ida, klaszcząc w dłonie, gdy tylko uchylam drzwi. — To gdzie idziemy, kochana?

— Do kuchni po mrożoną pizzę? — rzucam, wpuszczając przyjaciółkę do środka.

Przewraca oczami, ale przekracza próg mieszkania.

— Za oknem wiosna w pełni, a w twoim sercu wciąż panuje mroźna zima. Pora wpuścić trochę słońeczka, nie sądzisz?

Nie zdejmując butów, wchodzi do salonu. Rzuca malinową kopertówkę na stolik, przysiada na jednym z foteli i zakłada nogę na nogę, czym mimowolnie przyciąga mój wzrok do beżowych, skórzanych szpilek. Założę się, że ma je na sobie po raz pierwszy.

— Daję ci kwadrans — dodaje, zerkając na elegancki zegarek ze złotą tarczą.

* * *

Wciągam na siebie jasne dzinsy, po czym myląc przód z tyłem, wkładam ulubioną koszulę w musztardowym odcieniu. Noszę ją bardzo często — wcale nie dlatego, że dobrze mi w tym kolorze, lecz wyłącznie ze względów praktycznych, gdyż jako jedna z niewielu moich bluzek nie wymaga prasowania. Gdy dostrzegam, że rząd guzików dziwnym trafem pojawił się na moich plecach, szybko ją zdejmuję i podejmuję drugą próbę, tym razem

zakończoną sukcesem.

Nie pozwolę się namówić Idzie na szpilki, więc przysiadam na łóżku, by włożyć krótkie, cienkie skarpetki, nie martwiąc się tym, która z nich jest prawa, a która lewa. Uwalniam włosy z upięcia, po czym dokładnie je rozczesuję. Krzywię się na widok lekkich zagniecień, pozostawionych przez wsuwki. Nie chcąc marnować czasu na rozgrzanie prostownicy, upinam włosy ponownie, tym razem staranniej, zostawiając jednak luźne pasemka wokół twarzy.

Poprawiam także makijaż, z którego porannej świeżości pozostało niewiele. Dokładam cieniutką warstwę pudru, a usta pociągam wiśniową szminką. Zakładam delikatne, poślacane kolczyki i podnoszę się sprzed toaletki, zauważając z satysfakcją, że udało mi się wyrobić przed czasem. Schylam się jeszcze, by wyciągnąć z szafy brązowe oksfordki na płaskim obcasie, po czym wracam do salonu.

Dostrzegając bałagan wokół Idy, głośno wciągam powietrze.

— Dobrze, że jesteś — mruczy, nie przestając przerzucać książek. — Nie mogę znaleźć tej fascynującej biografii Audrey Hepburn, o której mi ostatnio wspominałaś. Pożyczę ją sobie od ciebie, bo w przyszłym tygodniu szykuje mi się wyjazd służbowy do Krakowa, a coś trzeba robić w tej nużącej podróży. Czarna okładka, też mi wyróżnik! Co ci wydawcy sobie myślą... O, jest! Obok norweskich kryminałów, poważnie?

Stoję w progu, odliczając w myślach do dziesięciu i starając się nie przejmować faktem, że przyjaciółka właśnie zepsuła misternie osiągnięty przeze mnie zen.

— To co, zbieramy się? — wołam podejrzenie wesoło, z trudem odrywając wzrok od sterty przypadkowo wyjętych przez Idę książek.

Dziewczyna odwraca się i unosi ze zdziwieniem brwi. Nie decyduje się jednak skomentować mojego nagłego entuzjazmu związanego z opuszczeniem

czterech ścian mieszkania, gdyż jej uwagę przyciągają trzymane przeze mnie buty.

— Udam, że tego nie widziałam — jęczy, zaciskając powieki. — W tył zwrot i szoruj po obcasy!

Ze stoickim spokojem ignoruję jej polecenie. Nachylam się, by wsunąć oksfordki na stopy, po czym powoli się prostuję, krzyżując ramiona.

— Moja droga, dopóki nie zarobię na ewentualną operację kręgosłupa, nie mogę sobie pozwolić na bieganie w szpilkach po kilkanaście godzin dziennie. Póki co wystarczy, że jestem na nie skazana w pracy. Więc albo zaakceptujesz mnie w tej nieidealnej wersji i wreszcie wyjdziemy z domu, albo lecę nagrzewać piekarnik.

Nie znajdując stosownego kontrargumentu, Ida ogranicza się do teatralnego westchnienia. Sięga po porzuconą torebkę, po czym wychodzi na korytarz, mamrocząc:

— Będę wyglądać przy tobie jak tyczka do fasoli.

— Ale za to bardzo seksowna — mówię z uśmiechem i gaszę światło.

* * *

Może nie świadczy to o naszej wybitnej kreatywności, ale wybrałyśmy jeden z najpopularniejszych lokali na mapie miasta. Słynie z klimatycznego ogródka, w którym usiadłyśmy, by móc się nacieszyć wiosenną aurą. Pomiędzy drewnianymi stolikami przebiegają kamienne ścieżki, okolone okazałymi doniczkami ze świeżymi ziołami. Zdecydowałyśmy się na miejsce tuż obok porośniętej bluszczem altany, obwieszanej mnóstwem migoczących lampek.

W oczekiwaniu na zamówione drinki pogryzamy słone przekąski.

— Nie zgadniesz, na kogo dziś wpadłam w centrum — podejmuje Ida, otulając się seledynowym kocem, przewieszonym przez oparcie fotela.

— Nie zgadnę — mówię, również się przykrywając.

— Mogłabyś chociaż spróbować. — Wzdycha.

— No dobra... Na mojego braciszka? Przyznałaś się wreszcie, że od wieków się w nim podkochujesz, i teraz wszyscy będziemy jedną wielką rodziną? — Mrugam do niej figlarnie, po czym wrzucam do ust garstkę pistacji.

Ida przewraca oczami, odsuwając się, by zrobić miejsce młodemu kelnerowi. Umyka jej uwadze, że chłopak ma poważny problem z oderwaniem od niej wzroku. Trzęsącymi się rękoma nieostroźnie stawia na naszym stoliku drinki, tak że niemal wylewa na mnie mojego mai tai. Na szczęście w porę przytrzymuję szklankę.

— Dziękujemy — mówię, patrząc twardo na chłopaka, bo mam nieodparte wrażenie, że zaraz skapnie na mnie jego ślina.

Przyjaciółka zakłada ręce na piersiach i spogląda na kelnera wyczekująco. Dopiero wtedy chłopak domyśla się, że powinien zamknąć rozdziawione usta i odejść wraz z resztkami swojego profesjonalizmu.

— No i miałam rację, nie zgadłaś — oświadcza chwilę później niewzruszona Ida, pociągając spory łyk margarity. — Adam nadal pozostaje nieświadomy moich płomiennych uczuć, a ja spotkałam Kaśkę. Wyobraź sobie, że twoja ekswspółkorkorka jest w zaawansowanej ciąży! Wyglądała jak słońca.

— Ida... — zaczynam ostrzegawczo.

— Nie rozumiem, jak można świadomie zrobić sobie coś takiego. Naprawdę, aż mi się przykro od samego patrzenia zrobiło.

— Ida!

— No, ale nic dziwnego — kontynuuje, niezrażona. — Ten jej Marcinek już z samych twoich opowieści wydawał mi się jakiś mdły. Presja społeczeństwa, szybkie zaręczyny, jeszcze szybszy ślub... Totalna katastrofa! Ciotka z Inowrocławia podaruje im komplet tandetnych filiżanek, wujek spod Lublina

zestaw posrebrzanych sztućców z motywem akantu, a im się będzie wydawało, że...

— Na miłość boską, Ida! Wyobraź sobie, że nie każdy ma taką wizję szczęścia jak ty. Oni do siebie naprawdę świetnie pasowali, więc wcale się nie dziwię, że...

— Pasowali?! — wchodzi mi w słowo, parszkając śmiechem. — Pasować to mogą do siebie kombinezon od Louis Vuitton i szpilki Valentino. Ludzie są w stanie co najwyżej nie zniechęcić się do siebie zbyt szybko.

Wzdycham z rezygnacją. Czubkiem wskazującego palca ścieram skroploną mgiełkę, która pod wpływem różnicy temperatur utworzyła się na szklance wypełnionej drinkiem z kruszonym lodem. Kątem oka zauważam niespokojny taniec płomienia świecy, który zakołysał się pod wpływem podmuchu chłodnego wiatru, by chwilę później zgasnąć.

* * *

Wracamy do domu pieszo, śmiejąc się bez ustanku. Wspominamy to, co zwykliśmy nazywać starymi, dobrymi czasami, choć dla każdej z nas oznaczają one zupełnie coś innego. Daję się porwać ulotnej beztrójce tylko na moment, bo doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że czasy nigdy nie są dobre. Nikt, kto dotąd istniał na świecie, z czystym sumieniem nie powiedziałby mi, że w takich żył.

Ulice są praktycznie puste, więc idziemy środkiem mostu, trzymając się pod rękę. Schodzimy na pobocze, dopiero kiedy rozpędzone auto przejeżdża obok nas z cichym szumem, jak gdyby ktoś szybko odkręcił butelkę z gazowanym napojem i za moment zakręcił ją z powrotem. Nawet przez szczelnie zamknięte szyby samochodu dały się słyszeć skrawki debiutanckiego albumu Ramones.

— To jakie masz plany na jutro? — pyta Ida, ostrożnie stawiając kroki na bruku, by nie potknąć się w szpilkach.

W odróżnieniu od niej nie patrzę pod nogi, lecz idę z zadartą do góry głową. Z rozmarzonym uśmiechem wgapiam się w rząd gazowych latarni, rzucających mgliste, rozproszone światło. Romantyzmu widokowi dodaje fakt, że codziennie o zachodzie słońca są one zapalane ręcznie przez tego samego mężczyznę w czarnej pelerynie.

— Muszę się uporać z zawartością kilku teczek, które przytaszczyłam do domu, a poza tym nic szczególnego — mruczę, przenosząc wzrok na Idę. — A dlaczego pytasz?

— Karol chce mnie zaciągnąć na jedną z tych superważnych imprez z superważnymi ludźmi, a ja jakoś wyjątkowo nie mam ochoty zgrywać salonowego pieska. Co ty na to, żebyśmy powtórzyły dzisiejszy wieczór?

Zatrzymuję się i chwytam przyjaciółkę za ramiona, lekko obracając ją w swoją stronę, by móc spojrzeć jej prosto w oczy.

— Teraz to mnie zaskoczyłaś — stwierdzam z rozbawieniem. — Nie spodziewałam się, że aż taka z ciebie altruistka! Open bar, darmowe przekąski, dziesiątki pożerających cię wzrokiem mężczyzn... Faktycznie brzmi to gorzej od ponownego spotkania dwóch zdesperowanych, podstarzałych singielek. A nie, przepraszam! Ty już w zasadzie możesz zamawiać tort weselny.

— Aż tak źle mi życzysz? — Wzdycha ciężko i krzyżuje ręce na piersiach. — Nie rozumiem, co w tym dziwnego, że wolę miły wieczór z najlepszą kumpelą niż zlot snobów.

— Żaden zlot snobów, kochanie, tylko niepowtarzalna okazja do wystrojenia się i wręczenia mimochodem kilku wizytówek twojej firmy — rzucam, ruszając energicznie do przodu. — Zamiast gadać głupoty, lepiej leć do domu porządnie się wyspać! Nawet ten cudowny krem pod oczy z Vichy nie poradzi sobie z gigantycznymi cieniami.

Ida szybko do mnie dołącza, ale nic nie mówi przez dłuższą chwilę.

Z nietypowego dla niej milczenia wnioskuję, że w przeciwieństwie do mnie nie uważa tematu za zamknięty. Kiedy znów się odzywa, jej głos jest spokojny, niemal smutny.

— Ja po prostu nie chcę, żebyś była sama, bo...

— Bo boisz się, że wyjdiesz na kiepską przyjaciółkę, jeśli nie będziesz w stanie mnie bez przerwy niańczyć? — kończę za nią. — Dzięki, skarbie, ale dzisiejszy wieczór wyposażył mnie w taką ilość pozytywnej energii, że obejdzie się bez twojej jutrzejszej ofiary. Będę grzeczna i optymistycznie nastawiona do życia, obiecuję.

— Na pewno? — mówi z wahaniem w głosie i cieniem uśmiechu na twarzy.

— Ależ oczywiście! Nadrobię trochę zaległości w pracy i ogarnę wreszcie ten chlewik, który zwykłam nazywać swoim mieszkaniem, jak na sobotę przystało. Może nawet coś ugotuję — bąkam. — A wy, młodzi, piękni i bogaci, bawcie się dobrze!

Ida nie zamierza widocznie podawać w wątpliwość mojej wiarygodności, bo bierze mnie pod ramię i prowadzi w stronę parku, po którego przejściu znajdziemy się na oddzielającej nasze mieszkania ulicy. Gdy wracam do domu sama, zawsze wybieram okrężną drogę, ale wstąpienie w nieprzeniknioną ciemność z przyjaciółką u boku wydaje się o wiele mniej przerażające.

— Wiesz, że już ci prawie uwierzyłam? — mówi półgłosem Ida, dostosowując się do mrocznej atmosfery. — Było całkiem przekonująco, dopóki nie zaczęłaś z tym gotowaniem.

Wybucham śmiechem, niszcząc poważny nastrój.

— Fakt, trochę się rozpędziłam.

* * *

Zastygam z uniesioną ręką, po czym tchórzliwie cofam się o krok. Znów czuję się, jakbym została wezwana z koleżanką do dyrektora, by wytłumaczyć

się z łażenia po korytarzu w trakcie lekcji fizyki. Ja pukam, ty mówisz. To było takie proste. Niestety, teraz muszę poradzić sobie ze wszystkim zupełnie sama. Do wakacji zostało jeszcze sporo czasu, ale na tyle dobrze znam swojego szefa, by mieć świadomość, że akurat ja muszę dać mu znać o chęci wzięcia urlopu odpowiednio wcześniej. I to wcale nie dlatego, że jestem osobą, bez której firma nie będzie w stanie prosperować na zadowalającym poziomie. Choć to właśnie mój szef złożył podpis na umowie, na mocy której stałam się jego pełnoprawnym współpracownikiem, a nie służącą, wciąż ma problem z zaakceptowaniem faktu, że moja doba składa się z dwudziestu czterech godzin.

Niezwykle rzadko z nim rozmawiam, jeszcze rzadziej zwracam się do niego z jakąkolwiek prośbą. Zdarzyło się oczywiście kilka sytuacji, gdy musiałam wcześniej wyjść z pracy z powodu wizyty u lekarza lub konieczności załatwienia jakiejś urzędowej sprawy. Na wszystkie zareagował tak samo — chrząknięciem połączonym z uniesieniem krzaczastej brwi, a następnie dołożeniem mi paru dodatkowych obowiązków.

Tym razem chodzi jednak o zwykły urlop, którego możliwości wzięcia przeze mnie nawet on nie jest w stanie zakwestionować. Zaciskam powieki i wciągam powietrze głęboko do płuc, by dodać sobie odwagi. Przejeżdżam dłonią po masywnych drzwiach, po czym cicho pukam.

Rozdział III

Siedzę w białym, rattanowym fotelu, w spokoju sącząc lemoniadę. Jest przepyszna. Mocno schłodzona i na wskroś cytrusowa, niezbyt słodka, za to bardzo orzeźwiająca. Wyobrażam sobie, że właśnie tak smakuje napój sprzedawany przez amerykańskie dzieciaki w drewnianych, przydrożnych budkach.

Zamykam oczy, ignorując fakt, iż jest tak gorąco, że nogi przykleiły mi się do siebie. Lekki wiaterek wywołuje na moim spieczonym ciele przyjemne dreszcze. Słoność bryzy miesza się ze słodkim zapachem gofrów z truskawkami, a w tle sączy się jakiś meksykański przebój. Dzięki zmieniającym się pod moimi powiekami kolorom wiem, że słońce to chowa się za chmurami, to znów powraca, z całą swoją leniwą energią opromieniając ziemię i rozświetlając moje najbardziej ponure myśli.

W obliczu takiej beztroski trudno pozostawać przygnębionym. Zaczynam się nawet cieszyć, że nie dostałam urlopu w lipcu czy sierpniu, jak wszyscy protegowani szefa. Dobrze jest mi tu we wrześniu, poza sezonem turystycznym, bez rozwrzeszczanych dzieciaków, psów ochlapujących wodą wszystko wokół i zbyt szybko topiących się lodów. Woda w morzu jest o wiele cieplejsza niż na początku wakacji, a nie zależy mi na prażeniu się w skwarze. Od zaczerwienionej skóry zdecydowanie wolę krem z wysokim filtrem, kapelusz z pokaznym rondem i długie, zwiewne spódnice.

Powoli zaczyna ogarniać mnie błoga senność. Skrzek mew i jednostajny dźwięk nadpływającego jachtu wydają się coraz odleglejsze. Opieram głowę na zagłówniku, pozwalając sobie na chwilę oderwać się od rzeczywistości. Nie mam zatem pojęcia, ile minęło czasu, może kilka minut, a może godzina, gdy

cudem uniknęłam zawału serca, słysząc głos dobiegający ze zbyt bliska.

— Obudź się, śpiąca królewno! Twój rycerz właśnie przybył.

Otwieram szeroko oczy, by obdarzyć intruza groźnym spojrzeniem. Moją irytację wzmacnia jego krzywy uśmiešek, rozczochrane włosy i niedbale podwinięte rękawy białej koszuli.

— Wolałabym, żeby zeżarł mnie smok, niż uratował taki księżę — fukam.

Mężczyzna śmieje się, unosząc dłonie w obronnym geście.

— Spokojnie, kotku! Nie chciałem cię wystraszyć. — Zakłada ręce na piersiach, wpatrując się we mnie z lekko przechyloną głową. — A poza tym w tej bajce nie było smoka, więc wygląda na to, że jesteś skazana na mnie.

Odwracam głowę, naciągając mocniej kapelusz na twarz.

— Wybacz, ale nie wdaję się w czcze konwersacje z nieznanymi.

— Jestem Igor, bardzo mi miło. — Mężczyzna nie odrywa ode mnie wzroku, mrużąc oczy z wyraźnym rozbawieniem na twarzy.

— Skoro już skończyliśmy z formalnościami, bądź tak dobry i znajdź sobie innego partnera do rozmowy, a mnie daj się nacieszyć ostatnimi promieniami słońca. Niedługo wyjeżdżam i byłoby szkoda, gdyby moja opalenizna ucierpiała przez namolnego faceta.

— Ciekawe, jak chcesz się opalić przez warstwę tych ubrań. Równie dobrze mogłabyś siedzieć w cieniu — kwituje z przekąsem, przykucając niebezpiecznie blisko mojego fotela. — Po prostu przyznaj, że cię onieśmielałam i pragniesz, bym sobie poszedł tylko dlatego, że jeszcze chwila i przestaniesz nad sobą panować. Sekundy dzielą cię od rzucenia mi się w ramiona.

— Dupek — prychnam, nie martwiąc się, że to usłyszy.

Chociaż mimowolną reakcją mojego umysłu na widok jego umięśnionych przedramion i nierealnie błękitnych oczu było wygenerowanie niejednego takiego scenariusza, wszystkie wyparowały, gdy tylko się odezwał.

— Wystarczy Igor — mówi, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Jeśli sądzisz, że dwukrotne powtórzenie twojego imienia sprawi, iż moja pamięć poświęci na nie miejsce, grubo się mylisz. Właśnie dołączyłeś do niekończącej się listy anonimowych mężczyzn z wybujałą wyobraźnią i przerośniętym ego.

Nieznajomy z wolna się podnosi, wspierając się prawą ręką na oparciu mojego fotela.

— Jak sobie życzysz, księżniczko — odpowiada ze śmiechem. — W takim razie zostawię cię samą z trudno powstrzymywanym pragnieniem zerwania ze mnie koszuli i zaciągnięcia do hotelu.

Mimo że odwróciłam głowę, starając się ignorować jego słowa, nie ma wątpliwości, że wciąż słucham, bo po chwili dodaje:

— Gdybyś miała ochotę urzeczywistnić swoje namiętne wyobrażenia, wiesz, gdzie mnie znaleźć. — Wskazuje głową na sąsiedni hotel, po czym powoli się cofa, pozostając jednak cały czas zwrócony twarzą do mnie, jak gdyby dając mi czas na zatrzymanie go. W końcu odwraca się i znika w morzu turystów, obdarzywszy mnie wcześniej olśniewającym uśmiechem. Muszę przyznać, że facet z taką charyzmą mógłby reklamować nawet płyn do podłóg.

Gdy kilka minut później zerkam w stronę tarasu, dostrzegam, że Igor nadal patrzy w moją stronę. Przybiera swobodną pozę, wspierając się łokciami na balustradzie. Błyskawicznie przechwytuje moje spojrzenie, kręcąc głową z uśmiechem. Po chwili przeczesuje palcami włosy i wbiega po schodach do hotelu.

Coś mi mówi, że jeszcze na niego wpadnę. I nie wiem, czy mi się to podoba.

* * *

Błądzą nieobecny wzrokiem po talerzu, wciąż śpiąca, bo czytałam do

późnej nocy. Już prawie zapomniałam, jak to jest nagle ocknąć się nad ranem, podnieść głowę znad książki i zobaczyć, że wstało słońce, gdy tak naprawdę planowało się przeczytać jeszcze tylko jeden rozdział. Dobrze, że zanim zasnęłam nad Zafónem, nastawiłam kilka budzików, w innym wypadku przegapiłabym czas serwowania śniadań, nie wspominając o zmarnowaniu ostatniego poranka nad morzem.

Wybierając się na urlop, najbardziej cieszyłam się, że będę miała okazję zmniejszyć stertę zaczętych z entuzjazmem, ale nigdy niedokończonych z powodu braku czasu powieści, zalegających półki uginającej się pod ciężarem książek biblioteczki. Połowę mojej walizki zajmuje więc między innymi *Imię róży*, *Lolita*, *Sekretne życie pszczół* oraz *Ostatnie rozdanie*. Postanowiłam również odciąć się na ten czas od mediów społecznościowych. Wyłączyłam wszelkie powiadomienia, tak że mój smartfon nareszcie sobie przypomniał, jak to jest być zwyczajnym telefonem.

Nie licząc odpisywania na SMS-y od Idy i paru innych znajomych, nie zajmuje mnie nic prócz nadrabiania lekturowych zaległości. Nie miałam pojęcia, że w ciągu ostatniej dekady wyszło tyle dobrych książek! Trochę mi głupio zachwycać się powieścią, która była hitem kilka lat temu, ale właśnie tak wygląda moje życie. Kiedy coś już zniknie z list bestsellerów, dopiero wtedy znajduję czas, by się temu przyjrzeć.

— A cóż to za nowomodna owsianka? — słyszę nagle za plecami.

— Pudding z nasionami chia na mleku kokosowym. Z dodatkiem syropu z agawy i... czegoś, co wygląda mi na mus z mango. Jest całkiem w porządku.

— Wzruszam ramionami. Nie podnoszę wzroku, choć wydaje mi się, że skądś znam ten głos.

— Nie wiem, czy po takim posiłku zregenerujesz siły po nocnych fantazjach z moim udziałem. — Przed moimi oczami pojawia się nie kto inny, jak reklamowy Adonis. Swobodnie przysiada się do mojego stolika, tak że z boku

musimy wyglądać jak para starych dobrych znajomych. — Przyznaję, że nieźle się prezentujesz bez całej tej przeciwsłonecznej artylerii.

Nawet nie staram się być miła.

— Śledzisz mnie, by krytykować moje wybory kulinarne? — pytam cierpko.

Wybucho głośnym śmiechem, odchylając się do tyłu. Wczasowicze zajmujący sąsiednie stoliki spoglądają w naszą stronę. Zgorzkniała czterdziestolatka, mieszkająca w pokoju naprzeciwko mojego, rzuca mi tak zniesmaczone spojrzenie, że aż się wzdrygam. W jej mniemaniu musimy być bezwstydnie flirtującą parą, zagrażającą przewidywalności jej poranka.

Przełykam głośno ślinę. Niewiele jest rzeczy, których nienawidzę bardziej niż bycie w centrum uwagi.

— Tak się składa, że akurat odprowadzałem koleżankę do twojego hotelu. Rozumiesz, miała ochotę się odświeżyć po nieprzespanej nocy. — Mruga do mnie porozumiewawczo, a mnie robi się niedobrze. — W każdym razie trudno zaprzeczyć, że dzień zaczęty od tak marnego śniadania musi się skończyć porządną kolacją. Przyjdę po ciebie o dziewiętnastej. Włóż coś ładnego.

— Wygląda na to, że będziesz musiał poszukać innej ofiary lub, nie daj Boże, spędzić drugą noc z tą samą dziewczyną. Tak się składa, drogi Igorze, że mam już plany na dzisiejszy wieczór — oświadczam z takim przekonaniem, że prawie sama w to wierzę. — *Au revoir!*

Wstaję, obciągając beżową sukienkę, po czym kieruję się w stronę plaży. Nagle nasza mnie przemożna ochota na spacer.

— Mimo to cieszę się, że wbrew wcześniejszym zapewnieniom znalazłaś w swojej ślicznej główce miejsce na moje imię — rzuca chłopak odrobinę głośniejszym niż to konieczne. — Gdy nie będziesz mogła zasnąć po nieudanej randce z jakimś łysiejącym nudziarzem, przypomnisz je sobie i będziesz wypytywać obsługę hotelu o tego przystojniaka, który, by oszczędzić ci krepującej sytuacji, nocuje w pokoju numer dwieście jedenaście. Wsiądziesz

do windy i wjedziesz na drugie piętro, potem skręcisz w lewy korytarz, a tam będzie na ciebie czekać idealne zwieńczenie urlopu. Z różą w zębach, nagim torsem i widokiem na niespokojne morze.

To tyle po moim efektownym wyjściu. Odwracam się i patrzę na Igora z irytacją, ściskając oparcie krzesła tak mocno, że aż zbieleły mi kostki.

Odpowiada niewinnym uśmiechem i błyskiem triumfu w oczach.

— Pozwól mi zgadnąć... Zwykle po takim oświadczeniu kobiety mdleją lub przynajmniej przygryzają wargi i trzepoczą rzęsami, rzucając ci się w ramiona — zawieszam głos, unosząc kąciki ust w ironicznym półuśmiechu. — Cóż, niestety dla ciebie, ja nie jestem jedną z nich, a ty masz poważne problemy z odczytywaniem komunikatów. Jutro wyjeżdżam i jeśli do tego czasu choć raz niby przypadkiem na mnie wpadniesz, nie ręczę za siebie.

Szybkim krokiem oddalam się od stolika, nie dając mu szansy na reakcję. Choć w sumie nie wiem, co mógłby powiedzieć po takim wybuchu złości z mojej strony. Trochę żałuję, że dałam się sprowokować, bo przecież właśnie o to mu chodziło. Trudno jednak zachować spokój, kiedy ktoś szuka potwierdzenia swojej atrakcyjności w tak żenujący sposób. A właściwie wcale go nie potrzebuje, bo flirtuje z kobietami dla sportu, emanując na prawo i lewo kipiącym z niego wszystkimi porami testosteronem.

Gdy zanurzam stopy w chłodnej wodzie, cały mój gniew gdzieś wyparowuje. Poranna bryza pokrywa moje nagie ramiona gęsią skórką. Wciągam powietrze głęboko do płuc, rozkoszując się jego czystością. Uwielbiam morze rankiem, gdy jest spokojne, jeszcze niewzburzone, a na brzegu roi się od kamyków, drobnych bursztynów i pokruszonych muszli, które fale wyrzuciły przez noc.

Bezwiednie schylam się po jedną z nich. Natychmiast obracam ją na drugą stronę, by móc lepiej przyjrzeć się brzoskwiniowej, metalicznej warstwie, która na brzegach ustępuje karminowej czerwieni. To niezwykle połączenie

barw przywodzi mi na myśl wczesnoletnie zachody słońca. Dawno nie widziałam czegoś tak pięknego. Spaceruję więc wzdłuż brzegu, szukając podobnej muszelki. Na próżno.

Kiedy po jakimś czasie z rezygnacją podnoszę głowę, orientuję się, że musiałam zejść całkiem daleko. Nawet nie zauważyłam, kiedy plażę wypełniły dziesiątki turystów. Pewnie minęła już jakaś godzina. Niestety, nie mam zegarka, by móc potwierdzić te przypuszczenia, bo wybiegłam z hotelu jak oparzona — zostawiając telefon w pokoju i, o zgrozo, nie zabierając ze sobą kapelusza i okularów. Świetnie, myślę, czując, jak słońce przypieka moją skórę. Jeśli nabawię się poparzeń, to będzie wina tego dupka.

Zaczynam iść w przeciwną stronę, mrużąc oczy od coraz ostrzejszego słońca. Po chwili wybucham głośnym śmiechem. Mijający mnie ludzie zastygają z dmuchanymi krokodylami w dłoniach i patrzą na mnie ze zdziwieniem. Wzruszam ramionami, zakładając włosy za uszy. Nic nie poradzę na to, jak bardzo rozbawiło mnie wspomnienie mojej dramatycznej reakcji. Zwykle zaczepiający mnie mężczyźni nie robią na mnie niemal żadnego wrażenia. Nie sposób od nich uciec, jeśli przyjeżdża się samej na wakacje i paradyje po plaży w bikini.

To chyba ten pudding. Trzeba było zjeść coś normalniejszego.

* * *

Zbliżając się do hotelu, mimowolnie się rozglądam, ale na szczęście nigdzie nie dostrzegam Igora. Wmawiam sobie, że to dobrze, po czym kieruję się do swojego pokoju. Wyciągam z walizki coś, czego nie zamierzałam wkładać, ale czuję, że właśnie nadszedł odpowiedni moment, by zrobić z tego użytek. Prezent od Idy. Czerwony stanik bez ramiączek z dekoltem w kształcie serca i skąpy dół nie pozostawiają zbyt wiele miejsca dla wyobraźni.

Na bikini wkładam dopasowany, granatowy kombinezon, odsłaniający

smukłe nogi, które zawsze stanowiły mój największy atut. Usta pociągam bordową szminką, na rzęsy nakładam wodoodporną mascarę, a włosy uwalniam z codziennego upięcia i lekko je przeczesuję.

Przyglądam się sobie w lustrze z zadowoleniem. Z pofalowanymi od wilgotnego powietrza włosami wyglądam jak młoda Norma Jeane Mortenson, zanim postanowiła zmienić się w Marilyn Monroe, przefarbować na blond i stać najbardziej pożądaną kobietą świata. Wylewam na siebie litr ulubionych perfum, dzięki którym — zgodnie z zapewnieniami producenta — powinnam pachnieć jak angielski ogród o brzasku, wsuwam stopy w skórzane sandały na słupku i zatykam na czubku głowy okulary przeciwsłoneczne, po czym wyruszam w poszukiwaniu moich planów na wieczór.

* * *

Nie spodziewałam się, że zwrócenie na siebie uwagi męskiej części wczasowiczów będzie aż tak proste. Eksponuję swoje bikini na leżaku może kilkanaście minut, kiedy podchodzi do mnie facet, który wygląda jak zaginiony kuzyn Bradleya Coopera. Ma zaczesane do tyłu włosy, trzydniowy zarost i tajemniczy uśmiech błakający się po twarzy. Chociaż zależy mi tylko na niespędzeniu dzisiejszego wieczoru w hotelowym pokoju, szczerze cieszę się na widok niewiele starszego ode mnie, atrakcyjnego mężczyzny.

Przez chwilę się waha, jakby zaskoczony śmiałością mojego spojrzenia. W końcu zagaja:

— Czy dane mi będzie dostąpić zaszczytu dotrzymania towarzystwa tak zjawiskowej kobiecie?

Pozwalam mu zająć leżak obok mnie, skoczyć do baru po coś do picia i zaprosić się na obiad. Zgodnie ze wskazówkami Idy potakuję i uśmiecham się, starając się odprężyć. Jest całkiem miło. Oczywiście, to godne podziwu, że jego firma notuje najwyższe wyniki sprzedaży w branży deweloperskiej

czwarty kwartał z rzędu. Oczywiście, jestem pod wrażeniem, że płynnie posługuje się językiem francuskim, hiszpańskim oraz koreańskim. Oczywiście, ja również uwielbiam jazz i włoską kuchnię.

Statystycznie mózg zaczyna reagować na alkohol już po sześciu minutach. Mój pozwala mi się zrelaksować dopiero przy czwartym kieliszku porto. Zbieram się więc na odwagę i przerywam potok narcystycznych zwierzeń, bojąc się, że jeszcze chwila, a w nim utoniemy.

— Opowiedz mi o najbardziej szalonej rzeczy, jaką zrobiłeś w życiu — proszę, obracając w dłoniach prawie pusty kieliszek.

— Ach, mam w sobie wiele szaleństwa! Kiedyś na przykład wsiadłem do niewłaściwego autobusu i spóźniłem się do pracy.

Musi minąć kilka przerażających sekund, bym uświadomiła sobie, że to była próba żartu. Mężczyzna wybuchł gromkim śmiechem, po czym kontynuuje:

— Na szczęście od wielu lat żyję bez wątpliwej przyjemności poruszania się komunikacją miejską. Najszczerzą odpowiedzią na twoje pytanie byłoby chyba to, że... się ożeniłem.

Dobrze, że nie piję, bo właśnie bym się zakrztusiła. Bezwiednie spoglądam na jego prawą dłoń, na której w promieniach zachodzącego słońca skrzy się złota obrączka. Wygląda na to, że mój mózg opanował do perfekcji ignorowanie kłopotliwych elementów rzeczywistości.

Chyba już za późno, by udać przyjazną obojętność.

— Cóż... gratuluję. Dla mnie brzmi to bardziej jak happy end niż szaleńczy wybryk, ale szanuję twoją prawdomówność. — Krzywię się na nieszczerą słyszalną w moim głosie. Próbuję raz jeszcze. — Opowiedz mi o tym.

Kuzyn Bradleya Coopera prostuje się na krześle. Czuję, że jego związek plasuje się poza setką, a może nawet i tysiącem najbardziej komfortowych dla niego tematów.

— W zasadzie nie ma o czym mówić. Pracujemy razem od lat, mamy

podobną wizję świata, oboje nie chcemy mieć dzieci... Instytucja małżeństwa jest mi dość obojętna, ale ze względów praktycznych zdecydowaliśmy się sformalizować nasz związek — oznajmia takim tonem, jak gdyby opowiadał o pogodzie. „Mamy chłodne lato, prawda? Ale myślę, że po tak łagodnej zimie nie możemy narzekać”.

Już mam odpowiedzieć, wyrzucając z siebie idealistyczną niezgodę na tak przedmiotowe traktowanie najpiękniejszej relacji międzyludzkiej, gdy nagle na horyzoncie pojawia się Igor. Nieświadomy sprawca całego tego zamieszania patrzy na mnie wyzywająco z niesymetrycznym uśmiechem na twarzy. Oczyma wyobraźni widzę, jak codziennie rano ćwiczy go przed lustrem, mając świadomość, jaki wpływ wywiera na płeć przeciwną.

Podchodzi, nie zdejmując dłoni z talii dzisiejszej kobiety dnia, a raczej nocy, i mówi:

— *Touché*, śpiąca królowo. Byłem pewien, że posłużyłaś się wymówką i odrzuciłaś moje zaproszenie ze strachu przed wyjściem na zbyt łatwo osiągalną, a tu proszę... Faktycznie miałaś plany. — Nachyla się nade mną tak, bym tylko ja usłyszała dalszą część. — Choć mam pewne zastrzeżenia co do twojej umiejętności wartościowania.

Przenoszę wzrok z Igora na jego towarzyszkę. Widzę wymodelowaną bronzem twarz, w której uwagę przykuwają pokryte godną podziwu ilością mascary rzęsy. Są tak długie, że stykają się z perfekcyjnie zarysowanym łukiem brwiowym, nadającym twarzy dziewczyny wyraz wiecznego zdziwienia. W okolicy jej szyi dostrzegam nierówno rozarty fluid. Kątem oka zauważam, jak wbija swoje wypielęgnowane, jaskrawoczerwone paznokcie w muskularne przedramię mężczyzny. Brakuje tylko, żeby wydmuchała balon z gumy do żucia.

Dziewczyna obdarza mnie krwiożerczym spojrzeniem, wydymając usta w ironicznym półuśmiechu, a mnie robi się jej żal. „Nigdy nie wybrałby ciebie

zamiast kogoś takiego jak ja” — zdaje się mówić całym swoim syntetycznym jestestwem, ze słabo ukrywanym podenerwowaniem obciągając przykrótką sukienkę.

Uśmiecham się, bardziej do siebie niż do nich, po czym odpowiadam:

— W zderzeniu z kiepską propozycją nawet wieczór przed telewizorem w towarzystwie idiotów z parciem na szkło, pożerających żywcem pająki w *Fear Factor*, wydaje się planem nie do odrzucenia. — Patrzę Igorowi prosto w oczy i dodaję: — Nawet dla klasycznej arachnofobki.

* * *

Reszta wieczoru przebiega dosyć spokojnie. W obliczu incydentu z Igorem rezygnuję z umoralniania mojego towarzysza i mimo wszystko staram się dobrze bawić. Ignoruję także przesłanki mówiące o tym, że z praktycznością jego związku wiąże się otwartość na wakacyjny romans. Pragnę udowodnić — sobie, Idzie, Igorowi, a może całemu światu — że istnieją faceci, dla których wieczór nie musi się skończyć w łóżku.

Gdy zbliża się nieuchronny moment podjęcia decyzji co do dalszej części tego spotkania, z miną niewiniątka ziewam, po czym zerkam na zegarek na tyle niedyskretnie, by mój towarzysz to zauważył, a następnie informuję, że jutro rano wyjeżdżam, więc najwyższy czas się spakować.

— Było naprawdę bardzo miło. Dziękuję za wspaniałe popołudnie i naturalnie życzę kolejnych sukcesów w pracy. — „Oraz w życiu prywatnym”, dodaję w myślach.

Wstaję od stołu, zastanawiając się, czy wypada mi tak po prostu odejść.

— Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebować mieszkania — mówi i również się podnosi, po czym wręcza mi swoją wizytówkę.

„No cóż, jeśli nie wyszło z romanssem, to może chociaż coś na tym zarobi” — śmieję się w duchu.

I wtedy następuje jeden z tych krępujących momentów, które nigdy nie powinny się wydarzać pomiędzy dwojgiem ludzi. Gdy ja wyciągam do niego rękę, on nachyla się, by mnie przytulić. Nerwowo się odsuwam w obawie, że chce mnie pocałować. Przechodzę więc szybko obok niego i kieruję się prosto do wejścia do hotelu.

Nie odwracam się, bo przeraża mnie myśl, że mogłabym zmienić zdanie.

* * *

Gdy następnego ranka opuszczam hotel, zatrzymuje mnie podekscytowana recepcjonistka. Opłatę za nocleg uiściłam z góry, więc tym bardziej dziwi mnie jej rozbiegany wzrok i nieśmiały uśmiech.

— Droga pani, proszę chwilę poczekać. Mam coś dla pani — oznajmia, wyciągając spod lady kawałek papieru z poszarpanymi krawędziami.

— Dziękuję, ale musiała mnie pani z kimś pomylić — odpowiadam automatycznie, bo mam dziwne przeczucie, że cokolwiek to jest, na pewno nie poprawi mi humoru.

— Ależ nie, pewien sympatyczny pan był tu dziś rano i mówił wyraźnie, że chodzi o panią. Proszę chociaż zobaczyć. Może będzie pani wiedziała, komu zależało na przekazaniu tego pani. — Z miną nieuznającą sprzeciwu wciska mi w dłoń świstek papieru z niestarannie zapisanym numerem telefonu.

Obracam go na wszystkie strony, ale wciąż widzę tylko rząd lekko pochylonych cyfr. Nie muszę jednak zastanawiać się nawet przez sekundę, kto go zostawił. Mam tylko nadzieję, że urok osobisty Igora nie zadziałał aż tak paralizująco na kobietę, by podała mu numer mojej karty kredytowej lub, co gorsza, mój adres. Dziękuję raz jeszcze i odchodzę, zostawiwszy karteczkę na ladzie. Po zrobieniu kilku kroków odwracam się, czując na plecach pełen oburzenia wzrok recepcjonistki. Wracam więc i z westchnieniem wsuwam papier do torebki. Może mi się przydać, gdy zechcę sobie przypomnieć, jakimi

świniami bywają faceci.

Rozdział IV

— Sam numer, wyobrażasz sobie?! Żeby nawet nie mogła go wygooglować!

Siedzę wygodnie rozpostarta na skórzanej kanapie w salonie Idy. Od godziny relacjonuję przyjaciółce swój długo wyczekiwany urlop. Oczywiście najwięcej uwagi poświęcam poznanym facetom, bo niestety, niewiele interesuje ją przyjemność lektury dobrej powieści w towarzystwie powoli wydłużających się cieni drzew, tonących w złocistym świetle.

— Świnia! — Dobrodusznie przyznaje mi rację.

— Dobrze wie, że jeśli z niego skorzystam, to tylko ze względu na jego aparycję...

— Niedoczekanie! — odpowiada, dolewając mi hojnie białego wina. Cieszę się, że chociaż ona nie ma co do tego wątpliwości.

— Gdyby na świecie nie istniało tylu palantów, wpisałabym w wyszukiwarkę „Igor, trójmiejski casanova”. Nawet ja nie mam jednak siły przeglądać tysiąca wyników. — Śmieję się, sięgając po kieliszek.

— Skąd wiesz, mądralo, czy trójmiejski, skoro również nocował w hotelu? Nie jestem mistrzem dedukcji, ale jak dla mnie to sugeruje, że wcale stamtąd nie pochodzi. Zresztą, dajmy już sobie z nim spokój! — Ida obdarza mnie jednym z tych znaczących uśmiechów. — O wiele bardziej interesuje mnie twój rekin biznesu.

— A co jeszcze mogłabym ci o nim powiedzieć? Jest przystojny, szarmancki, czytany, obyty w świecie i... uwaga, przypomnę ci, bo chyba zapomniałaś — żonaty! Obrączki wymienione, ziarenka ryżu rozsypane na chodniku, marsz weselny zagrany, w zdrowiu i w chorobie, koniec. Nie ma

tematu. — Wzruszam ramionami, po czym upijam długi łyk wina.

— Jak to mówią... znalezione nie kradzione. — Widząc mój oburzony wzrok, dodaje: — No co, sama powiedziałaś, że jego związek to wyłącznie wspólnota majątkowa. Szkoda by było, gdyby taki przystojniak się zmarnował, nie doznawszy namiętnego seksu lub, jak ty wolisz to nazywać, prawdziwej miłości. — Ostatnie słowa sylabizuje, przewracając oczami.

— Niestety, tak się składa, że wolę facetów, którzy mają więcej skromności i mniej żon. Ale masz, zadzwoń do niego. — W pośpiechu sięgam po torebkę, wyciągam z portfela wizytówkę mężczyzny i wręczam ją Idzie. — Jeśli zadowala cię rola kukułki, składającej jaja nie w swoim gnieździe, to proszę bardzo, droga wolna. Tylko pamiętaj, nie licz później na odrobinę szacunku z mojej strony.

— Ech, głuptasie, przecież tylko się z tobą drocę. — Przytula mnie, nie zważając na moje protesty. — Wiesz dobrze, że nie narzekam na brak mężczyzn. Po prostu rozczuła mnie twoje utopijne podejście do życia.

Milczę, z uporem wpatrując się w ścianę, jak gdyby nawet to było ciekawsze niż kontynuowanie tej niedorzecznej rozmowy.

— No już, nie złość się. — Ida szturcha mnie, przybierając przepraszący wyraz twarzy.

Gdy nie reaguję, wzdycha przeciągle, po czym sięga po argument najcięższego kalibru.

— Co powiesz na cztery sery z dodatkowym pepperoni? Przeboleję nawet twoje ukochane, pozbawione finezji grube ciasto — mówi takim tonem, jakby potrzebowała tego bardziej niż ja.

Moje usta bezwiednie rozciągają się w uśmiechu. Nawet o dwudziestej drugiej istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź na to pytanie.

* * *

Godzinę później siedzę z podkulonymi nogami na marmurowym parapecie, opierając policzek o chłodną szybę, a Ida odpala na balkonie piątego papierosa. Zaciąga się głęboko dymem, by następnie niedbale wypuścić go nosem i ustami.

— Mówiłam ci już, żebyś rzuciła? — pytam, mocniej obciągając rękawy swetra.

Z każdym kolejnym dniem wieczory robią się coraz dłuższe. Jeszcze kilka tygodni i poranki osnuwać będzie mlecznobiała mgła, a z drzew spadać zaczną zeschnięte liście, znużone trzydziestostopniowymi upałami, jakimi obficie uraczyło nas tegoroczne lato. Nie miałabym nic przeciwko jesieni, gdyby nie fakt, że zaraz po niej przychodzi mroźna zima, a wtedy mój organizm na każdym kroku przypomina mi, że głęboko w mej naturze leży zwyczaj zapadania w stan hibernacji wraz z borsukami.

Zamiast odpowiedzieć, Ida bawi się zapalniczką. Wznieca płomienie tylko po to, by później zgasić je z sykiem. Po chwili milczenia, nie patrząc mi w oczy, mówi:

— Karol mi się oświadczył.

— Co?! — Natychmiast zeskakuję z parapetu i podbiegam do przyjaciółki. Łapię ją za nadgarstki i przypatruję się jej dłoniom, jak gdyby pierścionek zaręczynowy mógł magicznie się na nich zmaterializować. Wygląda jednak na to, że obrączki są lepsze w pojawianiu się znikąd. — Dlaczego... dlaczego nic mi nie powiedziałaś?! I gdzie schowałaś prawdopodobnie największy diament, jaki widziałam w życiu?

— Ja... — Odwraca głowę, próbując zebrać myśli. — Ja nie powiedziałam „tak”.

— Chyba sobie ze mnie żartujesz. Ten facet cię kocha! A ty kochasz jego, chociaż za nic w świecie się do tego nie przyznasz. — Wzdycham, patrząc karcąco na przyjaciółkę. — Zdajesz sobie sprawę, że nigdzie nie znajdziesz

takiego drugiego?

— Przystań! Przystań się zachowywać, jakbyś wszystko wiedziała najlepiej. Ja nic do niego nie czuję, rozumiesz? Jest mi z nim dobrze w łóżku, nawet bardzo dobrze, i... to tyle. Po co to komplikować?

Jej szaroniebieskie, nieobecne oczy zdradzają, że sama nie wierzy w to, co mówi. Przez chwilę myślę, że powie coś jeszcze, ale tylko kręci głową, nerwowo gasząc niedopalonego papierosa.

— Posłuchaj... — zaczynam, bezskutecznie starając się przechwycić jej spojrzenie. — Może te bzdurne argumenty uspokajają twoje sumienie, ale mnie nimi nie przekonasz. Powiedz mi, kiedy ostatni raz umówiłaś się z innym facetem? Pół roku temu, Ida. Pół roku! Nigdy nie widziałam cię tak szczęśliwej jak przez ostatnie miesiące. — Spaceruję w tę i we w tę po balkonie, otulając się szczelniej burgundowym kardiganem. — Możesz sobie wmawiać, że spotkanie się z kilkoma mężczyznami jednocześnie to szczyt twoich marzeń i ambicji, ale obie dobrze wiemy, że to nie ja wgapiłam się w sufit z idiotycznym uśmiechem, gdy złapałaś grypę, a Karol robił tournée po okolicznych aptekach. A kiedy wrócił do twojego mieszkania z termosem bulionu i torbą zakupów, kazałaś mu zostać na noc. Ty kazałaś zostać jakiemuś facetowi na noc! — Czuję, że zbytnio się zdenerwowałam, więc dodaję spokojniejszym tonem: — Dlatego właśnie mam prawo twierdzić, że podjęłaś najgorszą decyzję swojego życia.

Pod wpływem moich słów z twarzy Idy opada maska obojętności. Widzę, jak cała się kurczy, a po chwili wybucha niepohamowanym płaczem.

— Niczego nie rozumiesz. Wszystko spieprzyłam! To koniec. — Chowa twarz w trzęsących się dłoniach, opierając łokcie na szklanym blacie rattanowego stolika. Spomiędzy jej palców płyną łzy. — Już nigdy więcej go nie zobaczę. Takie laski jak ja zawsze dostają to, na co zasłużyły.

— Głuptasie... — Przytulam ją, pozwalając, by jej rozmazany makijaż

ubrudził mój ulubiony sweter.

— On nigdy, przenigdy mi tego nie wybaczy. Złamałam mu serce — szepcze, z trudem łapiąc oddech.

— Nigdy to bardzo dużo czasu, wiesz? — mówię półgłosem, opierając podbródek na jej głowie. — Skarbie, jemu naprawdę na tobie zależy. Zaufaj mi, jutro rano obudzisz się i wszystko będzie wydawało się mniej ostateczne niż w tej chwili. Zadzwonisz do niego i powiesz, że cię zaskoczył, że nie wiedziałaś...

— Nie! — przerywa mi stanowczo. — Nie masz pojęcia, jak to wyglądało. Ja... po prostu się wystraszyłam. Kiedy uklęknął przede mną w granatowym garniturze, tak pięknie podkreślającym błękit jego oczu... Zwyczajnie spanikowałam. Gdybyś widziała ten ból na jego twarzy, gdy tak stałam, z niedowierzaniem kręcąc głową. I gdy wybuchnęłam śmiechem na widok róż, setek czerwonych róż, porozstawianych w każdym kącie mojego mieszkania... Gdy powiedziałam, żeby przestał się tak gapić, bo dobrze wiedział, że nie zależy mi na stałym związku... Zrozumiałabyś, że wszystko stracone. — Wzdycha, nerwowo mnąc chusteczkę w dłoni, a mnie w głowie rodzi się nie najgorszy plan.

— Okej, dosyć tego mazania — mówię, odsuwając ją na odległość ramion. — Chyba zgodzisz się ze mną, że wystarczy temat facetów na dzisiejszy wieczór?

— Dzisiejszy i co najmniej kilkanaście kolejnych. — Śmieje się, a łzy na jej policzkach zaczynają powoli wysychać.

— Tak sobie myślałam... Co ty na to, żebyśmy w przyszły weekend spotkały się z Ewelina? Wyszłybyśmy gdzieś razem, jak za dawnych czasów.

Czuję na sobie pytający wzrok Idy.

— No wiesz, odkąd pojawił się Czarek, ciągle tylko biega między pracą a domem. Nie widziałyśmy się tyle czasu. Na pewno się ucieszy, gdy

zapropnujemy jej babski wieczór. — „Kto wie, która z nas najbardziej go potrzebuje?”, dodaję w myślach.

— Jasne, to... całkiem niezły pomysł.

— Co powiesz na piątek?

Przyjaciółka kiwa głową w zamyśleniu.

— Piątek jest w porządku.

— Super. Zadzwońię jutro do Eweli i poproszę o wygospodarowanie kilku godzin dla nas — oświadczam, starając się ukryć rozpierającą mnie radość.

Nie jestem osobą, która z łatwością odnawia stare znajomości. O ile nawiązywanie relacji interpersonalnych przychodzi mi bez trudu, o tyle z ich podtrzymywaniem bywa różnie. Czuję jednak, że to najlepsze, co mogę zrobić, by pomóc Idzie zapomnieć na moment o jej własnych problemach. Czasami warto cofnąć się w czasie i przenieść do chwili, gdy wszystko wydawało się takie proste, a jedynym zmartwieniem był wybór odcienia pomadki na sobotnią imprezę.

Sobota w tym momencie wydaje mi się jednak bardzo odległa. Jest już grubo po północy, a mnie czeka jutro powrót do pracy. Znając życie, zastanę zapchaną skrzynkę mailową i stos segregatorów na biurku, a zmierzenie się z tym wymaga przynajmniej kilku godzin porządnego snu i hektolitrów mocnej kawy. Nakłaniam więc Idę do położenia się do łóżka, a sama zaczynam się zbierać do domu.

Gdy w półmroku wkładam buty, z sypialni przyjaciółki dobiega mnie cichy głos:

— Zostaniesz?

— No coś ty, kilka minut spaceru i będę w swoim mieszkaniu. — Schylam się po porzuconą na parkiecie torebkę i zmierzam w stronę drzwi.

— Nie powinnaś sama łązić po nocy.

Zatrzymuję się w progu sypialni Idy.

— Bo złe rzeczy czekają, aż zjem kolację, żeby mi się przytrafić? — śmieję się.

— Proszę — mówi słabym głosem.

To słowo tak rzadko pojawia się w jej ustach, że bez wahania zrzucam sandały i ściągam sweter, a sukienkę zastępuję jedną z koszul nocnych przyjaciółki. Nosimy ten sam rozmiar, co nieraz ratowało mi życie, gdy szykując się na nieliczne randki po rozstaniu z Wiktorem, nie miałam pojęcia, co na siebie włożyć.

Wślizguję się pod jedwabną kołdrę i natychmiast zapadam w sen.

* * *

Rano biegam po mieszkaniu jak oparzona, bo jak zwykle w nieskończoność przedłużałam moment wygramolenia się z łóżka. Biorę szybki prysznic i robię delikatny makijaż, używając kosmetyków Idy. Na szczęście nie muszę budzić przyjaciółki, bo zawsze noszę w torebce jej zapasowe klucze. Nie mam czasu, by skoczyć do siebie i się przebrać, więc wkładam tę samą sukienkę, którą miałam na sobie wczoraj, po czym wybiegam z mieszkania.

Droga do pracy zajmuje mi rekordowy kwadrans. Lawiruję pomiędzy przechodniami jak żółta kulka w labiryncie kultowego Pac-Mana. Cudem udaje mi się uniknąć ochlapania przez przejeżdżający niebezpiecznie blisko chodnika samochód, który najechał na ogromną kałużę. Wbiegam po schodach do biurowca, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wcześniej obdarzam jednak przelotnym spojrzeniem stojącego w cieniu z telefonem przy uchu, żywo gestykulującego mężczyznę. To o jego towarzystwie fantazjowałam kilka miesięcy temu, racząc się nie najszlachetniejszą whisky w ów feralny, samotny wieczór. Chociaż wtedy myślałam o nim jako o tajemniczym brunecie z IT, teraz jest dla mnie niczym więcej prócz kilku liter nakreślonych niebieskim flamastrem na planie budynku.

Rafał to jedna z tych osób, które na pierwszy rzut oka cię przyciągają, a na każdy kolejny odpychają. W całym wieżowcu nie ma kobiety, która by do niego nie wzdychała, mniej lub bardziej beznadziejnie, zauroczona jedynie jego fizycznymi atutami. Niejedna zostawiła mu liścik ze swoim numerem telefonu, bo nagle zepsuł jej się laptop albo ma problem z podłączeniem monitora do odtwarzacza DVD, przypadkowo stojącego obok dużego, dwuosobowego łóżka. Dziwnym trafem w lodówce akurat chłodzi się prosecco. On oczywiście nie śmie żadnej z nich odmówić, więc w oddawaniu przyjacielskich przysług nie ogranicza go nawet to, że pozostaje w długoletnim związku.

W milczeniu podążam korytarzem w stronę swojego biura, przesyłając nieme pozdrowienia mijanym znajomym. Mam wrażenie, że ich uśmiechy są odrobinę mniej powściągliwe niż zwykle, możliwe więc, iż w ciągu mojej dwutygodniowej nieobecności uświadomili sobie, jak dobrze, że zawsze jestem pod ręką, skora do pomocy. Zaparzę sobie mocną kawę i siadam przed komputerem, a następnie zanurzam się w morzu zaległości i rozterek.

* * *

Kolejne dni przebiegają w podobnym rytmie. Większość czasu spędzam w pracy, a wieczory poświęcam zakupom, praniu i sprzątaniam. Czyli wszystkim, czym człowiek zajmuje się po dwutygodniowym urlopie, by opuszczone mieszkanie wróciło do normalności. To zabawne, jak łatwo jest wyciszyć myśli, zatracając się w powtarzaniu banalnych czynności. Czasem to najlepsze remedium na wewnętrzny chaos.

Do tej pory moje segregowanie prania polegało na dzieleniu go na kilka czysto pragmatycznych kategorii. Selekcja nie miała nic wspólnego ani z kolorem, ani ze strukturą materiału. Dotyczyła wyłącznie tego, jak szybko potrzebuję danego ubrania. Tym razem spędzam w markecie niemal pół

godziny, wybierając najlepszy płyn do płukania przeznaczony do ciemnych tkanin, jak gdyby nie było im obojętne, co wlewamy do przegródki.

Ścieram również podłogi, myję okna, poleruję szafki i blaty. Idąc za ciosem, decyduję się także na jesienne porządki w garderobie i w przypiływie złości na swój nadmierny sentymentalizm pozbywam się z niej połowy ubrań. Na koniec kupuję świeże kwiaty oraz rozpalam w ceramicznym kominku wosk o zapachu dzikich jeżyn.

W piątek wieczorem odgarniam z twarzy wilgotny kosmyk włosów i cofam się o kilka kroków, by podziwiać swoje dzieło. Nareszcie moje skromne mieszkanie wygląda jak miejsce, do którego chce się wracać. To nic, że nie odwiedza mnie tu nikt prócz Idy.

W ciągu tygodnia widziałam się z nią dwa razy. Zachowanie przyjaciółki wskazuje na to, że zapomniała o swojej chwili słabości. Ja jednak nie byłam w stanie wyrzucić jej z pamięci i już następnego dnia zadzwoniłam do Karola, by wytłumaczyć mu tyle, ile się da, bez nadużywania zaufania Idy. Przyjął moje słowa z większym spokojem, niż się spodziewałam, i zapewnił, że nie zamierza się poddawać. Wygląda na to, że zależy mu na tej upartej dziewczynie równie mocno jak mnie. Skontaktowałam się także z Ewelina, która, tym razem zgodnie z moimi oczekiwaniami, niezwykle entuzjastycznie zareagowała na propozycję spotkania.

Biorę zatem prysznic i szykuję się do wyjścia. Przebieram się kilkakrotnie, aż ostatecznie decyduję się na dopasowaną, bordową sukienkę na cienkich ramiączkach, która w magiczny sposób dodaje mi pewności siebie. Kończy się zaraz przed kolanem, a jej głęboko wycięty dekolt pokrywa koronkowy haft. Robię również staranny makijaż. Sięgam po czarną, żelową kredkę do oczu i matową pomadkę w kolorze o jeden ton ciemniejszym od moich ust, a policzki pokrywam warstewką koralowego różu, by nadać porcelanowej cerze odrobinę życia. Przeczesuję swoje ciemne, sięgające za łopatki włosy.

Lekko tapiruję je u góry, by dodać im nieco objętości. Przy użyciu lokówki zakręcam końce, żeby lepiej się układały.

Uśmiecham się do siebie w lustrze, po czym wstaję sprzed białej, rustykalnej toaletki, by zadzwonić do Idy. Zbliża się dwudziesta, więc za kwadrans powinniśmy wsiąść w taksówkę, żeby zdążyć zgarnąć Ewelę sprzed jej domu. Wybieram numer przyjaciółki, ale zwleka z odebraniem zdecydowanie zbyt długo, bym mogła spodziewać się, że się odezwie. Dzwonię jeszcze dwa razy, znów nic.

Postanawiam więc poczekać, wykorzystując dodatkowy czas na upchanie najważniejszych rzeczy w małej kopertówce. Sięgam po dokumenty, pomadkę do ust i klucze. Po chwili namysłu dorzucam małe lusterko, żel antybakteryjny i miniaturkę perfum. Tym samym kopertówka nie ma już nic wspólnego z kopertą. Swoją drogą, ciekawe, jakie magiczne sztuczki stosują gwiazdy Hollywood, że ich torebki zawsze wyglądają na prawie płaskie. Muszą nosić je puste.

Krytycznym okiem spoglądam na swoje zniszczone kilkudniowymi porządkami paznokcie. Oczywiście na manicure nie zdążyłam wygospodarować czasu.

Z zamyślenia wyrывa mnie dzwonek telefonu.

— Jagódko, wszystko w porządku? Mam nadzieję, że nic się nie stało, bo to zupełnie nie w twoim stylu tak do kogoś wydzwaniać.

— Wszystko gra. Chciałam tylko zapytać, czy jesteś już gotowa. No wiesz, pora zamówić taksówkę, żeby Ewela nie musiała na nas czekać.

Na kilka sekund zapada niezręczna cisza.

— Przepraszam, złotko. Coś... coś mi wypadło — mówi podenerwowanym tonem, a w tle słyszę zniekształcony męski głos.

Świetnie. Jeśli Ida rezygnuje właśnie z naszego babskiego wieczoru dla jakiegoś przypadkowego posiadacza chromosomu Y, by leczyć swoje smutki

po burzliwym rozstaniu z Karolem, to ma poważne problemy z wyciąganiem wniosków. Nie chcę jednak zepsuć jej humoru rozżalonym komentarzem. Tak się składa, że obie jesteśmy mistrzyniami w postępowaniu ze złamanym sercem. Ja także zamiatam kawałki pod dywan, zamiast posklejać je do kupy.

— Nie martw się. Damy sobie radę we dwie — stwierdzam, wkładając ogromny wysiłek w to, żeby nie było słyhać zawodu w moim głosie.

— Strasznie mi przykro. Innym razem, dobrze?

— Jasne. Miłego wieczoru. — Rozłączam się, zanim fałszywa nuta zabrzmiała na całego.

* * *

Pół godziny później znajduję się przed blokiem Eweliny, wybierając ósemkę na domofonie. Co ciekawe, wciąż pamiętam numer jej mieszkania, choć nie byłam tu od wielu miesięcy. Taksówkarz patrzył na mnie z niedowierzaniem, gdy żarliwie zapewniałam go o moim natychmiastowym powrocie, ale chyba miał ochotę zapalić, bo zgodził się na krótki postój.

Koleżanka podnosi słuchawkę już po kilku sekundach.

— Cześć... Mogłabyś wejść na górę?

Otwiera mi w wytartych dresach i szarej, poplamionej koszulce.

— Nasza szalona wycieczka po klubach przekształca się w piżama party? — żartuję, opierając się o futrynę.

Ale Ewelina się nie uśmiecha.

— Bardzo was przepraszam, Czarek czymś się zatrzał i od dwóch godzin haftuje. Musiał zjeść coś nieświeżego w przedszkolu. — Patrzy na mnie z zaniepokojonym wyrazem twarzy. — Wybacz, ale nie ma opcji, by udało mi się wyrwać z domu... Proszę, ucałuj ode mnie Idę i bawcie się dobrze.

Niewiele mi wiadomo o samotnym macierzyństwie, ale gdy za plecami Eweliny dostrzegam stertę zabrudzonych ubrań i porzuconych zabawek,

dociera do mnie powaga sytuacji. Nie mam serca obarczać Eweli informacją o niespodziewanej zmianie planów Idy, nawet jeśli zbieg tych dwóch okoliczności sprawia, że właśnie zostałam na lodzie. I to bardzo kruchym, biorąc pod uwagę to, jak wielkie nadzieje pokładałam w dzisiejszym wieczorze.

— Na pewno nadarzy się jeszcze niejedna okazja do wspólnego wyjścia — mówię najbardziej pokrzepiającym tonem, na jaki mnie stać. — Mam nadzieję, że mały wyzdrowieje jak najszybciej. Przekaż mu buziaki od ciotek i trzymaj się, kochana!

Mocno ją przytulam, po czym wychodzę. Gdy przeglądam się w lustrze windy, spogląda na mnie uosobienie rozpaczy w czerwonej kiecce, jasnym płaszczu i ciemnych czółenkach ze spiczastym noskiem. Bezwiednie dotykam szyby, chcąc się upewnić, że to wciąż ja, a nie tylko projekcja cudzych oczekiwaniań.

Wybiegam z budynku i szybko reguluję rachunek, wręczając taksówkarzowi dwie dychy napiwku. Nie patrzę mu w oczy, by nie dostrzec w nich cichej satysfakcji. Jest tak, jak przypuszczałam — wróciłam sama. Może po prostu wyglądam jak osoba, na którą nikt nie czeka?

* * *

Choć mój imprezowy nastrój całkowicie wyparował, nie mogę tak po prostu wrócić do domu. Podążam więc w samotności jedną z niezliczonych uliczek okalających wrocławski Rynek. Szarość obecna jest tutaj jedynie na kostce brukowej, bo fasady kamienic mieniają się wszystkimi odcieniami pastelii.

Właśnie z powodu niezwykłego czaru tego miasta nie zdecydowałam się przeprowadzić po ukończeniu studiów do stolicy razem z moim bratem i narzeczoną. Choć upierali się, że to tam spełniają się marzenia, ja powtarzałam, że nie złożę swej ściśle zrosniętej z dziesiątkami uroczych

kładek duszy w ofierze bezdusznym drapaczom chmur. Związek na odległość był wyłącznie tymczasowym rozwiązaniem, biorąc pod uwagę planowany przeze mnie i Wiktora ślub, a jako że ostatecznie do niego nie doszło, już nigdy się nie dowiem, jaki finał miałyby ta historia. Jeśli chodzi zaś o kwestię marzeń, póki co przegrywam z kretesem, jednak nic nie zweryfikuje tego lepiej niż czas.

Swoją drogą, kto by pomyślał, że o tej porze roku będzie tu tylu ludzi? Chociaż nastawiałam się na spokojny spacer słabo oświetloną uliczką, w większości zaułków roi się od grupek podpitych nastolatków. Lato umarło śmiercią naturalną, ale nawet niska temperatura nie przeszkadza im w radosnym podśpiewywaniu.

Idę, starając się omijać łączenia płyt chodnikowych, ale i tak mój obcas klinuje się pomiędzy dwiema z nich. Klnę pod nosem, podejmując karkołomną próbę wyswobodzenia szpilki. Kucam, z trudem łapiąc równowagę, i obiema rękami obejmuję skórzany but, starając się wysunąć z niego stopę. Gdy zostaje boso, chwytam obcas z większym wyczuciem i po chwili udaje mi się go wydobyć. Krzywię się na widok zadrapań. Z pewnością nie obejdzie się bez wizyty u szewca.

Powoli się podnoszę, otrzepuję ręce z piasku i rozglądam się wokół. Niemal od razu dostrzegam mężczyznę opartego o ścianę po drugiej stronie ulicy. Jego oczy błyszczą bardziej niż rozżarzony czubek trzymanego przez niego papierosa. Obserwuje mnie, ze stoickim spokojem wydychając dym z ust.

Muszę wyglądać nieporadnie, jak dziewczynka z dwoma warkoczykami i aparatem na zębach, wpadająca na kapitana drużyny piłkarskiej w pierwszy dzień szkoły. Szkoda tylko, że nikt nie nachylił się, by pomóc w pozbieraniu rozsypanych przeze mnie książek.

Patrzę na niego z wyzywającym wyrazem twarzy, mrużąc oczy.

— Spektakl zakończony, możesz przestać się gapić.

— Szkoda — wzdycha. — Liczyłem na to, że nie zdołasz wyswobodzić tego pantofelka, a zza rogu nadjedzie dyniowa karoca. Jutro musiałbym zjeździć całe miasto, żeby ci go oddać. — Gasi papierosa i wrzuca niedopałek do przepelnionego kosza. — Chociaż jeszcze daleko do północy i coś mi mówi, że wy dostałabyś go, nawet jeśli musiałabyś skorzystać z młota pneumatycznego.

Natychmiast przypominam sobie Igora i jego durnowaty tekst o śpiącej królownie.

— To jakaś nowa moda, tak? Wszyscy faceci muszą się odnosić do bajek?!
— Prycham wzgardliwie. — Naprawdę nie dysponujecie bardziej wyrafinowanymi nawiązaniem literackimi?

Podnosi ręce w obronnym geście.

— Hej, spokojnie. Ja nie jestem wszyscy, choć raczej nie będziesz miała okazji się o tym przekonać. — Wskazuje zatłoczony pub i pyta: — Czego się napijesz?

— Wybacz szczerść, ale szkoda twojego czasu i banknotów. Wysyłasz tych biednych króli na z góry przegraną bitwę. Nie pójde z tobą do łóżka — odpowiadam spokojniejszym tonem.

Wybucho śmiechem, a ja wbijam dłonie w kieszenie płaszcza, bo zaczynam się czuć coraz bardziej nieswojo.

— A skąd ci przyszło do głowy, że chciałbym się z tobą przespać? — Kręci głową z rozbawieniem i podchodzi do drzwi. Lekko je uchyla, po czym odwraca się na moment. — Pracuję tutaj, nie chcę ci kupić drinka, tylko go zrobić. A to znacząca różnica — mówi, znikając w środku.

Podjmując większość decyzji, mam na ich przemyślenie co najmniej jedną bezseną noc. Tym razem dysponuję zaledwie kilkoma sekundami. Nazywam się w myślach idiotką, bo ten facet wcale nie chciał mnie poderwać, a ja

zachowałam się jak zadufana w sobie małolata, i nie wiem czemu, ale wchodzę do przepełnionego lokalu.

Być może dlatego, że chcę się poczuć częścią jakiejś wspólnoty. Bo dziewczyny zostawiły mnie samą, bo nie mam lepszych planów na wieczór, bo dziś wszystko idzie nie tak i chyba nic gorszego nie może się wydarzyć. Bo nareszcie w moim życiu coś dzieje się spontanicznie.

* * *

— Mojito, margarita, a może coś mocniejszego?

— Whisky. Bez lodu, coli ani żadnego innego świństwa — mówię, po czym zajmuję jedyny wolny hoker przy barze i zakładam nogę na nogę.

Patrzy na mnie wyraźnie rozbawiony.

— Nie ukrywam, że nie jest to najlepsze miejsce dla koneserów wysokogatunkowych trunków. — Wskazuje głową grupkę mężczyzn sączących tanie piwo. — Mogę ci zaproponować kiepską single malt albo całkiem niezłą blended.

— Lej cokolwiek, byle dużo.

Moja odpowiedź i tym razem wywołuje uśmiech na jego twarzy, ale na szczęście jej nie komentuje. Bez słowa stawia przede mną szklanekę, po czym rzuca się w wir pracy, poganiany przez kolegę zza baru.

Jest piątkowy wieczór, nic dziwnego więc, że pub pęka w szwach. Pociągam mały łyk i uśmiecham się, zaskoczona bogactwem smaku. Może to mój podły nastrój, ale chyba jeszcze nigdy nie piłam tak dobrego mieszańca. Będę musiała później zapytać barmana, co kryje się pod starannie zasłoniętą przez niego etykietą butelki.

Nagle po plecach przebiega mi dreszcz. Poczułam, że ktoś stanął dokładnie za mną.

— Dobry wieczór, księżniczko.

Nawet nie muszę się odwracać, by rozpoznać właściciela tego przesadnie pewnego siebie głosu. Z trudem przełykam ślinę.

— Był o wiele lepszy, zanim się pojawiłeś. Jak mnie tu znalazłeś? — rzucam nonszalanckim tonem.

— Cóż, nie od dziś wiadomo, że Wrocław to miasto spotkań. — Opiera się o blat tak blisko mnie, że czuję na skroniach jego oddech. — Czemu nie zadzwoniłaś? Złamałaś mi serce. — Teatralnym gestem łapie się za miejsce, w którym znajdowałby się wspomniany przez niego narząd, gdyby w ogóle go posiadał.

Ignoruję jego pytanie, z niemą prośbą wlepiając wzrok w barmana. Choć nie pomógł mi z zaklinowanym obcasem, może tym razem domyśli się, żeby coś zrobić. Desperacja w moich oczach jest na tyle wyraźna, że mężczyzna wyciera dłonie w czarny ręcznik, który wystaje mu z tylnej kieszeni, po czym obchodzi bar i staje obok mnie. Nie wiem, co zamierza, ale przynosi mi ulgę sam fakt, że Igor skupił teraz swoją uwagę na nim.

Tymczasem barman obejmuje mnie w talii i patrząc mi prosto w oczy, pyta miękko:

— Wszystko w porządku, kochanie?

Pod względem zdolności aktorskich wygrywa z Igozem w przedbiegach. Na dźwięk jego niskiego głosu, na pozór przeznaczonego wyłącznie dla mnie, moje ramiona i dekolt błyskawicznie pokrywa gęsia skórka. Na moment zapominam, że to tylko gra, mająca za zadanie jedynie zniechęcić Igora. Tak dawno nikt nie zwracał się do mnie z taką czułością, że nie muszę udawać, gdy się uśmiecham, odgarniając niesforny kosmyk włosów z jego czoła.

— Tak. — Choć nie mam ochoty odrywać wzroku od jego twarzy, przenoszę spojrzenie na Igora. Kątem oka dostrzegam, jak zaciska pięści. — Ten pan już sobie idzie.

Igor wzdycha i kiedy już myślę, że tym razem wygrałam, mówi:

— Wiem, że wzięłaś mój numer. Kiedy skończysz z tym chłopcem, zrób z niego użytek. — Odwraca się na pięcie i wychodzi z lokalu, zabierając ze sobą resztki mojej godności.

* * *

Przez chwilę siedzimy w ciszy. To znaczy ja siedzę na wysokim stołku, z łokciami wspartymi o blat, a on s prawnie przygotowuje drinka jakiejś lekko wstawionej blondynie, jak gdyby przed chwilą wcale nie udawał mojego faceta. Nasze milczenie w pewien sposób wydaje się właściwe, mimo iż czuję na skórze dziwne mrowienie.

W myślach analizuję całą tę sytuację i jeszcze bardziej zadziwia mnie impertynencja Igora. Zastanawiam się, czy opowiedzieć mojemu wybawcy o okolicznościach poznania chłopaka, ale jak siebie znam, prawdopodobnie skończyłoby się to tyradą na temat samczej natury, na której przymusowe wysłuchanie sobie nie zasłużył. Zresztą, co go to w ogóle obchodzi? Rzucam więc tylko:

— Jak mogę ci się odwdzińczyć?

Jedną ręką delikatnie rozgniata muddlerem limonkę z liśćmi mięty, a drugą sięga po butelkę białego rumu.

— Daj spokój. Nie masz pojęcia, ile kobiet ratowałem z podobnych sytuacji. Nie musisz mi dziękować.

— Świetnie. Czyli przynoszę wstyd całej płci żeńskiej, pakując się w to samo bagno, co inne dziewczyny... — Moją odpowiedź zagłusza kruszarka lodu.

— Co mówiłaś? — Odmierza idealną porcję cukru.

— Nic. Niezależnie od tego, ile razy robiłeś to wcześniej, jestem twoją dłużniczką.

Stawia drinka przed chwiejącą się na niebotycznie wysokich szpilkach

dziewczyną, która przesyła mu buziaka w powietrzu i nazywa cudotwórcą.

— Nie przejmuj się jakimś idiotą. Nie pierwszy i nie ostatni.

Chłopak bierze się do realizacji kolejnych zamówień, a ja się zastanawiam, co tu w ogóle jeszcze robię. Chyba po prostu nie chcę wracać do mieszkania, w którym każda rzecz przypomina mi o tym, iloma porażkami usłane jest ostatnie półtora roku mojego życia. Niestety, wbrew naiwnym oczekiwaniom, dzisiejszy wieczór nie zakończy tego pasma frustracji, a wzbogaci je jedynie o kolejne rozczarowania.

— Mogę tu posiedzieć? — wypalam, zanim zdążę się zastanowić.

Wzrusza ramionami.

— Jasne. To miejsce publiczne, więc w zasadzie każdy może tu spędzać tyle czasu, ile ma ochotę. Oczywiście w godzinach otwarcia — odpowiada, nawet nie spoglądając w moją stronę.

Nie wiem, czy satysfakcjonuje mnie ta racjonalna, wyprana z emocji reakcja. Chyba podświadomie liczyłam na coś więcej — coś mniej namacalnego niż przyzwolenie na zajęcie miejsca przy barze. Jedynie to może tłumaczyć niedorzeczność mojego zachowania, wstaję bowiem, rzucam banknot na blat i wychodzę bez pożegnania.

Wiem, że zauważył moje odejście. Czuję na plecach jego wzrok odprowadzający mnie do drzwi.

Nie odwracam się.

Rozdział V

Słyszę głośnie, rytmiczne uderzenia. Z każdą sekundą przybliżają się coraz bardziej. Szeroko otwieram oczy, z trudem łapiąc oddech. Moje serce bije jak oszalałe. Ma świadomość czegoś, z czego głowa jeszcze nie zdaje sobie sprawy. Pokój zalewa atramentowa ciemność, a ktoś wali do drzwi. Do moich drzwi.

Nie mam pojęcia, co się, do cholery, dzieje. Gwałtownie się podnoszę, siadam na łóżku i czekam, aż miną zawroty głowy, a kontury nabiorą ostrości. Odrzucam kołdrę i spuszczam nogi, po czym próbuję wstać, ale duży palec zaplątał mi się w prześcieradło i przez kilka sekund widzę siebie z roztrzaskaną czaszką na podłodze. Cudem utrzymuję równowagę. Muszę oddychać. Wdech, wydech. No dalej, przecież ćwiczyłam to tyle razy.

Klnę, wolnym krokiem podchodząc do drzwi. Choć uwielbiam mieszkać sama, w momentach takich jak te żałuję, że nie mam kogo obudzić. Staję na palcach i wyglądam przez wizjer.

— Czyś ty oszalała?! — szepczę gniewnie, wpuszczając Idę do środka. — Prawdopodobnie swoim dobijaniem się postawiłaś właśnie na nogi cały budynek!

— Cześć, ślicznotko! Też się cieszę, że cię widzę. — Przytula mnie i całuje w oba policzki. — Mówiłam ci, moja droga, że opuszczanie na noc wszystkich rolet w mieszkaniu nie jest najmądrzejszym wyjściem. To skrajnie aspołeczne i nierealistyczne, zresztą... całkowicie w twoim stylu. — Wzdycha, zdejmując płaszcz i rzucając go niedbale na wieszak. — Masz pojęcie, która jest godzina?

Przecieram oczy, mając problem z przyswojeniem tak dużej ilości

informacji naraz. Jeszcze kilka minut temu śniłam o lataniu. Albo nurkowaniu, nie pamiętam.

— Widzę, że nieźle wczoraj zabalowałyście. — Patrzy na mnie z rozbawieniem, rozsiadając się w jednym z moich dość starych, ale niezwykle wygodnych foteli. Razem z niskim, mahoniowym stolikiem kawowym, puchatym dywanem, niewielką komodą oraz sporym regałem na książki stanowią namiastkę salonu i jadalni w jednym.

Powoli zaczynają do mnie docierać strzępki wspomnień wczorajszego wieczoru. Najpierw przychodzi złość, później zażenowanie.

— Wiesz, wczoraj wszystko poszło nie tak — oznajmiam, wpatrując się w swoje stopy.

— Strasznie mi głupio, że z wami nie poszłam. Naprawdę. Wiem, że chciałaś poprawić mi tym humor, i bardzo to doceniam, ale po prostu... — Spogląda przed siebie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. — To była wyjątkowa sytuacja. Obiecuję, że za tydzień zorganizuję powtórkę, tym razem już w komplecie.

— W porządku. Nie jestem na ciebie zła. — Zajmuję fotel obok niej i podkulam nogi. — No, może trochę jestem, ale z innego powodu. Zwyczajnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego po tym wszystkim... dlaczego mu to robisz.

Ida porusza się niespokojnie.

— Nie oceniaj mnie, proszę. — Kręci głową, przygryzając wargi. — To nie tak, jak myślisz. Kiedyś ci wszystko wyjaśnię, ale teraz... Teraz nie mogę.

Nie wiem, co tu jest do tłumaczenia. Dotychczas nie spowiadała mi się ze swoich jednorazowych przygód miłosnych, ale nie decyduję się powiedzieć tego na głos. „Przestań układać innym życie, kiedy twoje własne jest w rozsypce” — powtarzam w myślach.

— Jasne, przepraszam. — Patrzę na nią z pojednawczym wyrazem twarzy, tak że nie ma innej możliwości, jak odwzajemnić uśmiech. — A jeśli chodzi

o przyszły weekend... Nie mogę się doczekać naszego wspólnego wyjścia, ale błagam, nie organizuj powtórki wczorajszego wieczoru.

— Dlaczego? Ewela postanowiła wygłosić monolog na temat wyższości pieluch tetrowych nad pampersami w towarzystwie koleśka, który wpadł ci w oko? — rzuca ze śmiechem.

Patrzę na wesołą Idę i po raz pierwszy zaczynam żałować, że nie mam w zanadrzu żadnych anegdotek ze mną i Ewelina w roli głównej.

— Eweli też coś wypadło — mówię szybko, po czym zamykam oczy, by nie dostrzec wyrzutów sumienia malujących się na jej twarzy. — Ale możesz być ze mnie dumna, bo nie wróciłam do domu z podkulonym ogonem. — „A przynajmniej nie od razu” dodaję w myślach.

— Biedactwo, zostałam sama?! Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Zaraz, to co w takim razie robiłaś? — Wyrzuca z siebie pytania z prędkością karabinu maszynowego. — Czekaj... poznałaś kogoś!

— Tak. To znaczy nie. To znaczy... nie wiem, jakim cudem, ale Igor skądś wiedział, że nie wyrzuciłam jego numeru. No i jakimś dziwnym zrządzeniem losu chyba pochodzi z Wrocławia, bo nie wierzę, że faktycznie dopytał recepcjonistkę o to, skąd jestem. Tak czy owak, zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. — Wydaję z siebie cichy jęk i chowam głowę w poduszkę.

— Spokojnie, po kolei. Spotkałaś Igora? Zadzwoniłaś do niego...? — Wzdycha z niedowierzaniem.

— Nie! Boże, nie. Ewela musiała zostać z Czarkiem, więc postanowiłam zabić czas, wracając do domu pieszo, i prawie skręciłam nogę, a wtedy jakiś facet, który okazał się barmanem, zaprosił mnie do swojej knajpy i udawał mojego chłopaka, gdy Igor nie chciał dać mi spokoju — wyjaśniam, a po chwili ciszy dodaję: — A ja tak po prostu wyszłam.

Ida patrzy na mnie, jakbym była kosmitką.

— Szoruj pod prysznic. Zaparzę nam kawę i przewietrzę tę jaskinię,

a później wszystko mi opowiesz. Ze szczegółami, bo póki co nic się tutaj nie trzyma kupy.

* * *

— Myślisz, że cię śledził? — Ida patrzy na mnie z wytrzeszczonymi oczami.

— Daj spokój, nie wygląda mi na psychopatę. To był raczej nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Zresztą wydawał się równie zdziwiony jak ja. Choć nie na tyle, by wyjść ze swojej żalösnej roli niepoprawnego kobieciarza. — Krzywię się i upijam łyk kawy.

— Okej. Przyjmijmy, że to był przypadek — mówi, przeciągając samogłoski, bym nie miała wątpliwości, że wciąż w to nie wierzy. — Ale nie w mówisz mi, że przypadkiem było pojawienie się twojego supermana...

Wybucham śmiechem.

— Uprzedzam, nie nosił bielizny na wierzchu.

— Szkoda. — Przyjaciółka uśmiecha się podstępnie. — To jak, od dzisiaj mam na ciebie mówić Lois Lane? W sumie jesteś całkiem do niej podobna.

Rzucam w nią poduszką.

— Wyobraź sobie, że oprócz tej jednej, ewidentnie wymuszonej przysługi był kompletnie niezainteresowany moją osobą.

— Błagam cię, jesteś w typie każdego heteroseksualnego mężczyzny w przedziale wiekowym od dwunastu do pięćdziesięciu lat! Więc albo jest gejem, w co wątpię, skoro tak przekonująco odegrał rolę twojego faceta, albo...

Telefon Idy zaczyna wibrować, ale przyjaciółka odrzuca połączenie, po czym z powrotem wrzuca komórkę do torebki.

— Mówię poważnie — kontynuuję, wykorzystując chwilę jej nieuwagi. — Praktycznie się do mnie nie odzywał. Nie chciał nawet wiedzieć, jak mam na imię, nie wspominając o poproszeniu o mój numer telefonu. Oczywiście nie

twierdę, że bym mu go podała, ale...

— Onieśmieliłaś go swoją urodą, ot co! — stwierdza przyjaciółka, uderzając dłońmi o podłokietniki fotela. — Musimy się tam wybrać z dziękczynną misją. Stawiam dziesięć do jednego, że gdy tylko cię zobaczy, padnie do twoich stóp.

— A kto powiedział, że bym tego chciała? — mówię naburmuszona. — Och, Ida... Twoje próby wyswatania mnie z każdym napotkanym facetem są urocze, ale nie wpływają zbyt dobrze na moje poczucie własnej wartości. Byłabym wdzięczna, gdybyś dała sobie z tym spokój. — Jej komórka znów się rozdzwania. Głośna melodia boleśnie wwierca się w mój świeżo obudzony mózg. — I odbierz, proszę, ten cholerny telefon.

Przyjaciółka przewraca oczami, ale sięga po smartfona.

— Chyba żartujesz?! — Nie martwi się przywitaniem. — Tak, wiem, że dzwoniłeś, ale wyobraź sobie, że do twoich obowiązków jako mojego asystenta... — Wstaje i zaczyna krążyć po pokoju jak zwierzę w klatce. — Naprawdę myślisz, że mnie to interesuje? Za co ja ci w ogóle płacę?!

— Uspokój się — mówię do niej bezgłośnie, również się podnosząc.

Kręci głową, wplatając palce wolnej ręki w swoją burzę złocistych włosów.

— Jasne, w porządku — odzywa się po chwili. — Trzeba było tak od razu. Nie martw się, ten dostawca ma nierówno pod sufitem. Tak, zaraz tam będę. — Rozłącza się, spoglądając w moją stronę z krzywym uśmiechem. — Nie patrz tak na mnie. Dobrze wiesz, że nie jestem najłatwiejszą szefową.

Odwracam się, by odstawić do zlewu kubki po kawie, po czym wycieram ręce w ręcznik z kwiatowym wzorem, opierając się biodrem o szafkę.

— Wiem. Leć już, porozmawiamy później.

— Co zrobić, pańskie oko konia tuczy. — Wzdycha, wkładając w pośpiechu szlafrokowy płaszcz w odcieniu brudnego różu.

Otwieram jej drzwi, a kiedy za nimi znika, wołam:

— Dzięki, że przysłaś! Naprawdę.

— A ja dziękuję, że nie zadreczasz mnie pytaniami. I że pomimo mojego wczorajszego karygodnego zachowania nie wyrzuciłaś mnie z mieszkania. — Przesyła mi całusa, zbiegając ze schodów.

* * *

— Mamuśka, co ty wyprawiasz?! — mówi z wyrzutem Ida, wyciągając rękę po komórkę Eweliny. — Odłóż ten telefon, a najlepiej w ogóle go wyłącz — proponuje, starając się zachować powagę. — No już, nie świruj! Zostawiłaś młodego pod najlepszą opieką, a poza tym masz święte prawo raz na jakiś czas wyjść z domu.

Ewela mruga kilkakrotnie, z zaskoczeniem przyglądając się swoim dłoniom, jak gdyby dopiero teraz zauważyła, co zamierzała zrobić. Choć po zeszłotygodniowym zatruciu pokarmowym jej synka nie ma ani śladu, czego dowodem może być wesołe pogryzanie przez młodego żelków zmieszanych ze słonymi paluszkami, Ewelina nie przestaje się o niego niepokoić. Wyszliśmy z jej domu może pół godziny temu, a ona już wybierała numer babci Czarka, żeby upewnić się, że z chłopcem wszystko w porządku.

— Jezu, jestem jedną z tych matek... — jęczy, przejeżdżając dłońmi po prawie nieumalowanej twarzy. — Wybaczcie, dziewczyny, zrobiłam się okropnie nudna. Mam wrażenie, że od liceum dzielą nas wieki.

— Nie przepraszaj za to, że się martwisz, głuptasie. — Głaszczę ją uspokajająco po plecach. — Mały pewnie już smacznie śpi, więc tym wydzwanianiem tylko byś go obudziła.

Ewela nie odpowiada. Albo wciąż ma pewne wątpliwości co do stosowności wykonania połączenia, albo spostrzegła, że na horyzoncie pojawili się kelnerzy. Jeden stawia przed nami kwadratowe talerze

z mikroskopijnymi przystawkami, po czym pospiesznie się oddala. Drugi rozmieszcza pękate, zwężane u góry kieliszki do czerwonego wina, by następnie z wprawą otworzyć butelkę. Przechyla ją z lekką nonszalancją, nalewając odrobinę cabernet sauvignon do każdego z kieliszków, i cofa się o pół kroku, czekając na osąd. Wymieniam znaczące spojrzenia z dziewczynami, po czym patrzę na chłopaka zachęcająco, bo już po samym zapachu wiem, że na jednej butelce się nie skończy.

— Nie chcecie wiedzieć, kiedy ostatni raz pozwoliłam sobie na taki wieczór — oświadcza wesoło Ewelina, kiedy tylko kelner znika z pola widzenia.

— Nie chcemy — mówimy jednocześnie z Idą, zgodnie unosząc kieliszki na znak toastu.

Uśmiecham się do swoich myśli. Jak to dobrze, że pomimo szaleńczego upływu czasu pewne rzeczy się nie zmieniają.

Rozdział VI

Jesień wdziera się do życia jak bejszki kot. Zwierzak najpierw niespiesznie liże swoje łapy pod blaszanym daszkiem po przeciwnej stronie ulicy, zerkając tęsknie w naszą stronę, gdy światło i ciemność walczą ze sobą w trakcie gwałtownej, ulewnej burzy. W końcu poddajemy się i wpuszczamy go do środka, a on zwija się w kłębek u naszych odzianych w wełniane, pocerowane skarpety stóp. Choć początkowo jesteśmy przeciwni, ostatecznie cieszymy się z jego obecności.

Podobnie jest z jesienią. Narzekamy na związany z nią niedobór energii witalnej i światła słonecznego, ale to właśnie dzięki niej mamy prawo popadać w melancholię, szczerze owijać się kocem, trzymając kubek melisy w dłoni, i wpatrywać się w bakłażanowe zachody słońca. Jesienią wypada nawet uronić kilka łez, choćby i bez powodu.

Niestety, również jesienią trzeba chodzić do pracy. Zwlekam się więc z łóżka i biorę długi, ciepły prysznic. W kuchni wyjadam resztkę zbożowych ciastek, które udało mi się zachować na czarną godzinę w puszcze ukrytej pomiędzy mikrofalówką a stojakiem na ręczniki papierowe. Naciągam rajstopy na pokryte gęsią skórą nogi, wkładam kilka warstw ubrań i czarne kozaki na słupku, a następnie wybiegam z budynku, by przed rozpoczęciem pracy zdążyć jeszcze zaparzyć sobie kubek gorącej kawy.

Stąpając ostrożnie po usłanym mokrymi liśćmi chodniku, rozmyślałam o nieuchronnie zbliżających się świętach. To właśnie ten moment w roku, kiedy zmuszona jestem odwiedzić dom rodzinny. Wiem, że przymus brzmi brutalnie w kontekście Bożego Narodzenia, które powinno pachnieć pierniczkami z konfiturą pomarańczową własnej roboty, ale to jest właśnie

pierwsze słowo, jakie przychodzi mi do głowy.

Jestem jednym z dwójki dzieci Barbary i Piotra Szewczuków. Moi rodzice nie są przesadnie bogaci, ale bardzo zależy im na tym, by za takich uchodzić. W zasadzie to, co pomyślą inni ludzie, jest jedyną rzeczą, o jaką dbają. Powiedzieć, że mój światopogląd kłóci się z ich priorytetami, to nic nie powiedzieć. Ojciec jest poważanym dyrektorem spółki handlowej, a matka zgorzkniałą panią domu. Nosi się z godnością typową dla potomka krwi królewskiej. Jego nigdy nie ma, a jej główne hobby to siedzenie na tarasie z kieliszkiem wytrawnego wina i wyszukiwanie coraz to droższych kremów przeciwzmarszczkowych oraz porcelanowych zastaw stołowych, z których nikt nie korzysta. Czasem z roztargnieniem podnosi wzrok i rozgląda się wkoło, jak gdyby właśnie zauważyła, że istnieje świat poza kolorowymi pisemkami. Zaraz jednak z powrotem zatapia się w lekturze.

To nie mama wprowadzała mnie za rękę do budynku pełnego rozwrzeszczanych dzieciaków w mój pierwszy dzień szkoły. To nie tata nauczył mnie prowadzić samochód. To nie do rodziców zadzwoniłam, gdy dowiedziałam się, że zdałam maturę najlepiej w klasie czy śpiewając obroniłam dyplom na uczelni. Moją nianią, powiernikiem tajemnic, matką i ojcem w jednym był starszy brat. Wolę nie myśleć o tym, jak wyglądało dzieciństwo Adama. Czy ktoś był przy nim, gdy nabił sobie guza lub rozciął kolano? Czy ktoś dmuchał delikatnie w ranę, powtarzając mu, że przecież już nie boli? Czy ktoś przyniósł mu kubek kakao i czytał bajki, siedząc przy jego łóżku i czekając, aż zaśnie?

Moi rodzice nie rozumieli, że nie zależało mi na kolejnych domkach dla lalek. Chciałam tylko, żeby ktoś zapytał, która z nich jest moją ulubioną.

* * *

W pracy znów czeka na mnie powitalny mail od Idy. Stało się to naszą małą

tradycją, że każdy poniedziałek rozpoczynam od przeczytania humorystycznej, nierzadko uszczypliwej wiadomości. Dobrze, że moja przyjaciółka jest bardzo kreatywna, bo naprawdę by mi ich brakowało.

Dzisiejszy mail wyjątkowo nie dotyczy pracy, ale drugiego ulubionego tematu Idy.

Staropanieństwo — czy to już?

Czy masz wrażenie, że wszyscy spotykani przez ciebie mężczyźni swoim poziomem dojrzałości pretendują do miana mieszkańca kinder niespodzianki?

Czy większość wieczorów spędzasz na kanapie z maseczką liftingującą na twarzy i książką na temat samodzielnego rodzicielstwa w dłoni?

Czy ostatni raz, gdy miałaś okazję trzymać w rękach bukiet kwiatów — nieważne, że nie były dla Ciebie — to nie był przypadkiem ślub twojej o pięć lat młodszej koleżanki?

Jeśli twoja odpowiedź na choć jedno z powyższych pytań jest twierdząca, zastanów się, czy nie byłoby warto coś zmienić w swoim życiu.

PS Ta wiadomość jest rozsyłana automatycznie. Prosimy na nią nie odpowiadać.

PPS Za to zaleca się opowiedzieć o własnych przemyśleniach swojej najlepszej przyjaciółce, na przykład dziś wieczorem o 21.00.

Wiadomość najpierw mnie rozbawia, a następnie wprawia w zadumę. Od rozpadu mojego ostatniego i w zasadzie jedyne go poważnego związku minęło kilkanaście miesięcy. Chociaż planowaliśmy z Wiktorem ślub, teraz czuję, że rozstanie z nim było najlepszym, co mogło mnie spotkać.

Myśląc o końcu czegoś, co miało trwać całe życie, już nie czuję smutku. Pierwsza miłość musi umrzeć. Jest piękna i czysta, ale nie ma nic wspólnego ze świadomym wyborem. Nie niesie ze sobą ryzyka. Po prostu się dzieje. Jest bezwolną reakcją organizmu, który nie wie, czego się spodziewać. Nie mamy pojęcia, w co się pakujemy i czy to naprawdę to. Każde kolejne uczucie jest mniej na zawsze. Z czasem zyskujemy coraz więcej siebie i coraz łatwiej jest nam obejść się bez obecności drugiej osoby.

Nie zaprzątam już sobie głowy dalekosiężnymi planami. Spotykając facetów, nie patrzę na nich jak na potencjalnych tatusiów, niczym Ewela, i nie oceniam ich przez pryzmat dochodów, jak Ida. Szukam kogoś, kto nie będzie mi się przyglądał jak zlepkowi narządów, z krzywym uśmiechem lustrując jędrność moich ud. I choć większość moich koleżanek uważa, że pociągająca aparycja mężczyzny wynagradza jego brak umiejętności odróżnienia pietruszki od koperku oraz nawyku opróżniania kieszeni przed wrzuceniem spodni do prania, nigdy nie uwierzę, że właśnie tak wygląda szczęście.

* * *

Zgodnie ze wskazówkami podanymi w mailu punkt dziewięta wkraczam do apartamentu Idy, zastając ją poprawiającą przed lustrem nienaganny jak zwykle makijaż. Ma na sobie dopasowany kombinezon w fantazyjny wzór i długie, zamszowe kozaki.

— Możesz mi powiedzieć, co ty wyprawiasz? Byłam pewna, że zostajemy w domu!

— Dość już siedzenia w czterech kątach. Nawet nie waż mi się rozbierać!
— ostrzega, zauważając, że rozpinam trenecz. — Wychodzimy na miasto.

Obdarzam podejrzliwym spojrzeniem swoją białą koszulę z fontaziem, brązowe cygaretki i wygodne, skórzane mokasyny.

— Zdajesz sobie sprawę, że będę wyglądać przy tobie jak przyzwoitka?

— Nie gadaj głupot. — Zastyga z czerwoną szminką w połowie drogi do ust i odwraca się. Patrząc mi prosto w oczy, oświadcza: — Najwyższy czas, żebym poznała twojego barmana.

Wgapiam się w nią wytrzeszczonymi oczami.

— Nie ma mowy! Wybij to sobie z głowy.

— Kochanie, od waszego spotkania minęło dobrych kilka tygodni. Najprawdopodobniej w ogóle nie będzie cię pamiętał. — Wzrusza ramionami, a na jej twarzy pojawia się znaczący uśmiezek. — A jeśli cię rozpozna, to tylko dlatego, że wbrew temu, co mi naopowiadałaś, wpadłaś mu w oko. Widzisz, w tej sytuacji nie ma przegranych.

— W życiu ci nie pokażę, gdzie on pracuje — oświadczam, krzyżując ręce na piersiach.

— Pokażesz, pokażesz... No już, zbieraj się! — mówi, a dostrzegając brak reakcji z mojej strony, dodaje pojednawczo: — Jeśli nie będziesz chciała, to nawet do niego nie podejmiemy. Usiądziemy w jakimś zaciemnionym kąciuku, ukradkiem mi go wskażesz i po chwili przeniesiemy się gdzie indziej. Umowa stoi?

„Być może wcale nie będzie go dziś w pracy” — myślę.

— Dobrze, niech ci będzie.

* * *

Moje nadzieje okazały się płonne. Mimo że pub jest jeszcze bardziej zatłoczony niż ostatnio, od razu go dostrzegam. Otoczony jest wianuszkiem dziewczyn, sączących wymyślne drinki i odrzucających do tyłu włosy ze śmiechem. Znikąd pojawia się irracjonalne ukłucie zazdrości.

Zajmujemy z Idą ostatni wolny stolik, znajdujący się w bezpiecznej odległości od baru. Proszę ją, by przyniosła nam coś do picia, bo sama nie jestem w stanie tego zrobić — nawet jeśli przygotowywaniem napojów

zajmuje się jeszcze inny chłopak.

Po kilku minutach przyjaciółka wraca, trzymając w dłoniach nasze drinki. Są zbyt kolorowe, by były smaczne. Zajmuje miejsce obok mnie i z triumfalnym wyrazem twarzy stwierdza:

— No dobra, niezły jest.

— Kto? Nawet ci nie powiedziałam, czy dzisiaj pracuje.

Opiera łokcie na stole, patrząc na mnie z lekko przechyloną głową.

— Ten facet wytwarza chyba jakieś niewidzialne pole siłowe, bo odkąd tu weszliśmy, patrzysz wszędzie, tylko nie w jego stronę.

Sięgam po drinka i pociągam łyk, mieszając kostki lodu słomką.

— Gładka, grafitowa koszula, brązowe włosy, delikatny zarost... — kontynuuje z szerokim uśmiechem. — Mam wymieniać dalej czy uwierzysz, że się nie mylę?

— Są ciemnoblon. Nie brązowe — odpowiadam spokojnym tonem.

— Wygląda na to, że zdążyłaś się dobrze przyjrzeć...

Wyławiam z drinka kostkę lodu i zanim przyjaciółka zdąży się odsunąć, wrzucam ją za jej kołnierz.

— Czyś ty osza... — Zrywa się z krzesła i zaczyna śmiesznie podskakiwać, łapiąc się rękami za plecy. Po chwili chyba dociera do niej beznadziejność sytuacji, bo rezygnuje z próby wydostania lodu. Zamiast tego zbliża się do mnie powolnym krokiem, mówiąc: — Nie, moja panno. Tak się nie będziemy bawić.

Szybko się podnoszę i zaczynam odsuwać się do tyłu, nie spuszczając z niej wzroku. Nie pozwolę jej tak łatwo się zemścić. Dostrzegając moją przezorność, dziewczyna postanawia zmienić taktykę. Odwraca się i biegnie w stronę baru.

Wykorzystuję chwilę względnego spokoju, by rozejrzeć się wkoło. Rozmowy przy większości stolików zamarły i niemal wszyscy się w nas

wpatrują. Uśmiecham się z zażenowaniem, jak gdyby obrzucanie się kostkami lodu w miejscu publicznym przez dwie dwudziestosiedmiolatki było czymś normalnym.

Przenoszę wzrok z powrotem na Idę. Zauważam, że wraca do naszego stolika, ukrywając coś za plecami. Zbieram się na odwagę i zerkam przelotnie na „mojego” barmana. Jęczę w duchu, widząc, że nasze wygłupy przyciągnęły także jego uwagę.

Tracę czujność tylko na moment, ale przychodzi mi za to słono zapłacić. Zanim zdążę zareagować, Ida wychyla nade mną całe wiaderko lodu. Większość kostek rozbryzguje się na podłodze, ale spora ich część trafia za mój kołnierz i w dekolt. Zalewa mnie paraliżująca fala zimna.

— No, to teraz jesteśmy kwita.

Ida śmieje się, podchodząc do stolika. Siada na swoim krześle i jak gdyby nigdy nic zaczyna sączyć pozostawionego drinka. Kilka osób bije brawo.

— Pamiętaj, że to ty zaczęłaś! — krzyczy, by nikt nie miał wątpliwości, kto zwyciężył w tym pojedynku. Po chwili dodaje cichszym głosem: — Chodź tutaj, głuptasie.

Osuwam się na siedzenie obok niej, z trudem łapiąc oddech. Lodowata woda spływa mi między łopatkami. Krzywię się, dostrzegając prześwitujący przez bluzkę biustonosz. Nie pomaga fakt, że koszula jest biała, a stanik półprzezroczysty i pozbawiony usztywnienia.

— Zawsze chciałam być miss mokrego podkoszulka — mamroczę, starając się nie szczekać zębami.

Ida odchyła głowę i wybucha perlistym śmiechem.

— Nie chcę wiedzieć, co dzieje się właśnie w głowach tych wszystkich facetów, którzy się na ciebie gapią. A tym bardziej tych, którzy nie mogą tego robić... — Dyskretnie wskazuje siedzącą przy oknie parę. Chłopak stara się skupić wzrok na swojej towarzyszce, ale kątem oka zerka w naszą stronę.

Dziewczyna łapie go za rękę, by przyciągnąć jego uwagę. — To jak, nie podziękujesz swojemu oprawcy? — pyta wesoło Ida.

Patrzę na nią zdezorientowana.

— Jak myślisz, skąd wytrzasnąłam cooler? Sama nie obmyśliłabym tak szatańskiej zemsty.

Spoglądam jej prosto w oczy, zaklinając rzeczywistość.

— Nie wierzę! Nie zrobiłaś tego.

— Może tak, może nie — odpowiada śpiewnym głosem. — Jeśli do niego nie podejdziesz, nie przekonasz się.

— Nie tak się umawialiśmy — przypominam, chowając twarz w dłoniach.

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim rozpętałaś wojnę. Wiesz, że nie znoszę przegrywać.

— Choćbyś wrzuciła mnie nagą do odkrytego basenu wypełnionego lodem w samym środku śnieżnej zamieci, nie ma opcji, żebym... — urywam, widząc dziwny wyraz twarzy Idy.

— Tak szybko zawarłyście sojusz? — Ktoś kładzie rękę na oparciu mojego krzesła. — Liczyłem na dalszą część show.

— Ja...

Nie wiem, co się dzieje. Choć zwykle potrzebuję zaledwie ułamka sekundy, by wymyślić ciętą ripostę, teraz nie mogę wykrztusić z siebie ani słowa. Przygryzam wargę, patrząc błagalnym wzrokiem na przyjaciółkę.

— Jagódka nie jest mściwą osobą i, w przeciwieństwie do mnie, nie musi zawsze wygrywać. Można powiedzieć, że dobrałyśmy się idealnie. Tak w ogóle to jestem Ida. — Podaje mu dłoń z figlarnym uśmiechem. — Dzięki za pomoc.

Patrzę na jej długie, lśniące włosy, złocistą skórę i wielkie, szaroniebieskie oczy. Ta dziewczyna jest stworzona do triumfowania — również, a może przede wszystkim, na polu towarzyskim. Każdy jej ruch emanuje

zmysłowością. Bez najmniejszego wysiłku onieśmiela nie tylko wszystkich mężczyzn w zasięgu jej wzroku, lecz także wprowadza w zakłopotanie kobiety. Przy niej cały świat staje się tłem.

Po raz drugi tego wieczoru odczuwam niedorzeczne ukłucie zazdrości.

— Michał, miło mi. Czy mi się wydaje, czy już kiedyś gdzieś spotkałem twoją koleżankę? — „Mój” barman przenosi wzrok na mnie, starając się nie roześmiać.

— To wy się znacie? — Ida udaje zaskoczenie, spoglądając na mnie z ognikami w oczach.

Czuję, że jeśli szybko nie przejmę kontroli nad tą rozmową, to zabrnę o wiele dalej, niż powinna. Otwieram usta, by przemówić, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

— Może opowiesz Idzie o tym, jak się poznaliśmy, Jagódko? — odzywa się wesoło chłopak, kładąc nacisk na moje imię. Wygląda na to, że nie tylko ja zauważyłam absurdalność tego, że dotychczas się sobie nie przedstawiliśmy.

Krzyżuję ręce na piersi, starając się ignorować fakt, że przemoknięta koszula przykleiła mi się do ciała, ujawniając zbyt wiele szczegółów mojej sylwetki. Biorę głęboki wdech i zaczynam relacjonować ów wieczór w wyprutej z emocji wersji. Ida żywo potakuje, udając, że słyszy to po raz pierwszy. Michał przez cały czas nie odrywa ode mnie wzroku.

Kiedy dochodzę do momentu, gdy bez słowa wybiegłam z pubu, urywam opowieść. Oboje patrzą na mnie z lekkim uśmiechem, ale żadne z nich nie przychodzi mi na ratunek.

— Tak więc wiesz już wszystko — zwracam się do przyjaciółki.

Michał znacząco unosi brwi, ale się nie odzywa.

— Cóż, teraz jeszcze bardziej żałuję, że nie było mnie wtedy z tobą — oznajmia Ida, wpatrując się w barmana z promiennym uśmiechem. — Szkoda, że poznajesz takich fajnych facetów beze mnie.

Zamykam oczy, walcząc z nagłym pragnieniem schowania się pod stół.

— Wszystko da się nadrobić. — Chłopak mruga porozumiewawczo do Idy.
— Tymczasem zmuszony jestem wrócić do pracy. Mój kumpel od dawna szuka motywu, żeby mnie zamordować, a zostawienie go samego ze zgrają podpitych studentek wydaje się mocnym argumentem. — Uśmiecha się, splatając dłonie na karku.

— Nie wydaje mi się, żeby miał coś przeciwko temu — kwituje Ida, obrzucając wymownym spojrzeniem grupkę rozweselonych dziewczyn.

— Kiedy on zabawia klientki, ktoś musi się zajmować rosnącą górą zamówień. — Śmieje się. — Z przykrością zostawiam was same. Miłego wieczoru, drogie panie!

Odchodzi kilka kroków, ale po chwili przystaje i powoli się odwraca. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał. Gładząc się po brodzie, dodaje:

— Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce. Wcześniej niż za kilka tygodni.

Choć nie mam wątpliwości, że skierował swoje słowa do nas obu, czuję, jakby zwrócił się bezpośrednio do mnie. Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

— To zależy... — urywam, przygryzając wargi. Przez kilka sekund nie spuszczam wzroku z jego ust. Niespiesznie przenoszę spojrzenie na orzechowe oczy chłopaka i kończę: — ...czy masz w zanadrzu jeszcze trochę tego napoju bogów, którym uraczyłeś mnie ostatnio.

— Nie spodziewałem się, że uda mi się sprostać twoim wymaganiom — odpowiada w podobnym tonie.

Wybucham śmiechem, widząc zdeglustowaną minę Idy.

— Nie można przecenić dobrej whisky. Szczególnie, gdy jest się skazanym na to różowe coś — mówię, wskazując prawie nietkniętego przeze mnie drinka.

— Dobrze, że Damian tego nie słyszy. Cosmopolitan to jego specjalność. —

Michał kręci głową z rozbawieniem. — Okej, teraz już naprawdę muszę lecieć. Do zobaczenia!

Odzywam się dopiero, gdy chłopak znika za barem.

— Trochę cię kocham, a trochę nienawidzę, wiesz? — zwracam się do przyjaciółki, energicznie rozcierając zziębnięte ramiona.

— Wiem. — Ida uśmiecha się, nawijając na palec pasmo idealnie gładkich włosów. — Kurczę, słodki jest. Lojalnie ostrzegam, że jeśli się za niego nie weźmiesz, to ja go zaklepuję.

— A co z twoją dewizą życiową? — Śmieję się. — No wiesz, facet powinien zarabiać dwukrotnie więcej od ciebie, być starszy o co najmniej pięć lat...

— Na starość zmieniają się priorytety. — Wzdycha rozmarzona.

Rozdział VII

Albo świat jest mały, albo to ja prowokuję niezręczne sytuacje, ale spotykam Michała już kilka dni później. Wpadam na niego w supermarkecie podczas cotygodniowych zakupów. Niepostrzeżenie wyłania się zza regału z kocią karmą, gdy wypełniam swój koszyk po brzegi przeróżnymi mrożonkami.

— Hej! Widzę, że nie lubisz marnować czasu. — Śmieje się, obrzucając wymownym spojrzeniem stos gotowych mieszanek warzyw.

— Gotowanie nigdy nie było moją mocną stroną — przyznaję. — Choć chyba nie można powiedzieć tego samego o tobie — dodaję, dostrzegłszy w jego koszyku doniczki ze świeżymi ziołami i kilka porów.

Swoją drogą, nie miałam pojęcia, że ktoś naprawdę kupuje pory. Dotychczas wydawało mi się, że pojawiają się jedynie w reklamach, bo ich jedyną zaletą jest fotogeniczność. Chętnie zapytałabym chłopaka, co zamierza z nimi zrobić, ale nie pozwala mi na to wciąż niewielki stopień naszej zażyłości.

— W alternatywnej rzeczywistości pracuję jako szef kuchni w wykwintnej restauracji z trzema gwiazdkami Michelin — odpowiada z poważnym wyrazem twarzy.

Śmieję się, starając oswoić się z faktem, że spotykam go w regularnie odwiedzanym przeze mnie markecie. Do tej pory miałam wrażenie, że istnieje tylko w czterech ścianach pubu, choć praca za barem to zaledwie częśćka jego życia.

Zresztą prawdopodobnie nie robi tu zakupów po raz pierwszy. Ciekawe, ile razy się minęliśmy, stojąc w kolejkach do sąsiednich kas. Czy w ogóle

kiedykolwiek zwróciłibyśmy na siebie uwagę, gdybym tamtego wieczoru założyła inne buty?

— Wszystko w porządku? — pyta, sprowadzając mnie na ziemię.

Potrząsam głową, przywołując na twarz beztroski uśmiech.

— Tak. Przepraszam, po prostu jestem zmęczona. W piątki po zakończeniu pracy zawsze ledwo stoję na nogach... Właśnie, czy ty nie powinienesz być teraz w pubie?

— Barmani też mają czasem wolne.

— Poważnie? I co barmani porabiają w wolny dzień? — rzucam zaczepnie.

— Śpią do południa, później ogarniają mieszkanie i wybierają się na zakupy. — Wzrusza ramionami, a na jego twarzy wykwita leniwy uśmiech. — Mają już dość knajp, więc wieczorami zwykle zabierają przypadkowo spotkane dziewczyny na spacer.

Przyglądam mu się z przechyloną głową.

— Zdefiniuj pojęcie „przypadkowo”.

— Trudno o coś bardziej przypadkowego niż dział mrożonek — odpowiada, rozglądając się wokół.

— Cóż, jeśli tak barmani zapraszają dziewczyny na randki, to są najmniej romantyczną grupą społeczną.

— Czasami nie mają na myśli randki, tylko zwykłą przechadzkę. — Patrzy na mnie z rozbawieniem, a ja zamykam oczy, by nie dostrzegł w nich rozczarowania.

— Wygląda więc na to, że mam całkiem sporo do nadrobienia w tym temacie — mówię, zmuszając się do ponownego spojrzenia na chłopaka.

Przez chwilę na siebie patrzymy, nic nie mówiąc. Zanim zdążę się zastanowić nad tym, co robię, prześlizguję się obok koszyka, tak że już nic nie oddziela mnie od Michała. Zbliżam się do niego, nie odrywając wzroku od jego oczu, i sięgam po wystający z kieszeni jego džinsów smartfon.

Z satysfakcją zauważam, że kiedy moja dłoń delikatnie muska jego brzuch, gwałtownie wciąga powietrze. Nie odzywa się, gdy pospiesznie wpisuję swój numer, a następnie z lekkim uśmiechem oddaję mu telefon.

Marszczy brwi, dostrzegając nazwę wprowadzonego przeze mnie kontaktu.

— Dzisiejsza data, tak po prostu?

— Tyle wystarczy — stwierdzam. — Przecież drugi raz przypadkowo na siebie nie wpadniemy.

— Chyba że pomożemy szczęściu — mówi z rozbawieniem.

— Zbiegi okoliczności robią mi zdecydowanie lepiej. Czekam na telefon!
— rzucam lekko, machając mu na pożegnanie.

Gdy znikam w dziale ze środkami czystości, wciąż kręci głową z niedowierzaniem.

* * *

Po powrocie do domu poruszam się w znanym tylko sobie, jakże naturalnym rytmie. W tej niewielkiej przestrzeni każda rzecz ma swoje miejsce, mniej lub bardziej niezrozumiałe dla nielicznych gości. Zostawiam buty w przejściu, bo i tak nikt się o nie nie potknie. Kładę płaszcz na niezajmowanym przez nikogo fotelu. Nie włączam nawet światła w sypialni, żeby odnaleźć w stercie płyt debiut The Stone Roses i wcisnąć play.

Rzucam się na łóżko i leżę z zamkniętymi oczami tak długo, aż *I Wanna Be Adored* wybrzmi do ostatniej sekundy. Wraz z outro przychodzi bowiem myśl o kałuży zostawionej przez porzucone na blacie w kuchni mrożonki.

Błyskawicznie rozpakowuję zakupy, po czym kieruję się do łazienki. Napełniając wannę, rozczesuję włosy i zmywam z twarzy makijaż. Krzywię się, gdy zmarzniętą stopą na próbę dotykam tafli gorącej wody. Zaciskam zęby i wślizguję się do środka, pozwalając, by moje zziębnięte ciało ogarnęło przyjemne odrętwienie. Po chwili zanurzam się cała, a moje włosy unoszą się

na powierzchni wody, tworząc jedwabisty wachlarz. Przez moment nie słyszę nic prócz własnego oddechu.

Trzykrotnie dolewam ciepłej wody, nim wreszcie decyduję się wyjść z wanny i owinąć ciasno wielkim, białym ręcznikiem. Płyta już dawno się skończyła, zatem wklepuję w twarz ulubiony olejek w kompletnej ciszy. Przerzywa ją dopiero dobiegające z oddali brzęczenie. Prostuję się, nasłuchując. Dźwięk przychodzącego SMS-a.

Ktokolwiek czegoś ode mnie chce, może poczekać. Niespiesznie kończę wieczorną pielęgnację, po czym wstępuję do kuchni, by nastawić wodę na herbatę, i dopiero wtedy wolnym krokiem zbliżam się do mrugającego smartfona.

Na ekranie widnieje obcy numer.

Park Staromiejski (główne wejście), 20.30. Włóż coś ciepłego :-)

Uśmiecham się sama do siebie, ziewając. Wygląda na to, że Michał nie rzuca słów na wiatr.

Zerkam na zegarek i wtedy dociera do mnie, że dał mi zaledwie pół godziny na wyszykowanie się. Gdy podnoszę głowę, napotykam w lustrze swój wzrok. Widzę zaróżowione od długiej kąpieli policzki, rozczochrane, wilgotne włosy i senne spojrzenie.

Przygryzam wargi i biorę głęboki wdech. To tylko zwykły spacer.

* * *

— To naprawdę ty? — Śmieje się, błędząc wzrokiem po moim szczelnie opatulonym ciele.

— A co, spodziewałeś się szpilek i pończoch? — pytam zaczepnie, wbijając dłonie w kieszenie ciepłej kurtki.

Mając na uwadze jasno ustalony status naszej znajomości, zrezygnowałam nawet z makijażu. We włosach niedbale spiętych w luźny kok i wytartych

dżinsach łatwiej mi będzie bronić się przed złudzeniami. Tym bardziej że zaczęły się pojawiać, dopiero gdy dał mi do zrozumienia, że nie myśli o mnie w romantycznych kategoriach.

— Nie. Po prostu miło zobaczyć cię w takiej... świeżej, beztroskiej wersji — odpowiada z szerokim uśmiechem.

Pomimo przymgłonego światła, rzucanego przez oddaloną o kilka metrów latarnię, dostrzegam delikatne, urocze zmarszczki wokół jego oczu.

— Chodź, coś ci pokażę — dodaje.

W milczeniu spacerujemy wzdłuż parku, kierując się w stronę fosy miejskiej. Gdy dochodzimy do rzędu ławek, Michał zatrzymuje się i wskazuje mi jedną z nich. Siadamy na dwóch różnych końcach, w stosownej odległości od siebie. Mimowolnie wzdrygam się w zetknięciu z lodowatym metalem.

— Zabrałeś mnie tutaj, bo...? — urywam, wpatrując się w monumentalne, pozbawione liści platany.

— Spójrz w górę — szepcze.

Przyglądam się niebu, ale zasłane jest zbyt grubą warstwą chmur, bym mogła cokolwiek dostrzec. Patrząc na chłopaka pytająco, a on pochyla się w moją stronę, tak że na moment odurza mnie jego zapach. Pachnie miętą i czymś korzennym, jak kruche ciasteczka przełożone orzeźwiającym kremem. Bezwiednie zamykam oczy, a wtedy on delikatnie ujmuje mój podbródek i obraca moją twarz w przeciwną stronę. Niechętnie unoszę powieki. Wówczas zalewa mnie oślepiający blask księżyca. Widoczna jest dokładnie jego połowa, jak gdyby nie mógł się zdecydować, czy świecić w pełni, czy zaledwie zaznaczyć swoją obecność cieniutką linią.

— Ostatnia kwadra — mówię, nie odrywając wzroku od wyłaniającego się spośród chmur skrzącego się fragmentu nieba.

— Moja ulubiona — przyznaje.

Zerkam na niego z rozbawieniem.

— Nie sądziłam, że można mieć ulubioną fazę Księżyca.

— Nie sądziłem, że można jej nie mieć — odpowiada, udając oburzenie. Po chwili rozsiada się wygodniej na ławce, wyciągając przed siebie nogi i rozkładając ramiona wzdłuż oparcia. — Wiele razy słyszałem, że spoglądanie w niebo uspokaja, bo uświadamiamy sobie, jak niewielkie znaczenie mają nasze problemy w obliczu nieskończonego kosmosu. Bez względu na to, co rozrywa twoje serce na strzępy, a zawsze coś rozrywa, tam u góry wszystko pozostaje takie samo. Przyznaję, że zawsze brzmiało to dla mnie jak stek bzdur, ale było kilka takich nocy... — Bierze głęboki wdech, jak gdyby podejmował jakąś ważną decyzję, po czym kontynuuje: — Kiedy sobie uświadomiłem, że coś w tym jest, niebo wyglądało właśnie tak, jak teraz. Ja byłem sam i Księżyc był sam. Oczywiście, jego otaczały setki, tysiące gwiazd. Ale choć wydaje mu się, że są blisko, tak naprawdę pozostają oddalone o miliardy kilometrów. Dopiero gdy ich potrzebuje, okazuje się, że są tak cholernie daleko, a on... On zdany jest wyłącznie na siebie. Wiesz, czasami myślę, że mogłoby ich nie być wcale. Że lepiej byłoby mu bez tej złudnej obecności.

— Mówisz wciąż o gwiazdach czy już o ludziach?

Przez chwilę milczy, nie odrywając wzroku od tych kilku jasnych punkcików, których nie zdążyły jeszcze przysłonić gnane wiatrem chmury, po czym odzywa się cicho:

— Uważasz, że to bez sensu, prawda?

Zerkam na niego z ukosa, starając się wyczytać z jego twarzy coś więcej na temat tego, co podświadomie pragnął mi przekazać.

— Nie... Zupełnie nie — szepczę.

* * *

Obchodzimy kilkakrotnie park, zamknięty z powodu późnej pory, swobodnie

rozmawiając. Opowiadamy sobie różne trywialne historie — takie, które opowiada się na początku, gdy on nie zna ciebie, a ty nie znasz jego. Choć czubki palców zaczynają mi już sinieć i jestem tak zmęczona, że najchętniej przykryłabym się liśćmi i zasnęła, nie chcę przerywać tej chwili. Przywołuję więc na twarz uśmiech, modląc się, żeby ostatnie słowa Michała nie były pytaniem.

— Kurczę, już prawie północ — mówi półgłosem, zerkając na zegarek. — Powinienem cię odprowadzić do domu, zanim będę zmuszony zaktualizować nazwę twojego kontaktu.

— Fakt, dwa dni z rzędu mają niewiele wspólnego z przypadkiem. Na szczęście mieszkam niedaleko stąd — mamroczę, pocierając oczy, by odgonić senność.

Wykrzesuję z siebie resztki sił, aktywnie uczestnicząc w dyskusji na temat wyższości suszarek do rąk nad jednorazowymi ręcznikami. Michał upiera się, że do przetworzenia naturalnych zasobów wykorzystuje się większą ilość energii niż do krótkotrwałego zasilenia automatycznego urządzenia. Mnie jest wszystko jedno.

Po pokonaniu zaledwie trzech przecznic stoimy przed moją kamienicą. Chłopak nalega, by odprowadzić mnie do samych drzwi. Olbrzymia latarnia rzuca blade światło na front budynku i chodnik, który przybiera oberżynowy kolor. To jedna z tych nocy, które nie są po prostu czarne, lecz opalizują różnymi odcieniami.

— To jak, może wejdiesz na górę? — pytam zalotnie, opierając się o ścianę, choć znam odpowiedź.

Michał się nie odzywa. Zamiast tego podchodzi i lekko mnie obejmuje, przyciskając usta do mojego czoła. Choć nie ma w tym nic prócz czułości, czuję dziwne mrowienie w brzuchu.

— Dobranoc — szepcze, zostawiając mnie w dwoistej postaci.

Część mnie jest zawiedziona, część nie posiada się z radości.

* * *

— Czarek, młody człowieku, chodź tutaj do mnie!

Ewelina stoi w progu pokoju synka z rękami wspartymi na biodrach i wysoko uniesionym czołem. Widząc jej groźną minę, trudno mi utrzymać powagę. Chowam się na kanapie za plecami Idy i wciskam twarz w poduszkę, by stłumić śmiech. Ewela patrzy na mnie karcąco, ale nie porzuca swej pedagogicznej misji.

— Synu, co mamusia mówiła o odkładaniu swoich rzeczy na miejsce? — kontynuuje łagodniejszym tonem, opierając się o framugę drzwi. — Przecież specjalnie kupiłam ci na klocki pudełko z *Gwiezdnych Wojen*, o które tak długo marudziłeś. Wyjaśnij mi więc, dlaczego wciąż rozrzucasz je po całym mieszkaniu? Tak, że idąc do łazienki, czuję się, jakbym pokonywała jakiś potworny tor przeszkód?

Oczy Czarka robią się okrągłe jak spodki. Nawet z odległości kilku metrów dostrzegam szklące się w nich łzy. Wiedziona impulsem natychmiast wstaje i obdarzając przyjaciółkę przelotnym spojrzeniem, podchodzę do małego. Przykucam, zrównując się z nim wzrostem.

— Kochanie, mama po prostu próbuje ci wytłumaczyć, że nie tylko ty masz swój domek. Nie chciałbyś spać gdzie indziej niż w swoim pokoiku, prawda?

Chłopiec przytakuje, a na jego twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech.

— Domkiem twoich lego jest piękne, ogromne pudełko, z tym obłądnym statkiem kosmicznym, którego tak bardzo ci zazdroszczę — kontynuuje. — I uwierz mi, tak samo jak ty kochasz swoje łóżeczko, tak samo każdy z twoich ludzików chciałby spać w swoim własnym. Chyba zgodzisz się, że na korytarzu jest mniej przytulnie niż w twoim pokoju?

Czarek znów lekko kiwa głową.

— To jak, położymy Yodę spać? Mogłabym przysiąc, że przed chwilą ziewnął.

Chłopiec na kilka sekund ukazuje rząd perlistych ząbków, po czym poważnie, zerkając pytająco w stronę mamy.

— No już, pomóż cioci! Znając ją, wiem, że położy Chewbaccę obok Dartha Vadera, a wtedy na pewno żadne z nich się nie wyśpi — wyjaśnia Ewelina.

Pokazuję jej język, chwytam malca za rączkę i prowadzę w stronę salonu. Po kwadransie nie ma już śladu po bałaganie. Zostawiam pogrążone w rozmowie dziewczyny, żeby położyć Czarka do łóżka. Chłopiec zwija się w kłębek i natychmiast zasypia.

Przez chwilę stoję, wpatrując się w jego uroczą, beztruską twarzyczkę. Walczę z pragnieniem odgarnięcia blond grzywki, która przykleiła mu się do czoła podczas pieczołowitego porządkowania zabawek. Uśmiecham się i powoli wycofuję, delikatnie zamykając drzwi.

* * *

— I wiesz, najgorsze jest to, że tak naprawdę nigdy nie ma właściwego momentu, żeby ich o tym poinformować.

— Poinformować o czym? — Przysiadam na brzegu kanapy, sięgając po niedokończony drinka.

— Och, jesteś wreszcie. Zaraz, o czym to ja mówiłam?

— Użałaś się nad sobą, bo wszyscy faceci patrzą na ciebie przez pryzmat twojego dziecka — podpowiada Ida.

Ewela rzuca w nią poduszką i kontynuuje:

— Ciągle czuję się, jakbym wszystkich oszukiwała... Nie mówię o tym spotykanym kobietom, bo nie chcę być zakwalifikowana jako puszczańska laska, która dała sobie zrobić dziecko przypadkowemu kolesiovi. Nie mówię

mężczyznom, bo nic nie przeraża ich bardziej niż przymusowe ojcostwo — urywa, by wychylić zawartość kieliszka. — Powiedzcie mi, czy ja naprawdę nie zasługuję na odrobinę szczęścia?

— Zasługujesz, kochana, ale nie kosztem Czarka. — Wytrzymuję mordercze spojrzenie Idy, po czym wyjaśniam: — Wpadłaś w błędne koło. Gdy tylko kogoś poznajesz, odczuwasz presję powiedzenia już w pierwszym zdaniu, że masz syna, bo podświadomie boisz się, że mogłabyś chcieć to ukryć... A przecież wszystkie wiemy, że nie zamieniłabyś go na nic ani nikogo innego.

— To prawda. Nie było łatwo, ale udało ci się wychować Czarka na wspaniałego młodego człowieka. Ja na pewno nie dałabym rady — mówi Ida, obejmując lekko Ewelinę i głaszcząc ją po plecach. — Jesteś niesamowitą dziewczyną. Naprawdę, nie znam drugiej osoby, która tak dobrze łączyłaby pracę z macierzyństwem, odnosząc sukcesy na obu polach. A miłość...? Ani się obejrzyysz, a spotkasz prawdziwego, dojrzałego faceta, który doceni to, jak doskonale sobie radziłaś przez ostatnich pięć lat.

— Kogoś, kto będzie zasługiwał nie tylko na ciebie, ale i na Czarka — dodaję.

Ewela wzdycha, przeczesując dłonią swoje krótkie, ciemne włosy.

— Nie macie pojęcia, jakie to bywa trudne — wyznaje. — Wiecie, co wymyślił Czarus kilka dni temu? Stwierdził, że za żadne skarby nie pójdzie do przedszkola. Tłumaczyłam mu, że muszę iść do pracy, a mimo to uparcie trwał przy swoim. Nie chciał mi powiedzieć dlaczego, ale był tak zdeterminowany, że musiałam się zgodzić.

— Wydawało mi się, że jest raczej lubiany wśród dzieciaków — mówię niepewnie.

— No właśnie. Dlatego zaczęłam się bać, że coś wyjątkowo przykrego go tam spotkało. Nie mogłam z nim zostać, więc obiecałam zawieźć go do babci. Okazało się to jedynym sposobem, by powiedział mi, co się stało. —

Przerywa, by głęboko odetchnąć. — Ze łzami w oczach oznajmił, że nie chce iść do przedszkola, bo nie będzie Piotrka. Zaczęłam mu więc tłumaczyć, że Piotruś na pewno szybko wyzdrowieje i przecież ma jeszcze wielu innych kolegów, ale wtedy już całkiem się rozkleił. Z trzęsącą się bródką wyszeptał, że Piotrek nie jest chory. Piotrek zostaje dziś w domu z tatą.

Choć mnie samej w oczach zaczęły szklić się łzy, by nie zasmucić przyjaciółki jeszcze bardziej, szybko odwracam wzrok. Na Idę opowieść Eweli musiała wpłynąć podobnie, bo także milczy, nieświadomie mnąc w dłoniach serwetkę.

— Pamiętaj, to, że wychowujesz go sama, nie oznacza, że robisz to w nieodpowiedni sposób — mówię po chwili, wkładając w to tyle ciepłych uczuć, ile jestem w stanie.

Dziewczyna uśmiecha się, choć nie ma w tym odrobiny wesołości.

— Wiem, tylko... Czasem jest mi zwyczajnie ciężko. Zwłaszcza kiedy pomyślę sobie, że na przykład poproszą go kiedyś o narysowanie swojej rodziny. I co ja mu wtedy powiem?

— Żeby narysował siebie i mamę, a obok ciocię Idę i ciocię Jagodę. Może też dorysować babcię Halinkę i jej niezliczone koty — odzywa się Ida. — Wydaje mi się, że ten szalejący za nim pakiet brzmi lepiej niż ojciec, który ignoruje jego istnienie.

Ewela potrząsa głową, a zmarszczka na jej czole zaczyna łagodnieć.

— Dzięki, dziewczyny. Wcale aż tak dobrze mi nie idzie, ale... Dość o mnie. Lepiej opowiedz mi o twoich podbojach miłosnych — zwraca się do mnie z zadziornym uśmiechem. — Słyszałam, że ostatnio całkiem sporo się u ciebie dzieje.

Spoglądam na Idę piorunującym wzrokiem.

— No co, chyba nie sądziłaś, że zmarnowałabym tę niepowtarzalną okazję do poplotkowania sobie na twój temat — tłumaczy się, wodząc palcem

wskazującym po krawędzi kieliszka.

— Wiesz, co jest twoją największą specjalnością, zaraz obok dyskrecji? — zawieszam głos, by puenta wybrzmiała dostatecznie mocno. — Wyolbrzymianie nic nieznaczących sytuacji.

Znakomicie zbudowaną przeze mnie dramaturgię przerywa dźwięk przychodzącego SMS-a. Przewracam oczami i wygrzebuję komórkę ze schowanej za plecami torebki.

Wystarczył jeden wolny dzień, bym zapomniał, jak bardzo działa mi na nerwy przebywanie w jednym pomieszczeniu z Damianem. Może mnie odwiedzisz? :-)

Szybko odpisuję, ignorując pytające spojrzenia dziewczyn.

Niestety nie mogę, jestem u koleżanki. Swoją drogą, zmieniłeś datę?

Próbuję ukradkiem wrzucić telefon z powrotem do torebki, ale Ida jest szybsza. Przechyliła się i wrywa mi go z rąk. Trzymając go w wyciągniętej w przeciwnym kierunku dłoni, mówi:

— Albo nam powiesz, do kogo się właśnie szczerzyłaś, albo przeczytam te świńskie wiadomości na głos.

Śmieję się, próbując dosięgnąć komórki, jednak Ida pozostaje nieugięta.

— Daję ci pięć sekund, a później zacznę je czytać tak głośno, że obudzę młodego. Jak się dowie, co tam nawypisywałaś, przestaniesz być jego ulubioną ciocią.

— Po dzisiejszym wieczorze może być o to trudno — wtrąca Ewela.

— To nic takiego — mamroczę, naciągając rękawy swetra na dłonie.

Ida unosi brew i patrzy na mnie z dezaprobatą.

— Chyba nie wmówisz nam, że z tak rozanielonym wyrazem twarzy

odpowiadałaś na wiadomość od kogoś, z kim nie sypiasz? Albo nie chciałybyś sypiać?

— Jezu, Ida... W porządku, poddaję się. — Wzdycham. — Trochę cię poniosło z tymi łóżkowymi fantazjami, ale skoro już musisz wszystko wiedzieć, to tak, odpisywałam jakiemuś facetowi. I zanim pomyślisz, że wpadłam w sidła Igora, dodam, że facetowi, którego miałaś okazję poznać — urywam, rozkoszując się chwilą przewagi.

— To twój cudowny braciszek pisze do ciebie o tak późnej porze? — żartuje, choć widzę, jak zżera ją ciekawość.

— Pudło. To Michał.

— Michał...? Chwila, ten Michał?! — Wpatruje się we mnie z wytrzeszczonymi oczami, wręczając mi mój telefon. — Czekam na solidne wyjaśnienie.

— Wczoraj przypadkiem na siebie wpadliśmy, a później wybraliśmy się na spacer. Bardzo przyjemnie nam się rozmawiało. To wszystko. — Wzruszam ramionami, po czym pociągam łyk napoju.

— Rozmawiało, całowało, w pośpiechu rozbierało...?

Ze stoickim spokojem odstawiam drinka i wyjaśniam:

— Po prostu rozmawiało.

— Nuuda — podsumowuje Ida.

— Michał to ten przystojny superbohater z pubu? — upewnia się Ewelina, uzupełniając nasze kieliszki kolejną porcją wytrawnego martini.

— Widzę, że Ida nie szczędziła szczegółów. Czy wspominała też o tym, że pozostajemy w wyłącznie przyjacielskich stosunkach?

— Lepszy stosunek z przyjacielem niż jego brak — wtrąca Ida, uśmiechając się od ucha do ucha.

Przewracam oczami, sięgając po kieliszek.

— Nie, ale to bardzo dobrze — stwierdza Ewela. — Pamiętajcie, moje

drogie, aby nigdy nie iść do łóżka z barmanem.

— Dlaczego? — pytamy niemal równocześnie. Ja, ponieważ taka myśl zdążyła przejść mi przez głowę, a Ida, bo z pewnością ma to już za sobą.

— Bo drinki przestają być za darmo!

Wybuchamy chóralnym śmiechem.

— Co innego kucharze — podejmuje po chwili Ewelina, upijając łyżeczek martini. — Całe to krojenie, szatkowanie i mieszanie uczy ich niezwyklej zręczności, nie wspominając o odpowiednim wyczuciu czasu.

Niechciany uśmiech wypływa na moją twarz, gdy rozbudzona alkoholem wyobraźnia podsuwa mi wizję Michała, gotującego dla mnie w samym fartuchu. Chłopak niespiesznie rozwija miękki futerał z przegródkami na noże. Gdy zbliżam się do niego, odsuwa mnie na odległość ramion, powtarzając, że oczekiwanie jest częścią przyjemności. Po chwili nachyla się, by włożyć mi do ust oliwkę nadziewaną kaparami i czosnkiem, a ja, patrząc mu prosto w oczy, zlizuję z jego palców aromatyczną oliwę.

Ganię się w myślach za swoje niedorzeczne fantazje, skupiając ponownie uwagę na zabawnej przemowie koleżanki.

— Bez pośpiechu dopieszczają dania, wielokrotnie przewracają je na drugą stronę, dbają o odpowiednią temperaturę... — wylicza Ewela.

— No i przede wszystkim wiedzą, jak istotna jest odrobina pikanterii! — kończy za nią Ida, po czym obie wybuchają śmiechem.

Zanim do nich dołączam, kątem oka zerkam na telefon, ale nie czeka na mnie żadna nowa wiadomość.

Rozdział VIII

— Jasne, rozumiem... Tak, oczywiście. No cóż, wszystko wskazuje na to, że nastąpiło nieporozumienie. Bardzo mi przykro. Zaraz się dowiem, czy da się to jakoś przyspieszyć, po czym niezwłocznie się z państwem skontaktuję — recytuję z wymuszoną uprzejmością standardową formułkę. — Nie ma sprawy, do usłyszenia.

Odkładam słuchawkę i opieram łokcie na biurku, chowając twarz w dłoniach. Dlaczego klienci zawsze przypominają sobie o arcyważnych, niecierpiących zwłoki sprawach akurat kwadrans przed siedemnastą, gdy już pochowałam wszystkie papiery i poukładałam pieczętki w równych odstępach? Przez chwilę masuję sobie skronie okrężnymi ruchami, by złagodzić ból głowy, po czym ponownie sięgam po telefon i wybieram numer Roberta.

— Mógłbyś podejść na chwilę? Wybacz, ale to pilne.

Zjawia się u mnie już po minucie. Stoi w progu, niepewny, po co wezwałam go o tej porze. Jego stalowoszara koszula jest pognieciona, a zwykle nienagannie ułożone włosy sterczą na wszystkie strony.

— Widzę, że córeczka nie pozwala wam się wysypiać — mówię ciepło.

— Nie uwierzyłyabyś, ile wrzasku jest w stanie z siebie wydawać tak maleńka istota. — Na jego twarzy pojawia się zmęczony uśmiech. — Ale chyba nie o tym chciałaś ze mną porozmawiać?

— Nie. — Wzdycham. — Dzwonił Zieliński.

— Ten facet nas chyba nienawidzi — stwierdza Robert, podwijając rękawy koszuli. — Z każdym kolejnym zleceniem przeliczam w głowie, co sobie kupię za przelew od niego, żeby się zmotywować do pracy. Co znowu wymyślił?

— Postanowił wprowadzić zmiany w harmonogramie...

— Oczywiście nie pytając nikogo o zdanie — wtrąca, zirytowany. Omija mnie, podchodząc do okna, i opiera się dłońmi o parapet.

— Klient nasz pan — mrużę. — Oświadczył, że strona musi ruszyć w ciągu maksymalnie dwóch tygodni, żeby miał się czym pochwalić na międzynarodowych targach w Brukseli. Dlatego błagam cię, powiedz, że ogarniesz SEO do końca tygodnia.

— Akurat z tym nie będzie problemu... Gorzej z projektem strony.

Obracam się na fotelu i wgapiam w niego ze zdziwieniem, na moment zapominając o tym, by mrugać.

— Przecież wysłałam Rafałowi wszystkie materiały w zeszłym miesiącu! Takie proste portfolio to dla chłopaków bułka z masłem.

— Z tego, co mi wiadomo, jeszcze się za to nie zabrali.

Nachylam się, by zadzwonić po Rafała, ale zanim zdążę złapać słuchawkę, Robert oświadcza:

— Wyszedł dziś wcześniej.

Nie zastanawiając się, co robię, chwytam długopis i ciskam nim z całej siły w ścianę. Wcale mnie to nie uspokaja, więc sięgam po notes, ale w ostatniej chwili powstrzymuje mnie Robert. Kładzie rękę na moim ramieniu, śmiejąc się cicho.

— Powiedz Zielińskiemu, że wszystko będzie gotowe do przyszłego piątku.

— Łapie za oparcie fotela, obracając mnie w swoją stronę. — Pogadam jutro z Rafałem. Choćby miał przez cały weekend nie wychodzić z pracy, dopnie ten projekt na ostatni cholerny guzik. — Patrzy mi w oczy, unosząc kąciaki ust w lekkim uśmiechu. — A teraz zbieraj się, nic tu po nas. Skoczę tylko po płaszcz i podrzucę cię do domu.

— Dzięki, ale nie trzeba. Trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi. — Wstaję i przeciągam się, ziewając. — Wyśpij się, do jutra!

— Pobożne życzenie... — odpowiada, puszczając do mnie oko. — Do zobaczenia!

* * *

Zbiegam po schodach z uniesioną głową, spoglądając w zasłane kotłującymi się chmurami niebo. Wilgotne, chłodne powietrze przeszywa mnie na wskroś, powodując dreszcze. Zapinam płaszcz pod samą szyję i otulam się grubym, wełnianym szalikiem w kolorze butelkowej zieleni. Kieruję się w stronę domu, starając się myśleć o wszystkim, tylko nie o tym, że jest środa, a Michał wciąż się nie odzywa. Jak bumerang powraca jednak do mnie wspomnienie naszego ostatniego spotkania. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam sobą tak bardzo jak wtedy.

Zastanawiam się, gdzie się podziała silna Jagoda. Ta, która zawsze trzyma dystans, nie dając po sobie poznać, że jej na kimś zależy. Nigdy nie robi ani pierwszego, ani żadnego kolejnego kroku. Wystukuję szybkiego SMS-a i chowam ręce z powrotem do kieszeni. Później jej poszukam.

Hej, jesteś w pracy czy odsypiasz wczorajszą noc?

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast.

Przysypiam za barem.

Zamykam oczy, walcząc z paniczną awersją do narzucania się. Jestem osobą, która za największą porażkę uważa zebranie o czyjaś uwagę. Tak bardzo pragnę czuć się potrzebna, że nie ma dla mnie nic gorszego niż poczucie, że komuś przeszkadzam. Nawet nieświadome wywieranie presji, by ktoś czuł się zobowiązany do kontynuowania znajomości, przyprawia mnie o ból żołądka.

Biorę głęboki wdech i wysyłam kolejną wiadomość.

Mogę wpaść na kawę? :-)

Odpisuje po czternastu sekundach. Wiem, bo liczyłam.

:-)

Trzy enigmatyczne znaki. Tylko tyle wystarczy, bym uśmiechała się całą drogę do pubu.

* * *

— Niech zgadnę, czarna bez mleka i cukru? — rzuca, gdy tylko przekraczam próg knajpy.

— Skąd wiedziałeś? — mówię, wyplątując się spod zwojów szala.

Zdejmuję go, układając wraz z dwurzędowym trenczem na siedzeniu obok. Michał natychmiast przechyla się przez blat, żeby zabrać moje rzeczy. Odwiesza je na zapleczu, po czym wraca z miseczką pełną czekoladowych ciastek.

— Spróbuj. Choć wydaje mi się, że będą dla ciebie za słodkie.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam coś w ustach, więc bez wahania sięgam po idealnie okrągłe ciasteczko i natychmiast się w nie wgryzam. Jest chrupiące na wierzchu i ciągnące w środku. Delikatnie karmelowe, posypane orzechami i obłędnie pyszne.

— O mamo, jakie to dobre! — Wzdycham i sięgam po kolejne.

— To już teraz rozumiem, skąd twoje zamiłowanie do wytrawnych napojów.
— Śmieje się.

— Nie da się ukryć, że nadrabiam ilość cukrów słodyczami — odpowiadam, wzruszając ramionami. — No dobra, może nawet czasem odrobinę przesadzam, ale dla mnie to całe zapotrzebowanie energetyczne brzmi jak jakaś podejrzana zmowa dietetyków. Przynajmniej dopóki nie

przekroczę czterdziestki, zamierzam bezwstydnie ignorować kalorie — dodaję, wywołując na twarzy chłopaka rozbawienie.

Michał bierze się do parzenia kawy, a ja wykorzystuję ten czas, by rozejrzeć się po sali. Oprócz nas są tu jeszcze tylko trzy osoby — konspiracyjnie pochylone, całkowicie pochłonięte rozmową dziewczyny i samotny facet, który patrzy w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Jego spojrzenie jest równie puste jak stojąca przed nim szklanka. Nie chcę wiedzieć, co wywołało w nim tak rozdzierającą obojętność.

— Coraz mniej tu ludzi — mówię, gdy Michał stawia przede mną filiżankę americano.

— No cóż, nie da się ukryć, że sezon już dawno się skończył. Nawet najwytrwalsi porzucili kufel zimnego piwa na rzecz kubka gorącej herbaty w domowym zaciszu. W weekendy jest nadal tłoczno, ale w ciągu tygodnia... — urywa, rozglądając się z lekkim uśmiechem.

— Oby do kwietnia? — sugeruję i pociągam ostrożnie łyk kawy.

Zamykam oczy, rozkoszując się zapachem świeżo zmielonych ziaren. Nie rozumiem, jak mogłam kiedyś nie lubić kawy, uważając ją za obrzydliwie gorzki, przereklamowany napój. Obecnie nie wyobrażam sobie życia bez chociaż dwóch filiżanek dziennie.

Michał przytakuje, gładząc bezwiednie swój kilkuniedniowy zarost.

— Czy to oznacza, że będziesz mógł dzisiaj szybciej skończyć?

— Nie wcześniej niż za kilka godzin — odpowiada, zerkając na zegarek.

— Nie spiesz mi się — mówię, nie podnosząc wzroku znad filiżanki.

Posyła mi lekki uśmiech i znika na zapleczu. Po chwili wraca z wysokim, drewnianym stołkiem, który stawia za barem.

— Skoro przez najbliższy czas będę miał miłe towarzystwo i dla odmiany nie będę z nudów rozmawiać sam ze sobą, chciałbym, żebyś opowiedziała mi coś o sobie.

— A co to, przesłuchanie? — Śmieję się, widząc, jak siada dokładnie naprzeciwko mnie i opiera łokcie na blacie.

— Chyba mam prawo wiedzieć coś więcej na temat kogoś, kto właśnie spałaszował całą miskę upieczonych przeze mnie ciastek — rzuca, obdarzając wymownym spojrzeniem stojące między nami naczynie z odrobiną okruchów na dnie.

— Barman-cukiernik... — mówię, ignorując kąśliwą uwagę dotyczącą mojego łakomstwa. — Nie mów, że ty tak na serio chciałeś być kucharzem?

— No tak. — Kiwa głową. — Myślałaś, że żartuję?

— Niełatwo cię rozgryźć — odpowiadam, mając na myśli coś więcej niż jego nieziszczone marzenia zawodowe.

— Powiedzmy, że kurs barmański wychodzi taniej niż prywatna szkoła gastronomii. Ale nie ma tego złego... Może jeszcze kiedyś będę miał okazję zajmować się tym profesjonalnie, a póki co wystarczy mi gotowanie dla znajomych. Wiesz, odkąd wszyscy wiedzą, że robię najlepsze przekąski, jestem zapraszany na każdą imprezę — wyznaje ze śmiechem.

— To już wiem, z czego wynika moja nieumiejętność nawiązywania więzi społecznych — stwierdzam, oblizując łyżeczkę i odkładając ją na spodek. — Podjęłam się upieczenia ciasteczek tylko raz. Spędziłam w kuchni kilka godzin, robiąc wszystko krok po kroku, z apteczną precyzją. Naprawdę! Kostka masła w temperaturze pokojowej, niespiesznie utarta na jasną, puszystą masę ze szklanką cukru. Odrobina miodu oraz szczypta wanilii, skrzydło ważki, sproszkowany róg nosorożca i oko nietoperza... Zapowiadało się świetnie, a smakowało jak ziemia.

— Może zbyt późno wyjęłaś je z piekarnika?

— Nie. Po prostu okazało się, że mąka żytnia to nie to samo, co pszenna.

Przygryza wargę, sprawiając wrażenie kogoś, kto ze wszystkich sił stara się nie roześmiać.

— Okej, to nie miało prawa się udać.

Patrzę na niego z udawanym oburzeniem. Z grymasem na twarzy wytrzymuję zaledwie kilka sekund, bo na widok iskierek w jego łagodnych, orzechowych oczach nie mogę powstrzymać uśmiechu.

— Może i nie przepadam za spędzaniem czasu w kuchni, ale wierz mi, że mam ku temu powody. — Na moment milknę, by po chwili ciągnąć dalej: — Moi rodzice... Miałam szczęśliwe, choć dość specyficzne dzieciństwo. Gdy wstawałam rano do szkoły, śniadanie zawsze już na mnie czekało, ale kuchnia lśniła czystością i nie było w niej nikogo. Siadałam więc samotnie przy gigantycznym, wypolerowanym stole. Talerzyk, szklanka soku pomarańczowego i ja. Przytulnie jak w garażu podziemnym galerii handlowej. Nikt nigdy nie zapytał, na co mam ochotę. Nie poprosił, bym pomogła rozbić jajka i wymieszać je z mąką i masłem, robiąc przy tym okropny bałagan. Może dlatego, że nigdy nie widziałam, by moi rodzice gotowali, nie wiązę z tą czynnością żadnych pozytywnych emocji — urywam, orientując się, że powiedziałam o wiele za dużo. — To głupie, przepraszam... Nie wiem, dlaczego ci to wszystko opowiadam.

Przykrywa moją dłoń swoją. Gładka i ciepła, działa na mnie równie odprężająco jak termofor.

— Przykro mi.

— Szczerść za szczerść — stwierdzam. — Poczuję się lepiej, tylko jeśli ty opowiesz mi o swoim dzieciństwie.

Poprawia się na krześle i zabiera swoją rękę.

— Nie ma o czym opowiadać.

— Zawsze jest. Przecież nie rodzimy się dorosłymi. Ale w porządku, masz rację. Zrobiłam z siebie idiotkę, otwierając się przed tobą — mówię cicho, po czym dopijam kawę.

— To nie tak, po prostu... — Marszczy brwi z zakłopotaniem. — Mama

zmarła, gdy byłem w szkole średniej, a ojciec... Ojca nie mam, odkąd uznał, że wypicie kolejnego kieliszka wódki jest ważniejsze od sprawdzenia hamulców w samochodzie, który prowadziła moja matka, gdy... — Odwraca wzrok, zaciskając pięści. — Zapadający zmierzch, śliska nawierzchnia i wadliwe hamulce. Chyba domyślasz się, jak to się skończyło.

Ocieram rękawem łzę, która mimowolnie popłynęła po moim policzku. Wpatruję się w niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Czy mogłabym prosić jeszcze dwie margarity?

Nawet nie zauważyłam, kiedy za moimi plecami pojawiła się jedna z plotkujących przy oknie koleżanek. Stoi teraz przy barze z zakłopotanym wyrazem twarzy, patrząc wyczekująco na Michała. Chłopak podnosi się, momentalnie wracając do roli beztróskiego barmana.

— Jasne. Znów klasyczna czy chciałbyście spróbować czegoś innego?

Dziewczyna bawi się naszyjnikiem, przyciągając wzrok do swojego obfitego biustu.

— Zaskocz nas.

— Truskawkowa powinna być w porządku. To chwilę potrwa, więc pozwól, że przyniosę wam zamówienie do stolika.

— Siedzimy przy oknie — mówi, jak gdyby chłopak mógł mieć problem ze zlokalizowaniem jedyne go zajętego obecnie stolika, i odchodzi, kołysząc biodrami.

— Czy mi się przywidziało, czy ona właśnie puściła do ciebie oczko? — pytam.

— Wydawało ci się — odpowiada, śmiejąc się.

* * *

Wraz z upływem czasu, wbrew przewidywaniom chłopaka, pub zaczyna coraz bardziej się wypełniać. Nie ma mowy, byśmy mogli kontynuować naszą

rozmowę, a obecna w kawie kofeina powoli przestaje działać. Michał jest dziś jedynym barmanem, więc bez przerwy ma pełne ręce roboty. Manewruje butelkami i shakerami z taką zwinnością, jakby tańczył. Co jakiś czas rzuca mi przepraszające spojrzenie, ale przecież to ja jestem tu intruzem.

— Będę się zbierać. — Przeciagam się, wstając z krzesła. — Przepraszam, że tyle czasu siedziałam ci na głowie.

— Daj spokój, zrobiłaś mi miłą niespodziankę — mówi i wyciera dłonie w ręcznik, odwracając się w moją stronę. — Poczekaj, przyniosę ci płaszcz.

— Poradzę sobie.

Obchodzę bar, przeciskam się obok Michała i wchodzę na zaplecze. Mijam wypełnione trunkami lodówki, stertę zgrzewek z wodą i gazowanymi napojami oraz zamrażarkę z owocami do koktajli. W głębi, po prawej stronie dostrzegam wnękę z wieszakami. Mój treniczek znajduje się zaraz obok czarnej, sportowej kurtki Michała, którą miał na sobie podczas zeszłotygodniowego spaceru. Z trudem powstrzymuję się przed wtuleniem w nią twarzy. Dyskretna, wszyta na karku czarno-biała metka z logo Hugo Bossa sugeruje, że prowadzenie własnej knajpy to całkiem intratny biznes. Może najwyższy czas pomyśleć o przekwalifikowaniu się?

Wracam na salę, wkładając po drodze płaszcz. Gdy widzę Michała skrupulatnie umieszczającego wisienkę koktajlową na kawałku ananasa, coś każe mi się zatrzymać. Podchodzę do niego od tyłu i obejmuję go w pasie, przytulając się do jego pleców. Obraca się i przelotnie całuje mnie w czubek głowy, a później z niewzruszonym spokojem wraca do pracy.

Niby nic, ale w drodze do domu jest mi tak ciepło, że nawet nie potrzebuję szalika.

Rozdział IX

Ślęczę nad lidem artykułu reklamowego dla firmy z branży transportowej, o której nie mam zielonego pojęcia, jako że nie dorobiłam się jeszcze nawet prawa jazdy, gdy rozdzwania się moja komórka. Wysypuję zawartość torebki na biurko, by ułatwić sobie odnalezienie telefonu, i odbieram w pośpiechu.

— Cześć, bracie. Coś się stało?

— A czy musi się coś stać, żebym miał prawo zadzwonić do swojej kochanej siostrzyczki?

— No już, nie czaruj. — Śmieję się. — Mów, o co chodzi.

Słyszę, jak bierze głęboki wdech. Zastanawia mnie, skąd wynika jego zdenerwowanie.

— Znalazłabyś w weekend chwilę dla mnie? Mam coś do załatwienia w Berlinie, więc tak się składa, że w sobotę będę przejazdem w twoich okolicach.

— Od kiedy trasa z Warszawy do Berlina prowadzi przez Wrocław? — pytam niepewnym głosem.

— Okej, rozumiem... Czyli nie cieszy cię perspektywa spotkania ze starszym bratem?

— Adaś, możemy odbijać piłeczkę w nieskończoność, ale oboje wiemy, że aż tak bardzo się za mną nie stęskniłeś. — Wzdycham, starając się ukryć rosnącą irytację. — Jestem w pracy, więc może powiesz mi wreszcie, co się dzieje?

— Chciałbym o czymś z tobą porozmawiać. Uprzedzając twoje pytanie, nie, to nie jest rozmowa na telefon — oznajmia tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zamykam oczy i odchylam się na fotelu.

— Powiedz mi, dlaczego mam przeczucie, że chodzi o Wiktora.
Przez chwilę nie odpowiada, niemo potwierdzając moje wątpliwości.
— Też się cieszę, że cię zobaczę, siostrzyczko.

* * *

Stoję przed wejściem do jednej z modnych kawiarni w centrum, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Mam wrażenie, jakbym przeniosła się w czasie. Znow jestem pogubioną nastolatką, której codziennie wszyscy przypominają, że nie dorasta do pięt swojemu idealnemu bratu. Znow mam wchodzącą w oczy grzywkę i okulary z grubymi oprawkami, a całe popołudnia siedzę z nosem w książkach, zamiast spędzać czas z rówieśnikami. Znow udaję, że idę na dodatkowe zajęcia, a tak naprawdę włóczę się po mieście ze słuchawkami na uszach. Słucham grunge'u na cały regulator, zdrapując z paznokci czarny lakier.

Rozcieram zmarznięte dłonie, lekko w nie dmuchając, by ogrzać je swoim oddechem. Wyciągam telefon i raz jeszcze czytam SMS-a, chcąc się upewnić, że nie pomyliłam godziny. Poprawiam włosy, które wyjątkowo związałam w ciasny koński ogon, by dodać sobie pewności siebie, a następnie wbijam ręce w kieszenie, rozglądając się wkoło. Po kilku sekundach dostrzegam wyłaniającego się zza rogu Adama. Gdy tylko nasze spojrzenia się krzyżują, na jego twarzy pojawia się olśniewający uśmiech. Czuję, że kąciki moich ust również się unoszą, a cały irracjonalny stres momentalnie się ulatnia.

— Cześć, mała — szepcze, zamykając mnie w niedźwiedzim uścisku.

Mimo że włożyłam kozaki na wysokim obcasie, wciąż góruje nade mną wzrostem.

— Jeszcze chwila i mnie udusisz — mruczę w jego klatkę piersiową.

— Przepraszam. — Śmieje się, odsuwając mnie na odległość ramion. — Nic się nie zmieniłaś. No, może troszkę wypiękniałaś, o ile to w ogóle

możliwe — dodaje, puszczając do mnie oczko.

— Szarmancki jak zwykle. Wejdźmy do środka, bo zdążyłam już zmarznąć.

— Przepraszam. Znalezienie miejsca parkingowego w tym mieście to istne szaleństwo — tłumaczy się i obejmuje mnie, prowadząc do środka.

* * *

— Więc... jak ci idzie z doktoratem? — pytam zaraz po tym, jak złożyliśmy zamówienie.

— Całkiem nieźle, dzięki. Kilka tygodni temu zakończyłem badania, teraz szlifuję dokumentację... To już w zasadzie tylko kwestia formalności — odpowiada, rozsiadając się wygodniej na krześle. — Swoją drogą, z tego wszystkiego zapomniałem ci powiedzieć, że kogoś poznałem.

— Naprawdę?! — Nie kryję entuzjazmu. Wiele można powiedzieć o moim bracie, ale na pewno nie to, że przykłada odpowiednią wagę do relacji damsko-męskich.

Przytakuje i uśmiecha się szeroko.

— Więc bardzo możliwe, że będę teraz regularnie do ciebie wydzwaniał z prośbą o profesjonalne doradztwo w kwestii prezentów — uprzedza.

— Adaś, z racji tego, jak bardzo zabieganą osobą jesteś, na każdą okazję powinieneś jej podarować dokładnie to samo — mówię ciepło.

Marszczy brwi i patrzy na mnie pytająco.

— To samo, czyli co?

— Chwilę z tobą — oświadczam triumfalnie.

— Pytam poważnie. — Wzdycha.

— A ja odpowiadam poważnie. — Uśmiecham się bezwiednie, przypominając sobie o żartach z Idą na temat jej zauroczenia Adamem. — Oprócz siebie znam co najmniej jedną dziewczynę, która wiele by oddała za takie prezenty.

— Pozwól, że potraktuję twoją radę z przymrużeniem oka. W każdym razie jestem pewien, że się polubicie — stwierdza.

Trochę żałuję, że nie dopytał o wspomnianą przeze mnie dziewczynę. Ale może to i dobrze. Podobno w każdym żarcie jest odrobina prawdy, więc przyjaciółka mogłaby mi nie wybaczyć zdradzenia naszego małego sekretu.

— A co u ciebie? — odzywa się Adam, wyrywając mnie z zamyślenia.

— Bez fajerwerków, ale nie narzekam. Praca, dom, praca... Trochę jak samochodzik na sprężynkę — mówię, przywołując na twarz uśmiech. — Ale chyba nie o tym chciałeś porozmawiać?

Odwraca wzrok, splatając dłonie na umięśnionym brzuchu.

— Posłuchaj, ja... Domyślam się, że nie chcesz do tego wracać, ale wolałbym, żebyś dowiedziała się o tym ode mnie.

— Dowiedziała się o czym? — naciskam.

Adam otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale rezygnuje, dostrzegając kelnerkę. Patrzymy na siebie z napięciem, czekając, aż dziewczyna postawi przed nami kawę i gorącą czekoladę, którą zamówiliśmy, by stworzyć domowy nastrój. Ja zdecydowałam się na deserową z pomarańczami, mój brat bez wahania wybrał białą z bitą śmietaną i musem malinowym. Odzywa się dopiero, gdy kelnerka odchodzi, życząc nam smacznego.

— Wiktor wrócił. To znaczy, na razie przyjechał tylko na dwa miesiące — urywa, próbując dobrać odpowiednie słowa. — Ale wszystko wskazuje na to, że planuje wrócić do Polski na stałe. Podczas stażu poznał jakiegoś anestezjologa z Małopolski. Wiesz, w Chicago nie brakuje naszych. Szybko znaleźli wspólny język i postanowili zostać wspólnikami. Mają zamiar założyć prywatną klinikę gdzieś pod Krakowem, więc Wiktor przyjechał na kilka tygodni, żeby pozatwierać różne sprawy. Rozumiesz, jeden z nich musiał być osobiście przy podpisywaniu papierów.

Wdech, wydech.

— Świetnie. A co to ma wspólnego ze mną? — słyszę swój lekko drżący głos.

— Spotkałem się z nim dwa razy. Nie przestawał pytać o ciebie. Chciał wiedzieć, czy nadal pracujesz w tej samej firmie... Czy masz kogoś.

— To nie jest jego sprawa — odpowiadam automatycznie.

— Wiem, malutka. Wiem. Moja też nie — oznajmia, sięgając po moją rękę.
— Ale niewykluczone, że Wiktor wkrótce się tu pojawi. Uprzedzam cię, bo chciałbym, żebyś była przygotowana na tę rozmowę.

— Jestem na nią przygotowana od półtora roku — mówię twardo, wyswobadzając dłoń z opiekuńczego uścisku.

— Nietrudno zgadnąć, co myślisz, ale... Powinnaś wziąć pod uwagę fakt, że Wiktor od waszego rozstania nie związał się z nikim na poważnie. Ty też nie, z tego, co mi wiadomo.

Kładę łokcie na stole, opierając brodę na splecionych dłoniach.

— Posłuchaj, Adaś — zaczynam. — Wiem, że uwielbiasz szczęśliwe zakończenia, ale muszę cię zmartwić. Ten etap w moim życiu uważam za nieodwracalnie zamknięty.

— Przepraszam — mówi, zdejmując okulary i wsuwając je do kieszeni marynarki. — Po prostu wciąż jest mi głupio, że miałem w tym swój udział... I gdy widzę cień szansy na naprawę sytuacji, kurczowo się jej chwytam.

Wyławiam z czekolady cząstkę pomarańczy i układam ją na języku, czekając, aż rozpułynie mi się w ustach. Głęboki smak kakao ustępuje powoli miejsca słodkiemu aromatowi soczystego cytrusa. Uśmiecham się do brata, czując, jak ogarnia mnie błogi spokój.

— Adam, przestań obarczać się odpowiedzialnością za to, co się stało — zawieszam głos. Pragnę, by moje słowa zawisły na chwilę w powietrzu, przynosząc odpowiedni efekt. — Fakt, gdyby Wiktor nie był twoim najlepszym kumplem, pewnie nawet nie zwrócilibyśmy na siebie uwagi. Te wszystkie

spędzone wspólnie godziny... Pałętałam się obok was od dziecka. Do dziś pamiętam, jak bardzo was to wkurzało. — Śmieję się. — Gdyby nie moje zuchwałe pragnienie uwagi, prawdopodobnie między nami nigdy nie narodziłoby się żadne uczucie. Ale przecież zaprzyjaźniając się z Wiktorem w przedszkolu, nie miałeś pojęcia, że za kilkanaście lat twoja młodsza siostra zakocha się w nim na zabój, a on... No cóż, może i odwzajemni to uczucie, ale w pewnym momencie wybierze inną drogę. Chociaż z twoją inteligencją nigdy nie wiadomo — żartuję, posyłając Adamowi ciepły uśmiech.

— Jesteś pewna, że nie chciałabyś dać mu jeszcze jednej szansy? Tyle wspólnych lat... Szkoda byłoby to wszystko przekreślić — stwierdza, patrząc mi prosto w oczy. — Wiesz, że później nie będzie już odwrotu.

— Wyszło, jak wyszło. — Wzruszam ramionami. — Życzę mu jak najlepiej, ale nasz związek to nie jest coś, co da się naprawić. Tego już po prostu nie ma.

* * *

Po spotkaniu z Adamem długo nie mogę znaleźć sobie miejsca. Wyłączam telefon i włączę się bez celu po mieście, aż przemarzam do szpiku kości. Nareszcie rozumiem, co miał na myśli Borszewicz, pisząc o bezdomności wewnętrznej. Nie wyobrażam sobie powrotu do mieszkania, pełnego zdjęć i pamiątek, więc udaję się tam, gdzie nic nie kojarzy mi się z wydarzeniami z przeszłości.

— Jak to jest przygotowywać codziennie dziesiątki drinków, a samemu nigdy nie pić? — pytam, delektując się już trzecią szklanką hot toddy.

Michałowi udało się namówić mnie na mały eksperyment. Już po pierwszym łyku wiedziałam, że aż do wiosny nie wypiję innej whisky niż grzanej z miodem, cynamonem i kilkoma innymi magicznymi składnikami.

— Gdybym chciał, tobym pił — odpowiada lakonicznie, jak zawsze, gdy mamy świadków.

Jest sobotni wieczór, a w weekendy z powodu wzmożonego ruchu zwykle dzieli swoje królestwo z Damianem. Mimo, albo właśnie dlatego, że znają się od lat, a obecnie nawet razem mieszkają, bez przerwy się sprzeczą. Ich ciągle przekomarzanki i harmonijna współpraca stanowią wyjątkowo efektowne połączenie, co sprawia, że mogłabym obserwować ich w nieskończoność.

— Widziałam się dzisiaj z bratem — wołam, próbując przekrzyczeć głośniejszą niż zwykle muzykę.

— Nie wiedziałem, że masz brata — odpowiada Michał, energicznie mieszając w shakerze składniki jakiegoś skomplikowanego drinka.

Na moment zamykam oczy, delikatnie kiwając się w rytm muzyki.

— Kocham go jak cholera, ale czasami czuję się tak, jakbyśmy nie byli rodzeństwem. Jakby ktoś podmienił mnie w szpitalu.

Michał uśmiecha się, ale nic nie mówi.

— Wiesz, praktycznie to on mnie wychował... Może właśnie dlatego zawsze byłam, jestem i zawsze będę krok za nim — kontynuuję prawie bezgłośnie, wpatrując się w swoje dłonie. — To strasznie smutne ciągle musieć udowadniać, że się coś znaczy.

— Przestań się bawić w didżeja i ścisz to, do cholery! — krzyczy Michał do Damiana, po czym przelewa koktajl przez sitko do kieliszka i wrzuca shaker do zlewu.

Chłopak teatralnie przewraca oczami, ale zmniejsza głośność.

— Przepraszam, mogłabyś powtórzyć? Ta muza doprowadza mnie do szału.

— Ja... Chciałam tylko przedstawić ci się jeszcze raz. Jestem Jagoda, młodsza siostra swojego starszego brata. Nigdy odwrotnie — oznajmiam i wychylam szklanekę do dna.

Chłopak rozstawia szeroko dłonie i opiera je na blacie, patrząc na mnie z lekkim uśmiechem.

— No widzisz, a ja jestem starszym bratem swojej młodszej siostry. I też nigdy odwrotnie.

* * *

— Jak chcesz, to spadaj! — woła Damian godzinę później, podchodząc do Michała. — Poradzę sobie.

— Masz ochotę na samotne zbieranie odłamków szkła, wyganianie ostatnich gości i ścieranie oblepionej podłogi? — pyta chłopak z niedowierzaniem.

— A ja myślałam, że po zamknięciu słuchacie jazzu i tańczycie walca z mopem, wpatrując się z nostalgią w drobinki kurzu, które unoszą się w powietrzu — żartuję.

— Bywa i tak — odpowiada ze śmiechem Damian, a po chwili znów zwraca się do kolegi: — Jest spokój jak w wigilijny wieczór, a twoja kobieta umrze tu z nudów.

— To nie jest moja kobieta — mówi Michał.

— Nie jestem jego kobietą — odzywam się w tym samym momencie.

Choć odpowiadamy niemal równocześnie, szybkość reakcji i pewność w głosie Michała powoduje u mnie lekki ucisk w żołądku.

— Nie? To jak, dasz się zaprosić na kolację ze śniadaniem? Po zamknięciu jestem wolny jak dziki koń na północnoamerykańskiej prerii.

Kręcę głową z rozbawieniem, kątem oka dostrzegając, jak Michał zaciska szczęki.

— Ona nie jest w twoim typie — stwierdza stanowczo.

— Dla tych oczu mogę zmienić całe swoje życie — odpowiada Damian, mrugając do mnie porozumiewawczo. — W moim może nie do końca, bo jestem lepszy w działaniu niż prowadzeniu konwersacji, za to w twoim, stary, na pewno. Szkoda tylko, że boisz się do tego przyznać. — Śmieje się, odsuwając na bezpieczną odległość.

— Nie słuchaj go — oponuje Michał.

— Szkoda. Bylibyśmy całkiem uroczą parą — zauważam, wpatrując się w swoje paznokcie.

— Tak ci się tylko wydaje — mówi półgłosem i odwraca się, by przyjąć zamówienie od zniecierpliwionego klienta.

Obserwuję, jak wypełnia aluminiowy shaker kostkami lodu, a następnie wlewa do naczynia starannie odmierzone porcje kolejnych alkoholi. Najpierw sięga po butelkę wódki, później po tequilę, następnie biały rum.

Odzywam się gdzieś pomiędzy miarką dzinu a likieru triple sec.

— Jesteś mańkutem, prawda? — pytam.

Przytakuje, rzucając mi niepewne spojrzenie.

— Więc i tak nie mógłbyś być moim facetem. — Pociągam długi łyk zimnego już grzańca i uśmiecham się pogodnie. — Statystycznie leworęczni ludzie żyją trzy lata krócej od praworęcznych. Nie marzy mi się bycie wdową.

* * *

— Nie chcę się wtrącać, ale... myślałeś o tym, żeby rzucić?

Stoimy przed do połowy opustoszałym pubem. Nareszcie zrobiło się trochę luźniej, więc mogliśmy opuścić Damiana i pójść się przewietrzyć. Swoją drogą, czuję, że oddaliśmy mu niemałą przysługę, zostawiając go sam na sam z rudą pięknością, która od godziny robiła do niego maślane oczy. Gdy wychodziliśmy, akurat podsuwała mu swój numer zapisany czerwoną szminką na odwrocie rachunku.

— Rzucić pracę czy palenie?

— I to, i to.

— Jem zdrowo, nie piję, nie kradnę, preferuję monogamię, to chociaż te fajki od życia mi się należą. — Zaciąga się dymem, opierając głowę o ścianę. — Zresztą, gdybym nie palił, to długo bym w tej branży nie pociągnął.

Odwieczne prawo, nie palisz, nie masz przerwy. — Milknie na moment. — Jeśli ma ci to poprawić humor, mogę przerzucić się na jagodowe.

— Bardzo śmieszne — stwierdzam, przewracając oczami. — Żarty z gastronomicznymi aluzjami do mojego imienia należą do moich ulubionych.

— Wybacz, nie mogłem się powstrzymać — odpowiada z krzywym uśmiechem.

— Twoje grzechy są odpuszczone. A co, jeśli chodzi o pracę?

— Ciężki kaliber... Ludzie zawsze będą mieli co opijać, więc to niezbyt ryzykowny biznes. Chyba będę to robił tak długo, jak długo będę się podobał klientkom. Trzeźwe praktycznie nie zwracają na mnie uwagi, ale pijane mnie wręcz uwielbiają. Gdy skończą się napiwki, może wezmę się za poważną robotę.

Wzdycham, krzyżując ręce na piersiach.

— Czyż nie to chciałaś usłyszeć? Deklarację ustatkowania się? — Gasi papierosa i odwraca się w moją stronę. Odpala szybko kolejnego, po czym kontynuuje: — Nie martw się, posadzę drzewo albo najlepiej od razu cały las. Własnoręcznie go wykarczuję i z otrzymanego drewna zbuduję dom, z reszty wyciosam meble, a później spłodzę syna i przyuczę go do zawodu. — Znów opiera się o ścianę i patrzy w zachmurzone niebo. — Oczywiście w międzyczasie poznam jakąś dziewczynę. Jej będzie się wydawało, że się we mnie zakochała, więc ja poczuję się w obowiązku odwzajemnić to uczucie. Albo to ja stwierdzę, że mi się podoba, a ona wmówi sobie, że jestem tym jedynym. — Zamyka oczy, wplatając wolną dłoń w przydługie włosy, i zniża głos. — Natychmiast wymienimy się obrączkami, bo nie ma na co czekać, gdy prawdziwa miłość wzywa, powtarzając sobie, że to ten człowiek i ta chwila, choć równie dobrze moglibyśmy stać wtedy naprzeciwko tysiąca innych ludzi, na których patrzymy bez odrazy i z którymi rozmawiamy bez znużenia. Będziemy czuć tak ogromną presję bycia zadowolonymi z życia, że z czasem

zaczniemy siebie unieszczęśliwiać, w wyniku czego albo ona przedawkuje środki nasenne, albo ja się powieszę, a naszego syna będzie utrzymywał Caritas.

— Wow... Jestem pod wrażeniem! — oświadczam, patrząc na niego z lekko przechyloną głową. — Widzę, że wszystko sobie dokładnie zaplanowałaś. Żonglowanie butelkami za barem i flirtowanie z kobietami... Faktycznie, brzmi to jak jedyna niezawodna recepta na szczęście.

Michał milczy, ignorując moją ironię.

— Żartowałaś z tą młodszą siostrą, prawda? Nie wierzę, że człowiek tak kompletnie wyprany z emocji może być czyimś bratem.

— Widocznie nie ze wszystkich — mówi cicho, po czym ponownie się zaciąga. — Życie nauczyło mnie, że nie ma sensu zbytnio się przywiązywać. Ani do rzeczy, ani tym bardziej do ludzi. Miałem już kilkanaście kluczy i tyle samo adresów. Każdy kolejny jest coraz mniej mój.

Odwracam się do niego plecami i oddalam o parę kroków. Zamykam oczy, próbując opanować targające mną emocje. W głowie kłębi mi się tak wiele myśli, że nie sposób odnaleźć w nich tej właściwej.

— Już po północy — oznajmia Michał, wyrzucając niedopałek na chodnik. — Pora wracać do środka.

Kiwam głową i siląc się na lekki ton, mówię:

— Nie będę wam już zawracać głowy. Dobranoc.

Odchodzę, nie patrząc za siebie. Po chwili dobiega mnie odgłos zbliżających się kroków i ciepły głos Michała.

— Zaraz, a co to za oschłe pożegnanie? Ostatnio byłaś bardziej wylewna.

Odwracam się, przygryzając lekko dolną wargę, by powstrzymać uśmiech. W zimnym świetle neonów znajdującego się po drugiej stronie ulicy klubu twarz chłopaka mieni się różnymi kolorami. Turkus przechodzi stopniowo w krwistą czerwień, ustępując za moment fosforyzującej lawendzie.

— Moment słabości zdarza się nawet najlepszym. Ucałuj ode mnie Damiana
— rzucam i oddalam się pewnym krokiem, wbijając ręce w kieszenie.
Odprowadza mnie jego cichy śmiech.

Rozdział X

Bezczynn timer stoję pod prysznicem, pozwalając, by strumień chłodnej wody pokrywał moje ciało gęsią skórka. Przez całą noc przewracałam się z boku na bok, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Po kilkunastu godzinach niespokojnego snu nareszcie zmusiłam się do opuszczenia łóżka, choć nie przestaje mi się kręcić w głowie. Opieram czoło o szklane drzwiczki i zaciskam powieki. Mój eksnarzeczony wrócił do kraju, bez żony i dzieci, za to z chęcią odnowienia naszych kontaktów, a ja zaczynam uzależniać się od faceta, który nie wierzy w nic trwałego. Jedna doba to stanowczo za krótko, by przyswoić obie te informacje.

Wychodzę spod prysznica i osuszam swoje ciało ręcznikiem. Wkładam legginsy i luźny T-shirt, opatulam się wełnianym kardiganem i udaję do kuchni, by zaparzyć sobie filiżankę zielonej herbaty. Nastawiam wodę w czajniku, po czym siadam przy zagraconym stole. Opieram łokcie na stercie nieprzejrzanej poczty z całego tygodnia. Czasem wydaje mi się, że na dowód swojego istnienia mam tylko rachunki do zapłacenia. Przenoszę zaspany wzrok na przysłonięte żółtymi roletami okno. Przed oczami mimowolnie staje mi Ida, narzekająca na panujące w moim mieszkaniu egipskie ciemności, i uświadamiam sobie, że nie rozmawiałam z nią od kilku dni.

Zrywam się z krzesła i biegnę do salonu, gdzie ostatni raz widziałam swoją torebkę. W jej bocznej kieszeni znajduję całkowicie rozładowany telefon. Klnąc, podłączam go do prądu. Gdy po chwili udaje mi się go włączyć, ekran zalewa fala nieodczytanych wiadomości oraz powiadomień o nieodebranych połączeniach, głównie od Idy i Adama. Pospiesznie wybieram numer przyjaciółki.

— Przepraszam, przepraszam, przepraszam... — powtarzam szeptem, czekając, aż podniesie słuchawkę.

Odbiera już po kilku sekundach.

— To ty żyjesz?!

— Sama się dziwię, ale jakimś cudem tak. Wybacz, ostatnio miałam urwanie głowy. Zaczęło się od zamieszania w pracy, skończyło na... — Wzdycham. — Obiecuję, że wszystko ci opowiem, gdy tylko się spotkamy. Może wpadniesz do mnie? Wiem, że nie możesz mnie teraz zobaczyć, ale właśnie robię oczy sierściucha ze *Shreka*.

— No dobrze już, dobrze. Muszę tylko załatwić parę rzeczy na mieście. Dla odmiany mam niedzielę pracującą — mówi z przekąsem. — Ale wieczorem jestem twoja.

* * *

— Nie mogę w to uwierzyć! — Ida z oburzenia aż podniosła się z fotela. — Nasz globtroter uważa, że jednak jest w stanie coś osiągnąć w Polsce?!

— Na to wygląda — mruczę, wsmarowując krem w dłonie.

— I co zrobisz, gdy stanie w twoich drzwiach? — pyta, przyglądając się bacznie mojej twarzy.

— Nie wiem, nie mam pojęcia — oznajmiam, nie podnosząc wzroku znad swoich rąk. — Część mnie będzie chciała go uderzyć, a część przytulić.

Ida przysiadła na podłokietniku zajmowanego przeze mnie fotela i lekko mnie obejmuje, opierając brodę na czubku mojej głowy.

— Zrobisz, co będziesz uważała za słuszne — zawiesza głos, po czym bierze głęboki wdech. — Ale jeśli zapytałabyś mnie o zdanie, a wiem, że tego nie zrobisz, to odpowiedziałabym, że ten koleś nie zasługuje nawet na to, żeby choć raz jeszcze spojrzeć ci w oczy. Pamiętaj, że nie jesteś mu nic winna.

Przez chwilę milczymy, pogrążone we własnych myślach.

— Dobrze wiedziałam, na co się piszę, wiążąc się ze studentem medycyny — mówię powoli, wbijając wzrok w podłogę. — Czy można winić kogoś za to, że ma marzenia?

— Nie, kotku. Każdy ma marzenia, ale nie każdy przedkłada je nad realny świat.

— Adam uważa, że Wiktor...

— Adam nie jest obiektywny — przerywa mi Ida. — Wiesz, że go uwielbiam, ale nawet moja platoniczna miłość do twojego nieziemsko przystojnego brata nie jest w stanie przysłonić mi jego wad. Może i wygrał na genetycznej loterii, ale nie ma zielonego pojęcia, co czuje kobieta porzucona dla jakichś mrzonek. I to w trakcie przygotowań do cholernego ślubu! Takich rzeczy się nie wybacza.

— Wybacz się, wybacz — odpowiadam z bladym uśmiechem. — Choć dopiero wtedy, gdy dociera do nas, że to było najlepsze, co mogło się wydarzyć w naszym życiu.

Ida odsuwa się nieznacznie, by spojrzeć mi w oczy.

— Czekaj, czy ja o czymś nie wiem?

— Wszystko ci wyjaśnię, ale musisz obiecać, że nie odezwiesz się, dopóki nie skończę. Nie przzerwiesz mi i nie będziesz próbować oceniać.

— Przecież wiesz, że jestem w tym mistrzynią. — Wzdycha, puszczając do mnie oczko.

— No dobrze, więc chodzi o Michała... Chyba zaczyna mi na nim zależeć.

— Michała? Tego z pubu? — Marszczy brwi. — Nie wiedziałam, że się spotykacie.

— Nie spotykamy się, po prostu...

— Ale to cudownie! Wyobrażasz sobie minę Wiktora, kiedy tu przyjedzie i zastanie cię baraszkujejącą z atrakcyjnym barmanem?! — Jej oczy aż błyszczą z ekscytacji. — Otworzysz mu w samym ręczniku, z kieliszkiem prosecco

w dłoni i ustami czerwonymi od truskawek... Błagam, zamontuj ukrytą kamerę! Muszę to zobaczyć.

Wstaję z fotela, unoszę ręce nad głowę i niespiesznie się przeciągam.

— Sorry, ale kontynuowanie tej rozmowy nie ma sensu — mówię.

— Oj, no już, nie gniewaj się. Od teraz będę milczeć jak siwy mnich w klasztornej celi. Słowo harcerza! — zapewnia, prostując się i unosząc majestatycznie dwa palce ku górze, mimo że nie mogłaby mieć mniej wspólnego z ruchem skautowym.

Wracam na swoje miejsce, choć wiem, że Ida nie dotrzyma słowa. Czuję jednak, że jeśli nie wyrzucę tego z siebie, to wkrótce się uduszę.

— Niestety, to nie jest takie proste. Twoje fantazje są bezpodstawne, bo nie doszło do niczego... nieodwracalnie określającego charakter naszej relacji — kontynuuję. — Po prostu dużo rozmawiamy i przyłapuję się na tym, że nikogo przy nim nie udaję. Zbyt dobrze czuję się w jego towarzystwie, by z tego zrezygnować, chociaż wiem, że nie mogę oczekiwać niczego więcej.

Ida patrzy na mnie z uniesionymi brwiami, ale jakimś cudem się nie odzywa.

— Boję się, że przestanie mi to wystarczać... A on nie daje mi złudzeń, że czeka nas ciąg dalszy.

— Może niepotrzebnie wszystko komplikujesz? — szepcze, jak gdyby nienaturalne dla niej mówienie cicho nie liczyło się jako przerywanie.

— Wręcz przeciwnie. To banalne, ale niezwykle ważne. — Poprawiam się na fotelu, podciągając kolana pod samą brodę. — Nie ma bardziej niebezpiecznego preludium do związku niż przyjaźń. Związku, w którego ideę on nie wierzy. Seks łatwo wyrzuca się z głowy, ale ze współdzielonymi myślami jest o wiele trudniej. Wiem, jak to się kończy... i nie chcę powtórki.

— To ułatw sobie wszystko i idź z nim do łóżka — proponuje przyjaciółka z uśmiechem. Po chwili jednak poważnieje. — Ale uprzedzam, że to nie zawsze się sprawdza.

— Ida... — Łapię ją za rękę, zapominając na moment o własnych problemach, bo dociera do mnie drugie dno jej wypowiedzi. — Przemyślałaś już sytuację z Karolem?

Milczy.

— Dlaczego tak jest, że jedni faceci myślą zbyt poważnie, a inni są tak obojętni? — rzucam w przestrzeń naiwne pytanie, opierając głowę na jej ramieniu.

— Pamiętasz wieczór, gdy poznałaś Michała? — odzywa się po chwili.

— Jak mogłabym zapomnieć... Byłam najbardziej beznadziejnie samotną osobą w tej strefie czasowej. — Parskam urywanym śmiechem. — Może nawet na całym świecie.

— I pamiętasz, że rozmawiając ze mną przez telefon, słyszałaś w tle męski głos? Później robiłaś mi wymówki, a ja prosiłam cię o wyrozumiałość, nic nie tłumacząc.

Przytakuję, zastanawiając się, do czego pije.

— To był Karol. Szykowałam się do wyjścia, a on zadzwonił do drzwi. Byłam pewna, że to ty wyrobiłaś się przed czasem, więc bez wahania otworzyłam... Z wałkami na głowie i na wpół skończonym makijażem — wspomina z zażenowaniem.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — jęczę. — Nie byłabym na ciebie ani trochę zła, gdybym wiedziała, że to on!

— Przeprosił mnie za te oświadczenia. Za brak wyczucia czasu. Powiedział, że nie ma żalu i że chce, bym była szczęśliwa, niekoniecznie z nim... — Wzdycha. — Bardzo długo rozmawialiśmy. Uwierzysz, jeśli powiem, że od tamtej pory nie spotkałam się ani z nim, ani z żadnym innym facetem?

— Ale... dlaczego? — dociekam.

— Jak to dlaczego? On jest pewien, czego chce, w przeciwieństwie do mnie. Stwierdziłam, że muszę pobyć sama, żeby móc sobie wszystko

poukładać.

— I poukładałaś?

Ida przytakuje, odwracając wzrok.

— Karol pokazał mi, jak dobrze może być w związku, więc teraz już nie zadowolę mnie żadna namiastka. Wiesz, nie sądziłam, że kiedyś to powiem, ale chyba go Kocham... — urywa, a na jej twarzy wykwita lekki rumieniec. — To takie głupie. Mam dwadzieścia siedem lat i zakochałam się po raz pierwszy w życiu.

— *Forelsket* — mówię z uśmiechem.

— Forel co?

— Norwegowie mają określenie na to, co właśnie czujesz. *Forelsket*. Euforia związana z pierwszą miłością — wyjaśniam, wpatrując się przed siebie. — Zapamiętaj tę chwilę, bo już się nie powtórzy.

* * *

Po wyjściu Idy zamierzam położyć się spać, ale przypominam sobie o nieodczytanych wiadomościach. Udaję się więc do kuchni, by zabrać z blatu całkowicie naładowany telefon, i wracam do łóżka. Układam się wygodnie na stercie poduszek i otulam ciepłym kocem. Wyłączam lampkę nocną i w ciemności zaczynam przeglądać SMS-y. Zaledwie przelatuję wzrokiem po tych od Adama, nie łudząc się, że znajdę w sobie siłę, by odpisać. Dostrzegam także krótką wiadomość z nieznanego numeru.

Cześć! Czy to wciąż Ty? ;-)

Przypuszczam, że to Igor, więc SMS momentalnie ląduje w koszu. Wygląda na to, że poufność danych osobowych gości znajduje się niżej w piramidzie wartości recepcjonistki niż jeden olśniewający uśmiech mężczyzny.

Nastawiam budzik na siódmą, po czym odkładam komórkę na szafkę. Kątem

oka zauważam księżyc w pełni, który bez skrępowania zagląda do pokoju. Nawet on nie może spać.

Obracam się na plecy i wpatruję w sufit, próbując zasnąć. Zamiast owiec liczę sytuacje, w których powinnam była postąpić inaczej.

* * *

— Jak ty to sobie wyobrażasz? No dalej, proszę, wytłumacz mi — mówię spokojnym tonem, choć w środku drę się wniebogłose, biegnąc co sił przed siebie.

Gdyby nie to, że od mojego rozmówcy oddziela mnie biurko i resztki profesjonalizmu, już dawno rzuciłabym się na niego z pięściami.

— Wciąż tylko praca i praca... Może pogadamy o czymś przyjemniejszym? Słuchaj, ja wiem, że ten cały Zieliński to gruba ryba, ale trzeba mieć w życiu jakieś priorytety — oświadcza Rafał, rozsiadając się nonszalancko na krześle. — Nie jestem robotem, żeby zapieprzać cały weekend.

— Siedzisz wygodnie?

Przytakuje, patrząc na mnie z niepewną miną.

— No to słuchaj. Zajmujemy się tym zleceniem od dobrych paru tygodni i doskonale wiesz, jaka jest rola waszego działu. Gdybyś wziął się za robotę wtedy, kiedy została ci przydzielona, zamiast codziennie spóźniać się do pracy i przez resztę dnia bajerować praktykantki, nie byłoby teraz tej rozmowy.

Rafał wzrusza ramionami i rozkłada ręce w geście bezsilności.

— Ależ po co te nerwy? Spokojnie, nie na darmo powiadają, że złość piękności szkodzi.

— Będę spokojna, jeśli to ty pójdziesz za mnie na spotkanie i wytłumaczysz naszemu klientowi, że będzie musiał poprowadzić swoje wystąpienie bez własnej strony internetowej, ponieważ nie wyrobiliśmy się w czasie. — Opieram łokcie na biurku i pochylam się do przodu. — To znaczy jeden

z naszych pracowników się nie wyrobił, bo wydaje mu się, że płacą mu za zgrywanie casanovy.

— Jagódko... — Wzdycha. — Jak możesz być tak okrutna? Kobieta z takimi atutami jak ty poradzi sobie w każdej sytuacji. Założysz bluzkę z większym dekoltem i Zielińskiemu wylecą z głowy wszelkie deadline'y.

Zaciskam powieki, odliczając w myślach do pięciu.

— Kojarzysz takie obrazki dla dzieci, gdy trzeba wybrać jedną rzecz, która nie pasuje do reszty? — szepczę. Otwieram oczy i dodaję: — Ciekawe, które z nas jest tym cholernym elementem. Wyjdź, proszę.

* * *

Gdy opuszczam biurowiec, na zegarku jest prawie dziewiętnasta. W drodze do domu przeglądam telefon, by sprawdzić, czy wydarzyło się coś, co sugerowałoby, że koniec świata nastąpi już dziś. Szkoda byłoby go przegapić tylko dlatego, że utknęłam dłużej w pracy. Całkiem dobrze by się składało, bo moja lodówka akurat świeci pustkami.

Jednak zamiast niepokojących newsów odnajduję tylko kolejnego SMS-a.

Codziennie na świecie odbywa się trzy miliony pierwszych randek. Nasza nie będzie pierwsza, ale zrobię wszystko, by była jedyna. Po prostu powiedz, że chcesz.

Przez moment się waham, ale w końcu kasuję wiadomość. Obiecuję sobie, że po dotarciu do mieszkania przeszukam szufladę w salonie i odnajdę karteczkę od Igora, by upewnić się, że to jego numer.

Chowam telefon do kieszeni wraz ze zmarzniętymi dłońmi i unoszę głowę, wpatrując się w niewyraźne smugi chmur. Miasto spowija mgła tak gęsta, że prawdopodobnie zatrzymuje nawet dźwięk. Chciałabym pomyśleć życzenie, ale jak mam dostrzec spadającą gwiazdę, gdy ledwo widzę czubek własnego

nosa?

* * *

Opróżniam wszystkie szuflady komody, wyrzucając stertę rzeczy na dywan. Znajduję nieaktualny paszport i zgubiony dawno temu kolczyk z czterolistną koniczynką, niekompletną talię kart, zapasowe klucze do poprzedniego mieszkania, nawet wizytówkę od tego faceta znad morza, ale nie ma ani śladu po numerze Igora. Zirytowana, porzucam poszukiwania i biorę się za porządkowanie ogromnego bałaganu, którego niechcący narobiłam.

Wzdycham, natrafiając na szczelnie zapakowany plik fotografii z dzieciństwa, do których nie zaglądałam od lat. Bałam się zerkać w popiół, aby się nie okazało, że jeszcze tli się żar. Siadam na podłodze, krzyżując nogi, i opieram się plecami o fotel. Niespiesznie przeglądam zdjęcia, zatrzymując się na dłużej przy tych, które przedstawiają naszą trójkę. Uśmiecham się na widok moich krzywych warkoczyków, nieudolnie splecionych przez brata. Moja ulubiona fotografia została zrobiona w ostatnie beztroskie lato, zanim jeszcze rodzice wysłali mnie do przedszkola. Adam i Wiktor stoją ramie w ramie. Patrzą prosto w obiektyw, uśmiechając się szeroko mimo odrapanych kolan. Ja trzymam w rękach wiecznie niezadowolonego kota sąsiadów, który próbuje wyrwać się na wolność. Mam trzy lata i zamknięte oczy, ale to nieważne, bo wszyscy wyglądamy, jakbyśmy świetnie się bawili. No, może oprócz sierściucha.

Zamykam oczy, dając się porwać wspomnieniom. Choć cała ta historia nie skończyła się najlepiej, ze zdziwieniem zauważam, że pozostały we mnie same dobre emocje. Czasem to nie finał jest najważniejszy, ale to, co działo się po drodze.

* * *

— Jeszcze raz przepraszam i dziękuję za wyrozumiałość — mówię lekko drżącym głosem, podnosząc się z krzesła.

Zieliński, zamiast również wstać, patrzy na mnie spod krzaczastych brwi i rozluźnia krawat pod szyją.

— Nie myślała pani, żeby pracować na swoim?

Nieruchomieję z teczką w dłoni i uciekam przed nim wzrokiem.

— Nie rozumiem.

— Przecież wiem, że to nie pani wina. Ktoś inny zawalił, mam rację?

— Przykro mi, ale to są sprawy firmowe — odpowiadam, porządkując leżące na biurku papiery, by zająć czymś ręce. — Takie rzeczy pozostają wewnątrz...

— Zwyczajnie zastanawiam się, czy pani to nie wkurza. Nie wolałaby pani, pani Jagodo, skupić się na jednym projekcie i samodzielnie doprowadzić go do końca, zamiast robić wszystko za wszystkich? Przecież tu panią wykończą. — Podnosi się ciężko. — Powinna to pani przemyśleć. Mówię to oczywiście jako potencjalny pierwszy stały klient.

Wzdrygam się na widok krzywego uśmiešku goszczącego na jego twarzy. Z podejrzliwością zerkam na swoją granatową sukienkę przed kolano z niewielkim, półokrągłym dekoltem, ale nie znajduję w niej nic niepokojącego.

— Dziękuję za sugestię, ale spełniam się w swojej pracy — kłamię. — Życzę udanego wyjazdu, do widzenia.

— Do zobaczenia — odpowiada, wyciągając masywną dłoń w moim kierunku.

Pospiesznie ją ściskam i z przyklejonym do twarzy uśmiechem czekam, aż zamknie za sobą drzwi. Zaraz potem podchodzę do okna i przyciskam czoło do szyby, chwytając się parapetu. Długo stoję, wpatrując się w dachy sąsiednich budynków.

* * *

O wpół do siedemnastej rozdzwania się moja komórka. Wiem, że nie powinnam się dekoncentrować, skoro wkrótce kończę pracę, ale zastanawia mnie, kto to może być, tym bardziej że telefon wibrował kilkakrotnie w ciągu ostatniej godziny.

Kiedy dostrzegam na wyświetlaczu numer, którego właściciel od tygodnia zamęcza mnie enigmatycznymi wiadomościami, myślę, żeby zrezygnować, ale ostatecznie ciekawość zwycięża. Wciągam głęboko powietrze do płuc, powoli je wypuszczam i odbieram.

— Igor, daj już sobie spokój, proszę — mówię szybko.

— Igor?

Muszę się wesprzeć na oparciu fotela, żeby nie zemdleć, gdy słyszę ten jakże znajomy głos.

— Wiktor? — pytam cicho, pomagając sobie utrzymać telefon przy uchu drugą dłonią. — Co to ma znaczyć?

Odpowiada mi nerwowy śmiech.

— Zapomnij o tych SMS-ach. Chciałem być romantyczny, ale chyba coś mi nie wyszło — urywa z zakłopotaniem. — No wiesz, zawsze narzekałaś, że byłem za mało uczuciowy...

— Byłeś idealny — wyrywa mi się. — Z naciskiem na byłeś. Usunęłam twój numer jako część rehabilitacji mięśnia sercowego, więc nie miałam pojęcia, że to ty... Zresztą, nieważne. Przepraszam. — Chrząkam, po czym szybko dodaję: — A teraz wybaczone, muszę lecieć. Jestem jeszcze w pracy, więc nie bardzo mogę rozmawiać.

— Spotkajmy się, proszę.

Milczę, tocząc wewnętrzną walkę ze sobą.

— Zaraz kończysz, prawda? Podjadę po ciebie.

— Wychodzę z pracy za dwadzieścia minut. Nie zdążysz się wyrobić —

mamroczę.

— Będę czekać już za dziesięć. Dziękuję i do zobaczenia! — Rozłącza się, zanim zdążę zaprotestować.

Osuwam się na fotel, po czym odkładam telefon na biurko i chowam twarz w dłoniach. Trwam tak w bezruchu, aż zegar wybija siedemnastą.

* * *

— Wow! Wyglądasz... — mówi cicho Wiktor, błędząc wzrokiem po mojej twarzy.

Mogłabym przysiąc, że szklą mu się oczy. Odwracam szybko wzrok. Im dłużej na niego patrzę, tym trudniej jest mi oddychać.

— Ty też nieźle się trzymasz — bąkam.

Napięcie między nami jest wręcz namacalne. Chłopak próbuje się do mnie przysunąć, ale robię krok do tyłu. Wtedy wyciąga zza pleców bukiet kwiatów i rozciąga wargi w szerokim uśmiechu. Wzdycham, walcząc ze sprzecznymi emocjami.

— Piwonie, twoje ulubione.

— Dziękuję, to... bardzo miłe z twojej strony — stwierdzam, biorąc kwiaty z jego rąk. Mrugam kilkakrotnie, by usunąć sprzed oczu obraz mojego bukietu ślubnego, który miał się składać z pastelowych piwonii i herbacianych róż.

Nieśmiało podnoszę wzrok na Wiktora. Patrzę mu w oczy zaledwie przez sekundę, ale taką sekundę, która zawiera w sobie odurzający zapach bzu i pierwsze, elektryzujące zetknięcie warg chłopaka z moim obojczykiem. Wszystkie filizanki jaśminowej herbaty na zacienionym tarasie i jeszcze ciepłe wspomnienia wschodów słońca. A później wskazówka się przesuwa, pozostawiając dojmującą pustkę.

— Skarbie... — szepcze łamiącym się głosem Wiktor, próbując dotknąć dłonią mojego policzka.

Odsuwam się jak oparzona.

— Przepraszam, nie mogę...

Odwracam się do niego tyłem, by ukryć napływające do oczu łzy, po czym zaczynam iść w przeciwną stronę. On szybko mnie dogania i zatrzymuje, delikatnie chwytając za łokieć.

— Poczekaj. Nie chciałem...

— Nie utrudniaj mi tego, dobrze? Przejdźmy się, pogadajmy i wróćmy każde do swojego życia.

— Jak sobie życzysz — odpowiada, odwracając wzrok. — Może skoczmy na kawę? Ida mi wspominała, że masz jakieś swoje ulubione miejsce.

— Wygląda na to, że zdążyłeś już porozmawiać ze wszystkimi oprócz mnie — rzucam z przekąsem, zapisując sobie w myślach, by wygarnąć przyjaciółce, co myślę o zatajaniu takich informacji.

— To było trudniejsze, niż się spodziewałem. — Wzdycha. — Przyznaję, chciałem najpierw wy badać teren. Dowiedzieć się, czy wszystko u ciebie w porządku, czy...

— Czy jestem na ciebie zła? — kończę za niego i obracam się w jego stronę. Patrząc mu prosto w oczy, oznajmiam: — Nie, nie jestem. Już nie. A jeśli chodzi o kawę, to świetny pomysł, ale może innym razem, bo dziś padam z nóg.

— Jasne, rozumiem. — Chowa ręce do kieszeni, odwracając wzrok.

— Wiktor, to nie jest wymówka. Naprawdę miałam okropny dzień w pracy. Bardziej niż kawy potrzebuję teraz solidnej drzemki.

— Trochę cię zaskoczyłem, prawda? — mówi po chwili.

— Nie da się ukryć — przyznaję ze słabym uśmiechem.

— Innym razem... — zawiesza głos, wracając spojrzeniem do mojej twarzy. — Może być w weekend?

— Weekend jest w porządku. — Biorę głęboki wdech. A później jeszcze

jeden. — Wiem, że jesteś zajęty...

— Po prostu podaj miejsce i godzinę. W sumie wystarczy godzina, bo miejsce chyba znam.

Przez chwilę patrzymy na siebie, nic nie mówiąc. Ciszę przerywa Wiktor.

— Chodź, podrzucę cię do domu.

— Nie kłopotz się, to niedaleko. A poza tym wolę się przejść.

— Mówiłaś, że jesteś zmęczona. — Wyciąga do mnie rękę. — To żaden problem, zaparkowałem kilka metrów stąd.

Podchodzę bliżej, ale nie chwytam jego dłoni. Idziemy ramię w ramię wzdłuż ulicy, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mogłoby się wydawać, że czegoś szukamy, gdyby nie to, że zgubiliśmy to zbyt dawno temu.

— Dziękuję — mówię, gdy dochodzimy do jego auta.

— Za co? — pyta, zerkając na mnie z ukosa i otwierając mi drzwi.

— Za kwiaty i za podwózkę — odpowiadam, przeciskając się obok niego. Kiedy zamyka za mną drzwi i obchodzi samochód, dodaję cicho, tak by nie usłyszał: — I za kilkanaście pięknych lat.

Rozdział XI

Jest piątkowy wieczór, więc jak zwykle stoję przed drzwiami przyjaciółki. Dziś wyjątkowo wyposażona nie tylko w butelkę wina, lecz także mnóstwo pretensji.

— Ida, coś ty mu naopowiadała? — rzucam w progu, nie kłopotząc się przywitaniem.

— Hej! Wejdz, kochanie. — Odsuwa się, robiąc mi miejsce. — Poczekalaś aż do teraz, żeby na mnie nakrzyczeć? Jestem pod wrażeniem.

— Chciałam patrzeć ci w oczy, jak będziesz się przyznawać do konspirowania za moimi plecami — mówię twardo, nie ruszając się z miejsca.

— Ależ po co używać tak wielkich słów... — Wzdycha, zabierając ode mnie butelkę. — Rozbierz się i chodź do salonu. Mam gościa. — Puszczą do mnie oczko i zmierza do kuchni, by wstawić wino do lodówki.

Z rezygnacją odwieszam płaszcz i zdejmuję kozaki. Przeglądam się w ogromnym lustrze, zakładam rozwiane włosy za uszy, po czym udaję się do salonu. Gdy tylko przekraczam próg, dostrzegam zrywającego się z fotela Karola. Podchodzi do mnie i zamyka mnie w uścisku, szepcząc:

— Dziękuję, że nie pozwoliłaś mi się poddać. Będę ci za to wdzięczny do końca życia.

— Daj spokój. Poskromienie tego uparciucha to twoja zasługa — mówię półgłosem, poklepując go po plecach.

— No już, dość tych czułości! — woła Ida, wracając z kuchni. — To, że jesteś na mnie ociupinkę zła, nie oznacza, że możesz mi odbić faceta.

Wybuchamy śmiechem, zwiększając dystans między nami.

— A szkoda — oznajmiam, mrugając porozumiewawczo do Karola.

Ida krzyżuje ręce i patrzy na mnie gniewnie.

— Już prędzej pożyczyłabym ci Wallet on Chain od Chanel niż mojego narzeczonego — stwierdza z trudno skrywanym rozbawieniem.

— Przyznaję, że zawsze chciałam ci podwędzić tę torebkę. — Przysiadam na brzegu ulubionej skórzanej kanapy i wyciągam nogi, krzyżując je w kostkach. — Ale to było kiedyś. Teraz doceniam twoją wielkoduszność, ale już nie chcę się niczym z nikim dzielić. Nie masz... Nie macie pojęcia, jak mnie to boli, że wszyscy mają swoje życie, a ja stoję w miejscu.

— Nie mów tak. To nieprawda — mówi niepewnie Ida.

— Praca na etacie, wynajmowane mieszkanie... Nawet nie dorobiłam się własnych mebli. Wszystko, co mam, jest pożyczone. Nie dziw się więc, że chociaż faceta chciałabym mieć własnego — dodaję, śmiejąc się. Oboje patrzą na mnie z taką troską w oczach, że ledwo to wytrzymuję. — No już, nie róbcie takich min.

Energicznie wstaję i sięgam po karafkę z wodą, po czym napełniam dwie szklanki. Z jednej pociągam mały łyk, a drugą podaję Karolowi.

— To my wypijemy za moje nieudane życie, a ty w tym czasie wypowiadasz się ze swych niecnych uczynków. Daruj sobie żal i postanowienie poprawy, za dobrze cię znam, ale bez zadośćuczynienia się raczej nie obejdzie — mówię, wracając na swoje miejsce.

— Wyluzuj, kotku! To wszystko dla twojego dobra.

Patrzę na nią z uniesionymi brwiami, a ona wzrusza ramionami.

— No dobra, prawdopodobnie powinnam była ci powiedzieć, że rozmawiałam z tym twoim doktorkiem raz czy dwa...

— To w końcu raz czy dwa?! — rzucam, po czym opróżniam szklankę trzema długimi łykami. — I co mu nagadałaś o Michale?

— To może ja zostawię was same... — Karol śmieje się i wycofuje do kuchni.

— Proszę cię, powinnaś być mi wdzięczna! Dzięki mnie upieczesz dwie pieczenie na jednym ogniu — zapewnia Ida, zajmując miejsce obok mnie. — Wydarzy się wszystko albo nic. Dowiesz się, czy naszemu supermanowi na tobie zależy, i przy odrobinie szczęścia sprawisz, że Wiktor będzie zazdrosny. Może wreszcie dotrze do niego, co stracił.

— Wiesz, boję się tych twoich świetnych pomysłów — mamroczę, opierając głowę na ramieniu przyjaciółki.

— A masz lepszy?

Wzdycham.

— Wygląda na to, że nic innego mi nie pozostało.

* * *

Wychodzę spod prysznic, zastanawiając się, co na siebie włożyć. Z ręcznikiem owiniętym wokół głowy dłużej niż zwykle przekopuję szafę w poszukiwaniu inspiracji. Wiktor ma przyjechać po mnie dopiero o szesnastej, a ja i tak zdążyłam już zmarnować pół dnia na rozmyślanie o tym, jak będzie. Czy dam radę zachować obojętność, czując jego ciepły, piżmowy zapach i patrząc w krystalicznie błękitne oczy? Widząc jasne, jedwabiste włosy, w które setki razy zanurzałam po ciemku dłonie?

Zerkam na zegarek, zmuszając się do zejścia na ziemię. Włączam muzykę, bo nie lubię szykować się w kompletnej ciszy. W towarzystwie Chrisa Stapletona spryskuję się ulubionymi perfumami, robię delikatny makijaż i zakładam minimalistyczną biżuterię. Włosy lekko unoszę u nasady i podkreślam końcówki, bujając się w rytm *Fire Away*. Chcę nie tylko dobrze wyglądać, ale też czuć się swobodnie, dlatego wkładam czarny, dopasowany golf, rozkloszowaną, beżową spódnicę do połowy łydki w stylu moich ukochanych lat pięćdziesiątych i długie, skórzane kozaki na słupku. Sięgam po telefon, by raz jeszcze sprawdzić, ile zostało mi czasu, gdy na ekranie pojawia

się wiadomość od Michała.

Nie było cię u nas jakieś sto lat... Może coś z tym zrobimy?

Wygląda na to, iż podświadomie wyczuł, że dziś się zobaczymy. Przez chwilę zastanawiam się, co odpisać. Ostatecznie decyduję się na enigmatyczne:

Wpadnę dziś wieczorem.

Bębnię palcami o blat i wysyłam szybko kolejnego SMS-a.

Nie sama.

Odpowiedź przychodzi już po kilkunastu sekundach.

Ładnych koleżanek nigdy za dużo :-)

Chowam telefon do torebki, uśmiechając się na myśl o tym, jak bardzo się zdziwi.

* * *

— Jak tu... przytulnie — stwierdza dyplomatycznie Wiktor, obdarzając wnętrze pubu spojrzeniem eksperta.

Zdejmuje jasnoszary płaszcz i rozgląda się za wieszakiem. Ostatecznie rezygnuje i przewiesza go przez oparcie krzesła.

— Chciałeś powiedzieć, niezbyt ekskluzywnie? — uściślam z lekkim uśmiechem, wspominając jego zamiłowanie do luksusowych lokali.

— To zdecydowanie miejsce bardziej w twoim stylu niż moim, wybacz — mówi, poprawiając mankiety koszuli.

Idzie do baru, by zamówić dla nas kawę, a ja siedzę ze wzrokiem

wpatrzonym przed siebie. Bawię się srebrną bransoletką, nie mając odwagi, by spojrzeć w stronę Michała. Po raz pierwszy zauważam, że ściany pubu wyłożone są płytkami imitującymi cegłę. By zabić czas, doliczam się dokładnie trzydziestu pięciu cegiełek w pionie.

Wiktor wraca po kilku minutach, które wydają się wiecznością. Zajmuje miejsce naprzeciwko mnie, po czym oznajmia:

— Cieszę się, że udało nam się spotkać przed moim powrotem do Stanów.

Staram się ignorować fakt, że usiadł tak, by nasze kolana się stykały.

— Kiedy wylatujesz? — pytam bardziej z uprzejmości niż ciekawości i poprawiam się na krześle, zakładając nogę na nogę.

— Samolot mam dopiero w przyszłym tygodniu, ale z Wrocławia wyjeżdżam już jutro. Muszę jeszcze coś załatwić. Wiesz, w związku z tą kliniką, o której prawdopodobnie wspominał ci Adaś. Dlatego tym bardziej jestem szczęśliwy, że znalazłaś dziś dla mnie chwilkę — mówi, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

— Daj spokój... — urywam, dostrzegając zmierzającego w naszą stronę Michała.

— Proszę bardzo, americano dla pani i podwójne espresso dla pana. — Stawia przed nami filiżanki, wbijając twarde spojrzenie w bok twarzy Wiktora.

— Przepraszam, ale dla mojej narzeczonej zamówiłem latte.

Już otwieram usta, żeby sprostować błędne określenie Wiktora dla łączących nas relacji, ale Michał mnie ubiega.

— Pana narzeczonej — zawiesza głos, kładąc nacisk na te słowa — pija wyłącznie czarną kawę. Uważa, że dodatek mleka jest w stanie zabić unikatowość aromatu nawet najbardziej intensywnych ziaren. Osobiście się z nią zgadzam. W każdym razie na przyszłość radzę panu skonsultować się z narzeczoną przed złożeniem zamówienia.

Obraca się na pięcie i odchodzi, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. Zasłaniam usta serwetką, by ukryć rozbawienie.

— Co za bufon. Znasz tego faceta?

— Tak. To mój... znajomy.

Wiktor wzdycha, patrząc wrogo w stronę oddalającego się Michała.

— Naprawdę nie pijesz już kawy z mlekiem?

— Trochę się pozmieniało przez te półtora roku — mówię ostrożnie.

Zaciska usta, kiwając lekko głową.

— Masz kogoś, prawda? — pyta, unikając mojego wzroku.

— A co to ma do rzeczy?

— Czyli masz. Igor, zgadza się? To na jego telefon czekałaś, gdy do ciebie zadzwoniłem? — wyrzuca z siebie jednym tchem. — Cóż, nie spodziewałem się, że tak szybko się pocieszysz... Trochę to egoistyczne, ale widocznie nie bez przyczyny twoje imię zawiera cząstkę „ja”.

Z oburzenia aż odejmuje mi mowę. Zrywam się z miejsca i zaczynam pospiesznie się ubierać, cała dygocząc. Wiktor także wstaje, łapie mnie za nadgarstek i przyciąga do siebie.

— Przepraszam, kochanie... Usiądź, proszę. Nie mam pojęcia, co robić — mówi, przeczesując nerwowo włosy. — Popełniłem cholerny błąd, wiem. Jak długo zamierzasz mnie jeszcze karać?

Zamykam oczy, zmuszając się do zachowania spokoju. Najchętniej bym stąd wybiegła, ale mam świadomość, że prędzej czy później musimy odbyć tę rozmowę. Pod wpływem jego oskarżycielskich słów stałam się półtransparentna. Wciąż tu jestem, ale czuję, jakbym znajdowała się gdzieś obok, za kuloodporną szybą, gdzie już nic nie może mnie zranić.

— To nie jest żadna kara, tylko konsekwencja — oświadczam, z rezygnacją wracając na swoje miejsce. Biorę łyk kawy, dając sobie chwilę na uporządkowanie myśli. — Naprawdę, bardzo się cieszę, że udało ci się

wrócić do kraju, twoi rodzice na pewno są w siódmym niebie, ale to nie oznacza, że automatycznie wszystko będzie po staremu. Nie jestem zabawką, którą możesz odłożyć na bok na kilkanaście miesięcy, a gdy wrócisz, będzie czekała w tym samym miejscu.

Obraca głowę w bok, zaciskając szczęki.

— Po prostu powiedz mi, kim on jest... Kto bardziej do ciebie pasuje niż ja?

— Wiktor, czy ty mnie w ogóle słuchasz?! — Rzucam przepraszające spojrzenie przyglądającym się nam ludziom, siedzącym przy sąsiednich stolikach, i zniżam głos. — Przez te wszystkie lata czułam się jak... jak rzeka wpadająca do oceanu. Nie wiedziałam, gdzie kończysz się ty, a zaczynam ja. Byłam zaledwie kometą krążącą po twojej orbicie. Na szczęście zmieniłam się, dojrzałam... Potrzebowałam tych kilkunastu miesięcy, by dotarło do mnie, że nie pasujemy do siebie. Jestem pewna, że ty też to wkrótce zrozumiesz.

— Skoro nie masz nikogo, to nie pojmuje dlaczego...

— Dlatego, że nie chcę być częścią twojego planu B — mówię stanowczo i biorę kolejny łyk americano. — Moje życie przypomina ostatnio niskobudżetowy film z kiepską fabułą i dużą liczbą postaci epizodycznych. Najwyższa pora na pierwszoplanową rolę.

* * *

Dopijam zimną już kawę i zastanawiam się, czy dobrze postąpiłam. Może lepiej byłoby, gdybym nie spotkała się z Wiktorem, żyjąc w naiwnym przekonaniu, że wydorósł. Dopiero kiedy wybiegł z knajpy, posługując się jakąś żalosną wymówką, dotarło do mnie, że to koniec. Znów uciekł, gdy tylko pojawiły się jakieś trudności. Chyba naprawdę uważał, że z radością rzucę mu się w ramiona, zamiast poczekać, aż ponownie zdobędzie moje zaufanie.

Zresztą po co wdrapywać się po schodach, gdy wokół tyle wind? Kto

marnowałyby czas na stopniowe odbudowywanie relacji, kiedy może mieć podane na tacy tak wiele innych kobiet? Na pewno nie Wiktor. Ten facet nie jest i nigdy nie będzie zdolny do poświęceń. A może po prostu to ja nie jestem ich warta?

Klnę pod nosem, jak gdybym wiele miesięcy temu się zacięła, ale dopiero teraz dostrzegła krew. Znikąd pojawia się paraliżujący ból. Opieram brodę na złączonych dłoniach i mrugam kilkakrotnie, bezskutecznie walcząc z napływającymi łzami.

Mija kilka minut, zanim widzę wszystko wyraźnie. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że straciłam nie tylko partnera, lecz także przyjaciela.

* * *

Starannie osuszam twarz serwetką, ignorując wzrok, który czuję na sobie od momentu wyjścia Wiktora. Zarzucam płaszcz i żwawo wychodzę z pubu, starając się pozostać niezauważona. Po chwili słyszę jednak, że ktoś za mną biegnie.

— Zapomniałaś kwiatów — mówi Michał, zatrzymując się obok mnie.

— Podobają ci się? Możesz je sobie wziąć.

Ruszam przed siebie, nie odwracając się, ale mimo to chłopak podąża za mną.

— Chcesz pogadać?

— A wyglądam, jakbym chciała? — rzucam w przestrzeń, wypuszczając z ust kłęby białej pary.

— Czasem dobrze jest wygadać się komuś obcemu.

Naciągam rękawy karmelowego płaszcza na sine od mrozu dłonie. Wtedy orientuję się, że zostawiłam ulubione rękawiczki w aucie Wiktora. Wzdycham z rezygnacją, zatrzymując się.

— Po pierwsze, już od dawna nie jesteś obcy. Po drugie, nie wydaje mi się,

żebyś wiedział cokolwiek o długoletnich związkach.

— Chcesz się przekonać? — pyta, chwytając mnie za ramiona i obracając w swoją stronę.

Głośno przełykam ślinę. Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że zaczynam się czuć nieswojo. Jak gdyby od dawna próbował mnie rozgryźć, ale wciąż coś mu się nie zgadzało.

— Wracaj do środka, bo zmarzniesz — szepczę, zdejmując jego dłonie ze swoich barków. Ukrywam zaskoczenie, gdy okazuje się, że są o wiele cieplejsze od moich, choć Michał ma na sobie tylko koszulę rozpiętą pod szyją, której zagłębienia znam już na pamięć.

— Nie wspominałaś, że jesteś zaręczona.

— Nie wspominałeś, że cię to obchodzi.

Mierzymy się wzrokiem przez kilka sekund, po czym odwracam się i odchodzę.

* * *

Rozsuwam zamki i zdejmuję buty bez użycia rąk, stopą zahaczając jeden o drugi. Zostawiam je w przejściu i udaję się do kuchni, rzucając po drodze płaszcz na fotel w salonie. Źle wymierzam i trencz ląduje na podłodze. Później go podniosę.

Nalewam sobie szklankę zimnej wody z kranu. Wypijam ją duszkiem i odstawiam naczynie do zlewu, a potem wracam do salonu, by otworzyć świeżo uporządkowaną szufladę z pamiątkami. Wyciągam plik zdjęć z Wiktorem i bez mrugnięcia okiem umieszczam je w przepełnionym kubie na śmieci. Z westchnieniem ulgi kieruję się do łazienki, gdzie zmywam z twarzy makijaż wraz z resztką złudzeń i dokładnie szczotkuję włosy.

Biorę długi, ciepły prysznic, gdy dobiega mnie charakterystyczny dźwięk przychodzącej wiadomości. Owijam się ręcznikiem i idę boso do kuchni,

zostawiając mokre ślady stóp na podłodze.

No dobrze, troszkę mnie to obchodzi.

Uśmiecham się i natychmiast odpisuję.

A ja chcę pogadać. Wpadniesz wieczorem?

Późno kończę.

Późno kładę się spać.

Omiotam krytycznym spojrzeniem wnętrze mieszkania i po raz pierwszy zaczynam doceniać zalety wynajmowania niewielkiego lokum. Tak rzadko podejmuję gości, że zapomniałam o istotnej przewadze małego metrażu. Potrzebuję zaledwie godziny, by doprowadzić mieszkanie do względnego porządku, dzięki czemu resztę czasu będę mogła poświęcić na zajęcie się swoim wyglądem.

Tylko kobiety wiedzą, że zrobienie niedbałego koka i delikatnego, niemal niezauważalnego makijażu wymaga więcej wysiłku niż stworzenie wymyślnej, wieczorowej stylizacji. Nie wspominając o wieczności spędzonej przed lustrem na wielokrotnym przebieraniu się. Znalezienie złotego środka, jeśli chodzi o podkreślenie atutów sylwetki i niezobowiązującą wygodę, to nie lada wyzwanie. Dzięki zachowaniu ostrożności w wyborze ubrania nie będę sprawiała wrażenia, jakby za bardzo mi zależało.

Moje rozmyślania przerywa cichy dźwięk oznaczający nadejście kolejnego SMS-a. Czyżby Michał się rozmyślił? Pełna obaw sięgam po telefon.

A czy pani narzeczony nie będzie miał nic przeciwko mojej wizycie?

Wzdycham z ulgą.

A czy widział pan na mojej dłoni jakiś pierścionek?

* * *

— Zostaw! Moje płyty to świętość — wołam z salonu, dostrzegając przez otwarte drzwi sypialni, że Michał zbliża się do mojej kolekcji albumów.

Chłopak wciska play, nie bacząc na moje protesty. W pokoju rozbrzmiewa *Tennessee Whiskey*, kolejny kawałek z płyty, której słuchałam, szykując się na spotkanie z Wiktorem. „You are as smooth as Tennessee whiskey, you are as sweet as strawberry wine, you are as warm as”... Nie daję Chrisowi dokończyć, odłączając odtwarzacz od prądu.

— Mówiłam, żebyś nie ruszał. To dla mnie jak operacja na otwartym sercu.

— Przynajmniej nareszcie wiem, co myślisz na mój temat — żartuje Michał, komentując zasłyszany fragment utworu.

— Czego ja, niestety, nie mogę powiedzieć o tobie — stwierdzam, odgarniając z twarzy pasma włosów, które wymknęły mi się z kucyka.

— Co za dziewczyna... — Wzdycha, uśmiechając się szeroko. — Nawet słuchane przez ciebie piosenki muszą traktować o whiskey?

— Tak się złożyło. — Wzruszam ramionami, starając się ukryć rozczarowanie faktem, że tak szybko zmienił temat.

Chłopak śmieje się i zaczyna nucić.

— „But your forgiveness... Well, that’s something I can’t buy. There ain’t a thing that I can do” — urywa, szukając wzrokiem mojego spojrzenia, po czym kontynuuje szeptem: — „That’s the difference between whiskey and you”.

Głośno przelykam ślinę, ignorując ciarki, jakie przebiegły mi po plecach.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Cóż, jednym z wielu plusów pracy za barem jest to, że słucham mnóstwa muzyki — odpowiada, przysiadając na brzegu łóżka. — Może to głupie, ale gdy pierwszy raz usłyszałem ten album, byłem pewien, że to Glen Hansard nagrał płytę country.

— No właśnie! — przytakuję, zajmując miejsce obok niego. — Jakbyś czytał mi w myślach.

— Skoro tak dobrze mi idzie, to spróbuję jeszcze raz. Jesteś głodna?

— Podobno nie powinno się jeść po osiemnastej, a jest... — urywam i zerkam na zegarek — ...prawie północ.

— Musiałaś coś pomieszać. Nie powinno się przed. Tak się składa, że większość rzeczy najlepiej smakuje przed snem.

— Na przykład co? — pytam z dwuznacznym uśmiechem.

— Zaraz się przekonasz. — Śmieje się, wstając z miejsca. — Chodź, coś ci ugotuję.

— Chyba nie widziałeś mojej lodówki — mruczę.

Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie się rozmyśla. Obdarza mnie niewinnym uśmiechem i wybiega z mieszkania, chwytając po drodze kurtkę.

Po chwili wraca, trzymając w dłoniach, niczym myśliwskie trofeum, siatki z zakupami.

— Wiem, że żadna z ciebie pasjonatka kulinariów, więc wstąpiłem po drodze do sklepu.

Krzyżuję ramiona, patrząc na niego z rozbawieniem.

— Dieta cud! Świeża włoszczyzna i przystojny mężczyzna.

* * *

Rozpakowuje zakupy z taką samą zwinnością, z jaką przygotowuje drinki. W odróżnieniu ode mnie nie wrzuca wszystkiego do jednej szafki, modląc się,

by chwilę później udało się ją zamknąć, lecz skrupulatnie rozdziela odmienne rodzaje produktów pomiędzy różne półki. Jak na mój gust to trochę zbyt czasochłonny proces, ale nie decyduję się wypowiedzieć tego na głos. Na szczęście opanowana przeze mnie do perfekcji metoda mocnego dociśnięcia, wraz z następującym po nim przytłumionym hałasem wewnątrz szafki, rzadko kiedy zawodzi.

— Na co masz ochotę? — słyszę głos Michała, zastanawiającego się nad wyborem odpowiednich naczyń.

— Na niemyślenie o niczym i niezajmowanie się sobą — mamrocze, wdrapując się na parapet.

Wzdycha ciężko, zerkając z uśmiechem w moją stronę.

— Miałem raczej na myśli coś do jedzenia.

Wzruszam ramionami.

— W takim razie coś szybkiego i prostego.

— Dlaczego? — pyta z lekko przechyloną głową.

— Szybkiego, żebyś mógł jak najprędzej się z tym uwinąć, a prostego, żebym miała mniej zmywania — odpowiadam, po czym nachylam się i całuję go w policzek.

Śmieje się, lekko odsuwając, by sięgnąć po garnek i zapalić gaz, a następnie nastawić wodę. Sądząc po wielkości wybranego przez niego naczynia, zamierza przygotować kolację dla całego oddziału wojska. Przykrywa garnek pokrywką, po czym odwraca się w moją stronę z uroczym uśmiechem, takim, który obejmuje całą twarz, łącznie z iskrzącymi się oczami.

— Uwielbiam twoje poczucie humoru — mówi, po czym chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie, pomagając mi zejść na ziemię.

Kiedy już oczyma wyobraźni widzę, jak nasze wargi stykają się w zwolnionym tempie, chłopak lekko ciągnie mnie za sobą, prowadząc w stronę drzwi.

— Do zobaczenia za kwadrans! — rzuca, po czym wyprasza mnie z własnej kuchni.

* * *

— Muszę ci powiedzieć, że... — zaczynam entuzjastycznie, pakując do ust kęs wyśmienitej carbonary.

— Wiem — odpowiada z leniwym uśmiechem. — Porozmawiamy, jak uporasz się z zawartością talerza.

— Wybacz, nigdy nie jadłam takich pyszności — mówię pomiędzy jednym a drugim kęsem. — Chyba w ogóle nigdy nie jadłam.

Michał śmieje się, dolewając mi szczyrce czerwonego wina. Sam ograniczył się jedynie do soku pomarańczowego. Nie może się ze mną napić, bo przyjechał samochodem. Zresztą nigdy nie widziałam, by pił.

— Mogę cię o coś zapytać? — odzywam się po chwili.

— Wiesz, że to trochę tak, jakbyś krzyknęła „uważaj” zaraz po tym, jak ktoś się przewrócił? Jedynie uspokajasz własne sumienie.

Przewracam oczami, pociągając łyk wina.

— To mogę czy nie?

Uśmiecha się, kiwając głową potakująco.

— A więc, w pewnym mieszkaniu wisi pewien obraz... — zaczynam, wodząc widelcem po już prawie pustym talerzu.

— W którym mieszkaniu? — przerywa.

— Czy to istotne? — Siadam głębiej na krześle, poprawiając poduszkę za plecami. — Chcę, żebyś o czymś pomyślał bez ubierania tego w kontekst.

— W porządku.

— Obraz nazywa się *A Date With The Rain*, jak ten stary numer Eddiego Kendricksa.

Michał odsuwa od siebie talerz, patrząc na mnie wyczekująco. Biorę

głęboki wdech, po czym kontynuuję:

— To w sumie nie jest nic wyjątkowego. Dużo, bardzo dużo plam koloru... Tonący w deszczu park, a pośrodku dziewczyna, która wygląda tak, jakby nie chciała, żeby ktoś ją zauważył. Nie uważasz, że to zabawne? Ktoś namalował specjalnie dla niej tę piękną scenerię, a ona zachowuje się, jakby nie powinno jej tam być — urywam.

Michał kładzie łokcie na stole, opierając podbródek na splecionych dłoniach. Patrzy mi prosto w oczy, nic nie mówiąc. Cieszę się, że się nie odzywa, choć być może robi to tylko dlatego, że kompletnie nic z tego nie rozumie. Mimo to ciągnę:

— Ja zwyczajnie nie potrafię jej rozszyfrować. Dlaczego ona się nie zatrzyma? Przecież wokół jest tak pięknie... Jeśli spojrzy w dół, zauważy, jak wiele światła odbija się w mokrym chodniku. Więcej niż kiedykolwiek byłaby w stanie dostrzec w słoneczny dzień. Gdy podniesie wzrok, zobaczy, że wszystkie latarnie palą się tylko dla niej... A ona po prostu idzie, patrząc wprost przed siebie.

Usta Michała rozciągają się w lekkim uśmiechu.

— Może zostawiła w domu kogoś chorego i wybrała się do apteki? Zepsuł się jej samochód, więc musiała iść pieszo, pomimo ulewy. Człowiek nie rozgląda się wkoło, gdy ma przemoczone buty i niesie w torebce leki przeciwgorączkowe.

— Nie, to nie to — szepczę. — Ona się spieszy bez wyraźnego powodu. — Milknę na moment, wahając się, czy kontynuować. Kiedy jednak dostrzegam pytający wzrok chłopaka, dodaję: — Wiesz, jeszcze jedna rzecz nie daje mi spokoju. Po co jej parasol? Przecież zmoknięcie w tym uroczym parku to najpiękniejsze, co mogło ją spotkać tamtego wieczoru.

— Kojarzysz te mokre, złamane parasolki, które za nic w świecie nie chcą się złożyć? — odzywa się po chwili Michał. — Istny koszmar. Szkoda nam je

wyrzucić do stojącego nieopodal śmietnika, bo łudzimy się, że jeszcze uda się je naprawić. Więc niesiemy je z poczuciem winy, choć zamiast chronić nas od deszczu, jedynie skierowują zimną strugę wody prosto za kołnierz. — Wzrusza ramionami. — Zapewne jest po prostu niepoprawną idealistką.

Choć trudno jest mi się z nim zgodzić, wybucham śmiechem, wyobrażając sobie bohaterkę obrazu Afremova w roli heroicznej ratowniczką parasolek.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, trawiąc kolację i problemy nieznaną dziewczyny. Przez uchylone okno dobiegają monotonne, senne odgłosy taksówek i nocnych autobusów. Światła ich reflektorów tworzą jasne wstęgi, łączące jedną dzielnicę z drugą.

— To o co chciałaś mnie zapytać? — słyszę głos Michała.

Potrząsam głową, wrywając się z zamyślenia.

— Sama nie wiem.

* * *

Zajmujemy sąsiadujące fotele, wymieniając w półmroku dziesiątki myśli i spojrzeń. Bardzo dużo rozmawiamy, choć dla mnie jest to głównie pretekst, żeby wpatrywać się w jego usta. W tle sączy się jakiś stary kawałek Billy'ego Joela z albumu, który, pomimo moich protestów, Michał wygrzebał ze sterty dawno zapomnianych płyt. Mój salon nigdy nie wydawał mi się tak przytulny, jak w tym momencie.

— Na pewno musisz już iść? — pytam z trudno maskowanym zawodem w głosie.

— Niech pomyślę... Jest trzecia nad ranem, a za kilka godzin muszę już być w pracy. Bardzo chętnie zostanę, jeśli otworzysz knajpę za mnie.

Przeciągam się, ziewając.

— Niestety, studiowałam marketing, a nie catering.

— To miało mnie obrazić? — Śmieje się. — Jeśli tak, to musisz się

bardziej postarać.

— Wiesz, w zasadzie zajmujemy się praktycznie tym samym — mówię po chwili, wpatrując się w punkt ponad jego ramieniem. — Oboje pracujemy z ludźmi, oboje pytamy, czego sobie życzą, choć wcale nas to nie interesuje. Życzymy miłego dnia, przepraszamy i zapraszamy.

— Coś w tym jest, choć zapomniałaś o jednej podstawowej różnicy. — Przymyka oczy, kładąc głowę na oparciu fotela. — Ja znam się na ludziach takich, jakimi są naprawdę, a ty na tym, kim chcieliby być.

— A ja głupia myślałam, że marzy się raczej o zostaniu... Nie wiem, strażakiem, superbohaterem, księżniczką... W każdym razie na pewno kimś innym niż dupkiem z pełnym portfelem i pustym spojrzeniem.

Zerka na mnie z ukosa, unosząc brew.

— Wszyscy nosimy maski. Albo, jak mówią Brytyjczycy, zmieniamy kapelusze. Naprawdę sądzisz, że tylko ty dusisz się pod swoją?

— Nie... Ale ja tak nie chcę — mruczę, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami.

— Cóż, twoi klienci po prostu grają swoje role — odpowiada z bladym uśmiechem. — Improwizują, mniej lub bardziej udanie. Widzisz tylko projekcje ich ambicji, wymuskany wizerunek, szyte na miarę garniaki i garsonki. Każdym swym kontrolowanym gestem próbują udowodnić, że są ważni. Że się liczą. — Przeczesuje dłońią włosy, zawieszając wzrok na przeciwległej ścianie. — Swoją prawdziwą twarz odkrywają dopiero gdy przychodzą do mnie. Wtedy nareszcie nie muszą niczego udawać. Rozpinają guzik, który gniótł ich pod szyją przez cały dzień, podwijają rękawy i zamawiają podwójną wódkę, nie mając już sił nawet na uśmiech. Prawdopodobnie wysłuchałem więcej ich szczerych wyznań niż ksiądz w konfesjonale. — Śmieje się.

— Michał, a co, jeśli ja tak nie chcę? — mówię cicho. — Nigdy nie

chciałam. Zdawałam maturę, nie chciałam. Kończyłam studia, nie chciałam. Z uporem telemarketera rozsyłałam to cholerne CV i nawet wtedy nie chciałam. Może nie zawsze wiedziałam... Zresztą, wciąż nie wiem, czego chcę, ale przynajmniej jestem pewna, czego nie chcę.

— Daj znać, gdy zdobędziesz adres, na który rzeczywistość przyjmuje reklamacje. Chętnie skorzystam — odzywa się po chwili, po czym nachyla się i delikatnie całuje mnie w czoło, drażniąc moją skórę swoim zarostem. Muska opuszkami palców moją szyję tak subtelnie, że sama nie wiem, czy sobie tego nie wymyśliłam, po czym dodaje szeptem: — Dobranoc.

Wstaje, zdejmując kurtkę z wieszaka i bezszelestnie wychodzi, a ja zwijam się w kłębek na fotelu, niezdolna do najmniejszego ruchu. Zasypiam niemal natychmiast.

Rozdział XII

Przekładam telefon do drugiego ucha, przytrzymując go ramieniem. Staram się maksymalnie rozchylić torebkę, by móc zanurkować w jej zawartości aż po łokieć. Po krótkiej walce z oporną materią udaje mi się wyjąć klucze do mieszkania. Przez chwilę mocuję się z zamkiem, aż słyszę upragniony szcęk.

— Jesteś tam jeszcze? — rzuca Ida, nie kryjąc zniecierpliwienia.

— Tak, przepraszam... Poczekaj chwilkę.

Zostawiam komórkę na komodzie i zrzucam płaszcz. Idę do kuchni, przesuwając stopy po płytkach, bo ich unoszenie wymagałoby ode mnie zbyt wiele wysiłku. Odkładam zakupy na blat, po czym szybko wracam po telefon, spinając po drodze włosy w luźny kok.

— Już jestem! Zamieniam się w słuch — mówię, rozsiadając się wygodnie w fotelu. Mimowolnie uśmiecham się na myśl o tym, kto zajmował go zaledwie kilka dni temu.

— No więc, zaznacz sobie w kalendarzu dziewiętnastego sierpnia przyszłego roku. Grubym, czerwonym markerem. Możesz nawet namalować serduszko.

— Dlaczego? Bo chyba nie chodzi ci o Światowy Dzień Pomocy Humanitarnej?

— Może faktycznie ze strony Karola jest to akt miłosierdzia, ale... — zawiesza głos, napawając się tą chwilą — ...dziewiętnastego sierpnia wychodzę za mąż!

Przyjaciółka tak mnie zaskakuje, że na moment odbiera mi mowę.

— W weekend zarezerwowaliśmy salę. Dzięki znajomościom Karola nie musimy czekać dwóch lat, żeby zorganizować wesele z prawdziwego

zdarzenia. Trzysta osób, wyobrażasz sobie? Stary kabriolet, białe wino, żywe kwiaty... I, co najważniejsze, zero balonów i kiczowatej orkiestry. — Wzdycha, rozmarzona. — No co, nie cieszysz się?!

— Cieszę się! Głuptasie, oczywiście, że się cieszę — zapewniam, ocierając łzę, która bezwiednie popłynęła po moim policzku.

— No, mam nadzieję, bo będziesz moją świadkową — oznajmia tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Tylko ani mi się waży wyglądać lepiej ode mnie!

— Walka z wiatrakami to moja specjalność, ale w tak krótkim czasie chyba żaden chirurg nie podejmie się aż tylu operacji plastycznych — żartuję, kładąc się w poprzek fotela, z nogami przewieszonymi przez podłokietnik.

— Bardzo śmieszne. Zastanów się lepiej nad osobą towarzyszącą.

— Przepraszam, nad kim?

Słyszę w słuchawce teatralne westchnienie. Jestem niemal pewna, że Ida przewróciła oczami.

— To ty mi powiedz.

* * *

Dochodzi dziewiętnasta, a ja wciąż w skupieniu pracuję nad raportem. Zebranie w jedno sprawozdanie stanu tak wielu projektów z różnych dziedzin, nad którymi właśnie pracuję, wydaje się graniczyć z cudem. Gdzieś kiedyś obito mi się o uszy, że warto uzupełniać takie dokumenty regularnie, ale zignorowałam tę myśl niczym natrętną muchę.

Nagle w niemal idealną ciszę, przerywaną jedynie przez monotonne brzęczenie żarówki, wdziera się niepewne pukanie do drzwi. Jest piątkowy wieczór, więc jestem zdziwiona, że oprócz mnie ktoś jeszcze tutaj jest.

— Mogę wejść? — dobiega mnie cichy głos Roberta.

— Jasne, właśnie miałam zrobić sobie przerwę — kłamię.

Mężczyzna wchodzi do środka, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

— Przerwę? — Kręci głową z niedowierzaniem, zajmując miejsce po drugiej stronie biurka. — Co ty w ogóle robisz o tej porze w pracy? Chyba nie zamierzasz tutaj nocować?

— Biorę tę opcję pod uwagę — stwierdzam, patrząc znacząco na stertę leżących przede mną dokumentów. — Wiesz, jak jest... Jeśli ma się wolną chwilę, to oznacza tylko tyle, że się o czymś zapomniało.

— Wariatka. — Wzdycha. — Większości wystarczy jakkolwiek, ale ty zawsze chcesz jakoś.

— Taka już jestem. Linia najmniejszego oporu to po prostu nie jest moja ulubiona ścieżka — mówię i po chwili dokładam do tego uśmiech.

— Zdajesz sobie sprawę, że gdyby nie ty, stracilibyśmy połowę klientów? W żadnej firmie nie powinno być ludzi niezastąpionych — stwierdza stanowczo. — Pogadaj z szefem, żeby przeniósł cię do większego biura, zatrudnił asystenta... Kogoś, kto cię odciąży, żebyś mogła pracować zdalnie, jeśli zajdzie taka konieczność.

— Może jeszcze auto służbowe? — kwituję z przekąsem. — Słyszałam, że podobno najlepszy pracownik to ten bez życia prywatnego. Idealnie wpisuję się w ten model.

— Daj spokój. Do tej pory pamiętam twój urlop... To były najbardziej szalone dwa tygodnie w historii tej firmy. Ledwo daliśmy radę, a i tak zostawiliśmy ci niezły bajzel.

— Przynajmniej czułam się potrzebna — żartuję. — A tak na poważnie, to znam swoje miejsce w łańcuchu pokarmowym. Naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

— Posłuchaj, praca to nie wszystko. Kiedyś założysz rodzinę, weźmiesz kredyt na mieszkanie, kredyt na samochód, kredyt na kredyt... — Zdejmuje okulary i odkłada je na biurko, po czym zaczyna masować skronie okrężnymi ruchami. — Zawieziesz córkę do żłobka, syna do przedszkola i przez resztę

dnia będziesz się zajmować nic nieznaczącymi sprawami. Gdy wrócisz do domu późnym wieczorem, pokłócisz się z mężem o to, że dał dzieciom słodycze przed snem albo zapomniał wymienić filtr w odkurzaczu. Położysz się spać, ale zasnąć nie pozwoli ci dręcząca cię myśl, że nie tak miało wyglądać twoje życie.

Patrzę na niego badawczo, zastanawiając się nad drugim dnem jego wypowiedzi.

— Robercie... Czy coś się stało? — mówię ostrożnie.

Podnosi się, wyraźnie zmieszany, i zakłada w pośpiechu okulary.

— Przepraszam, ja... Nie powinienem zawracać ci głowy. Poza tym jestem ostatnią osobą, która powinna komukolwiek radzić w tych sprawach.

— Poczekaj, o co chodzi? Z małą wszystko w porządku? — pytam z troską.

— Kaja ma się świetnie. Jeszcze niewiele rozumie. — Mężczyzna spogląda przed siebie jakimś dziwnym, nieobecnym wzrokiem. — Gorzej ze Stasiem. Wydaje mu się, że to wszystko moja wina.

Raptownie ogarnia mnie złe przeczucie, a te, niestety, bardzo rzadko mnie mylą.

— Czy ty chcesz mi powiedzieć, że... — urywam, bojąc się dokończyć zdanie.

— Tak, rozwodzimy się. — Bezwiednie podchodzi do okna i staje plecami do mnie. — Jak widzisz, jednak nie stanowimy idealnej rodziny. A moja żona nie jest aż taką szczęściarą, jak ci się wydawało.

Przełykam głośno ślinę. Przed oczami staje mi niepewna siebie kobieta, którą poznałam w zeszłym roku na firmowej imprezie integracyjnej. Bez przerwy uczepiona męża, nieodstępująca go nawet na krok. Obejmująca rozbieganym wzrokiem salę, jak gdyby wypełniona była jej śmiertelnymi wrogami. Robert zauważa, że Monika czuje się niezręcznie, więc ani na moment nie zostawia jej samej. Z czasem nawet ośmiela ją do podjęcia

niezobowiązujących rozmów, przedstawiając coraz większej liczbie ludzi. Nie ukrywa dumy z tego, że ta piękna brunetka jest jego żoną. Choć mężczyzna jest prawdziwą duszą towarzystwa, wydaje się świetnie bawić, mimo że ze względu na nieśmiałość partnerki przegapia wiele zabawnych sytuacji z udziałem naszego teamu.

— Nie mam pojęcia, co się między wami wydarzyło, ale może warto byłoby... Dla dobra dzieci...

Odwraca się w moją stronę, a na jego twarzy maluje się wyraz smutnej rezygnacji.

— Doskonale wiesz, że dzieciaki są dla mnie najważniejsze. Nie zasłużyły na rozbity dom, ale za nic w świecie nie będę wchodził do naszej sypialni, zahaczając rogami o futrynę. — Nerwowo rozpina kołnierzyk koszuli i rozluźnia krawat. — Jak ona mogła mi to zrobić? Przez te wszystkie lata nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby... Nie rozumiem, przecież niedawno pojawiła się Kaja. Byliśmy tacy szczęśliwi.

— Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli mogłabym ci jakoś pomóc...

— Chcesz wiedzieć, co jest w tym wszystkim najgorsze? — Zaczyna chodzić po biurze tam i z powrotem. — Staszek patrzy na mnie ze złością i ucieka do swojego pokoju, gdy tylko przekroczę próg mieszkania. Jest pewien, że mama płacze z mojego powodu. Bo późno wracam do domu i snuję się po nim jak cień, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Monika oczywiście nie wyprowadza go z błędu. Przecież mu nie powie, że kocha tatusia, ale mimo to regularnie chodzi do łóżka z innym panem.

Mimo że ogarnia mnie potworna złość, zmieszana z bezsilnością, staram się zachować spokój.

— Naprawdę bardzo mi przykro — szepczę, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Robert zatrzymuje się wreszcie przy moim biurku. Przysiada na jego brzegu

i spuszcza głowę, wbijając wzrok w wykładzinę.

— Najbardziej nie boli mnie wcale to, że mnie zdradziła, ale to, że się co do niej pomyliłem... Umiem puszczać rzeczy w niepamięć, ale ilekroć patrzę na dzieciaki, zyskuję coraz większą pewność, że nigdy jej tego nie wybaczę — mówi powoli, starannie dobierając słowa, lecz mimo to nie jest w stanie zamaskować drżenia swojego głosu. Kiedy podnosi wzrok, dostrzegam, że ma wilgotne oczy. Gdy znów się odzywa, mam wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do mnie. — Monika z zimną krwią zniszczyła nie tylko nasze małżeństwo, lecz także spokojne życie swojej rodziny. Dlatego też nie łudzę się, że kiedykolwiek będę w stanie o tym zapomnieć.

— I co zamierzasz teraz zrobić? — pytam miękko, kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Złożyłem pozew o rozwód, ale to żmudny proces, który może potrwać wiele miesięcy. — Wzdycha. — Powiniennem się wyprowadzić, a zamiast tego od kilku tygodni śpię na kanapie w salonie. Nie spodziewałem się, że to będzie takie trudne...

Na chwilę zapada niezręczna cisza.

— Wybacz, ale jedyne, co przychodzi mi do głowy, to jakieś bzdury o tym, że czas leczy rany. Albo to równie wyświechtane powiedzenie, że widocznie tak musiało być.

— Wszystko będzie dobrze, tylko nikt nie powiedział kiedy? — rzuca Robert, śmiejąc się gorzko.

— Może nie wszystko, ale na pewno to, co najważniejsze — odpowiadam, ściskając jego dłoń. — Wiele da się przeżyć, o ile ma się dla kogo żyć. A ty masz.

Posyła mi słaby uśmiech i wolno się podnosi. Poprawia krawat, po czym strzepuje niewidzialne pyłki z koszuli i mówi:

— Wiesz, uważam, że powinno się zakazać czytania książek. Właczają nam

całą masę kłamstw już od wczesnego dzieciństwa. Człowiek naczyta się głupot za młodu, a później mu się wydaje, że jeśli miłość, to taka na całe życie, a gdy zakończenie, to tylko szczęśliwe.

Zgarniam papiery z biurka, chowam je do szuflady i zamykam na kluczyk, po czym wstaję i kieruję się w stronę wyjścia. Robert podąża za mną. Gasi światło i wychodzimy na opustoszały korytarz.

— Nie zapominaj o najważniejszym. Jeżeli brak happy endu, to tylko dlatego, że pojawi się następna część. — Podchodzę do niego i szybko muskam wargami pokryty kilkudniowym zarostem policzek. — Trzymaj się — szepczę.

* * *

— Wytlumacz mi, dlaczego tak jest, że większość ludzi interesuje się sobą tylko na początku i na końcu? — pytam ponuro, obracając w zamyśleniu szklankę.

Michał na moment porzuca rozładowywanie dostawy. Przerywa układanie w rzędzie beczek z piwem i odwraca się, wyraźnie zdezorientowany.

— Co masz na myśli?

— To, że całe nasze życie kręci się wokół tej cholernej miłości, czymkolwiek ona jest, a tak naprawdę bycie razem, wspólna codzienność nas okropnie nudzi... Nie przestajemy szukać coraz nowszych, silniejszych emocji. — Podnoszę szklankę do ust, ale niemal natychmiast ją odstawiam, nie upiwszy ani kropli. — Mam wrażenie, że jesteśmy szczęśliwi tylko na moment przed zdobyciem kogoś i chwilę przed jego utratą.

— Powiedz mi, dlaczego nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to jakaś pułapka? Skąd ten nastrój? — pyta, podchodząc bliżej. — Jesteś dziś jakaś tajemnicza... Coś się stało?

— Wszystko się stało — odpowiadam cierpko. — Moja przyjaciółka

wychodzi za mąż, a mój znajomy się rozwodzi. Nie mam zielonego pojęcia, co robię ja.

Michał opiera dłonie o blat, lekko się uśmiechając.

— Niech zgadnę. Oczekujesz, że w jakiś magiczny sposób ci to ułatwię?

— Tu nie potrzeba czarów, tylko odrobiny szczerości — mówię cicho, odwracając wzrok. — Po prostu pomóż mi określić to, co dzieje się między nami.

Wzdycha, przeczesując palcami włosy.

— A czy naprawdę musimy to jakoś jednoznacznie zdefiniować?

— Chciałabym wiedzieć, na czym stoję, zanim się okaże, że tracę grunt pod nogami.

Michał szuka wzrokiem mojego spojrzenia, ale ja uparcie wpatruję się w ścianę.

— W moim świecie uczyć się nie nazywa. Uczuć się doświadcza — oznajmia po chwili milczenia.

Zaciskam powieki, starając się zachować resztki dystansu. Biorę głęboki wdech, a następnie staję na palcach, przechylam się przez bar i całuję go w podbródek.

— Uczucia bywają sprzeczne — mówię, patrząc mu prosto w oczy, po czym odsuwam się i wychodzę, nie dokończywszy drinka.

* * *

W drodze do Idy wstąpiłam do naszej ulubionej pizzerii, dzierzę więc teraz w dłoni ogromne pudełko. Ledwie udaje mi się przecisnąć z nim przez futrynę. Na szczęście nie muszę dzwonić do drzwi, bo jak w każdy piątek przyjaciółka zostawiła dla mnie otwarte mieszkanie.

— No, już myślałam, że nie przyjdiesz — woła, zmierzając w moją stronę. Gdy dostrzeżga karton pizzy, z jej gardła wydobywa się stłumiony jęk. —

Zabierz to ode mnie, potworze! Do sierpnia jestem na diecie.

— Czyli jesz dokładnie to samo, ale masz wyrzuty sumienia? — Śmieję się, wręczając jej pudełko.

Ida przez moment się waha, ale ostatecznie po nie sięga. Lekko je uchyła, by sprawdzić, czy pamiętałam o dodatkowym pepperoni.

— Muszę dmuchać na zimne. No wiesz, gdyby jednak udało ci się znaleźć klinikę z chirurgiem cudotwórcą.

— Możesz spać spokojnie. Z moim budżetem raczej się na to nie zanosz — mruczę, nachylając się, by rozsunąć zamki skórzanych oficerek.

* * *

— Nie boisz się? — pytam, nieśmiało sięgając po ostatni kawałek pizzy. — No wiesz, że kiedyś usłyszysz, że coś się wypaliło.

Wzrusza ramionami, wpatrując się w krawędź pomiędzy ścianą a sufitem.

— A czy zamartwianie się kiedykolwiek komuś w czymś pomogło?

— Mnie na przykład pomaga, i to codziennie. W bardzo istotnej kwestii, bo w niepełnieniu samobójstwa. Dzięki niemu mam czym zająć myśli — odpowiadam nie do końca serio.

Przyjaciółka przewraca oczami. Zbyt długo się znamy, by wzięła moje słowa na poważnie.

— W zasadzie to każda wzajemność jest ograniczeniem — odzywa się po chwili. — Ale ja lubię myśleć o tym jak o biegu. Te moje romanse to były sprinty na sześćdziesiąt, może sto metrów. Było przyjemnie, ale nawet nie zdążyłam się zmęczyć, bo ciągle miałam przed oczami metę. Ponieważ koniec był na wyciągnięcie ręki, nie stanowiło to dla mnie żadnego wyzwania. — Sięga po kieliszek, po czym opróżnia go trzema długimi łykami. Odstawiając naczynie, dodaje: — A stały związek? To taki maraton, którego nie pokonuje się szaleńczym biegiem, tylko wspólnym marszem. Nigdy nie wiadomo, co

kryje się za zakrętem, ale trzeba temu stawić czoło. Jeśli włoży się w to wystarczająco dużo wysiłku, być może nigdy nie ujrzy się mety.

Wycieram usta serwetką, po czym odkładam ją na brzeg talerza.

— Nie można maszerować w nieskończoność. Nawet jeśli jest się takim długodystansowcem jak ja. Co, gdy któryś z maratończyków postanowi zrezygnować?

— A czy coś musi być wieczne, żeby miało prawo trwać? Diabli wiedzą, jak się to skończy, więc lepiej cieszyć się, że się w ogóle zaczyna. Wiesz, być może to jest właśnie cały urok związków. Że istnieje ryzyko, iż kiedyś się skończą. Mając tę świadomość, dajemy z siebie wszystko. — Nachyla się, by dolać nam wina. — Swoją drogą, skąd ten pesymizm? Nie spodziewałam się, że usłyszę takie słowa od czołowej orędowniczki miłości aż po grób.

Podnoszę się i podchodzę do okna. Siadam na szerokim parapecie z podkulonymi nogami, po czym opieram policzek o chłodną szybę. Księżycowi brakuje tylko troszeczkę do pełni. Milczę, wpatrując się w śnieg prószący od niechcenia, bo jest środek nocy i nie ma dla kogo wirować na wietrze.

— Chodzi o Michała? — pyta Ida, kierując się w stronę okna z kieliszkami w dłoniach. Wręcza mi mój, a ja przesuwam się, robiąc jej miejsce.

— Boję się, że chcę go mieć tylko dlatego, że nie mogę — szepczę, nie odrywając wzroku od leniwie kołyszących się płatków śniegu. — Powiedzieć ci, jak wygląda sytuacja? — Mrugam kilkakrotnie, odwracając się w jej stronę. — Choć jestem świetną dziewczyną, nie ma pojęcia, czy mnie kocha, ale przecież możemy się przyjaźnić. Oczywiście, broń Boże, jakbym się z kimś związała, bo w sumie to jest o mnie zazdrosny.

Ida unosi lekko kieliszek w moim kierunku, mówiąc wesoło:

— Jak ja się cieszę, że w przeciwieństwie do ciebie nie mam autodestrukcyjnych skłonności!

— Za brak frustracji — rzucam, odwzajemniając toast.

Przyjaciółka upija mały łyk, po czym zerka na mnie z uśmiechem. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili zamyka je bez słowa. Widać, że bije się z myślami.

— No już, wyduś to z siebie. — Śmieję się.

— Posłuchaj, ja wiem, że masz moje rady w głębokim poważaniu... I bardzo dobrze, bo czasami zdarza się, że nie są zbyt dokładnie przemyślane.

— Głośno wzdycha, żebym nie miała wątpliwości, jak wiele dla niej znaczy przyznanie się do nieidealności. — Ale kochanie, chyba pora dorosnąć do złych zakończeń. Zauważyłaś, że wszystkie nasze ulubione filmy mają tragiczny finał?

— Uważasz, że jesteśmy masochistkami?

Przewraca oczami, pociągając kolejny łyk.

— Mówię poważnie. Właśnie takie historie najmocniej zapadają w pamięć. To wcale nie opowieści o sukcesach, ale cudze dramaty motywują najbardziej.

— Bo dociera do nas, że inni tkwią w bagnie po szyję, a nie, tak jak my, tylko po kolana? I dzięki nim wiemy, czego unikać, żeby nie zapaść się głębiej?

— Moja droga, nie da się unikać życia. Po prostu orientujesz się, że przypadek to cholernie potężna siła sprawcza. Możesz wiele planować, ale ostatecznie to on decyduje. — Odstawia kieliszek i bierze głęboki wdech. — Chodzi mi po prostu o to, że... Miłość to nie zawsze są fajerwerki, motyle w brzuchu i kwiaty, kolacje w eleganckich restauracjach i długie kąpiele w blasku lawendowych świec. Zresztą, to przede wszystkim nie jest to. — Obejmuje mnie pocieszająco ramieniem, jak wtedy, gdy dostałam gorszą ocenę z klasówki z matmy w pierwszej klasie ogólniaka. — Zapomnij o tym, jak wyglądało twoje życie do tej pory. Czasem warto zdać się na przecucie. Nawet jeśli ci mówi, że powinnaś wszystko rozpieprzyć. Tonę oczekiwań,

które zgromadziłaś przez lata. Dokumentnie. Tylko po to, żeby móc rzucić się w nieznane.

Rozdział XIII

Słońce wschodziło i zachodziło. Z listopada zrobił się grudzień. Przyniósł ze sobą krótsze dni, dzięki czemu mam więcej czasu na nocne tworzenie nierealnych scenariuszy i urzeczywistnianie nieistniejących uczuć. Zawsze najdłużej noszę żalobę po tych, które się nigdy nie narodziły. I choć bardzo brakuje mi Michała, potrzebuję jego kawy, uśmiechu i obecności, wytrwale ignoruję jego beztroskie wiadomości. Nie mogę znieść tego, że zachowuje się, jakby nasza ostatnia rozmowa nigdy się nie odbyła. Niewiele rzeczy boli tak bardzo jak udawanie, że wszystko jest w porządku, zaraz po tym, jak otworzyło się przed kimś swoje serce i spotkało z brakiem reakcji.

Z apatii wyrywa mnie nagły, ostry dzwonek telefonu, który niemal przyprawia mnie o zawał serca. Odruchowo odbieram, nie zerkając nawet na wyświetlacz.

— Cześć! Dlaczego się nie odzywasz, uparciuchu? — słyszę w słuchawce głos Michała. Mnogość dźwięków w tle nie pozostawia wątpliwości, że jest w pracy.

— Brak odpowiedzi to też odpowiedź — mówię cicho, wgapiając się w sufit.

— Ostatnie dni były... Czuję, jakbym wrzucał kamyki do studni. Nie uważasz, że należy mi się chociaż echo?

Zamykam oczy, walcząc ze sprzecznymi uczuciami.

— Powiedziałaś ci już wszystko. Okazało się, że to dla ciebie za dużo.

Przez chwilę się nie odzywa. Zaciskam powieki, usiłując przypomnieć sobie, kiedy to się stało. Wystarczyła chwila nieuwagi, bym zaangażowała się tak bardzo, że już nie ma mowy o staniu w miejscu. Pora na krok w przód.

Albo w tył. I to nie ja będę osobą, która go postawi.

— Posłuchaj, ja naprawdę nie wiem, co się wydarzyło. Najwyraźniej tym razem moja umiejętność czytania w myślach zawodzi. Ale cokolwiek to jest, nie chciałbym, żebyś przez to się ode mnie odsunęła. — Bierze głęboki wdech, a ja wmawiam sobie, że jeszcze kiedyś będę pragnęła słyszeć coś innego niż jego głos. — Jeżeli chcesz, to przyjadę do ciebie wieczorem. Wiem, że jutro wczesnie wstajesz, więc jeśli wolisz, wpadnij teraz do mnie. Chciałbym cię jeszcze dziś zobaczyć.

— Tylko zobaczyć...? Czy może dokończyć naszą rozmowę? — szepczę. Odczekuję kilka sekund, a gdy nie odpowiada, posuwam się do kłamstwa. — Michał, ja... Chętnie bym się spotkała, ale nie mogę. Czeka mnie dziś jeszcze mnóstwo pracy.

— To w takim razie może jutro?

— Jutro też nie. Umówiłam się z Idą, a w weekend... W weekend wyjeżdżam — kłamię po raz kolejny.

— Szkoda. No nic, w takim razie nie będę ci już dłużej przeszkadzał. Jeśli po powrocie znajdziesz... Zresztą, nieważne. Baw się dobrze.

— Ty też — mówię i szybko się rozłączam. W tej chwili Michał nie ma do powiedzenia nic, co chciałabym usłyszeć.

Serce wali mi jak oszalałe. Potrzebuję dobrych kilku minut, by uspokoić oddech.

* * *

Atmosfera w pracy znacząco się pogorszyła, odkąd Robert przestał udawać niepoprawnie szczęśliwego, zadowolonego z życia faceta. Zresztą wcale się nie dziwię, że w końcu zmęczyło go chodzenie z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Trudno o beztroskę, gdy ludzie bez przerwy dopytują o twoje życie osobiste, które chwilę temu legło w gruzach. Po tym, jak kilka razy dobitnie

dał znać, że nie ma ochoty dyskutować o prywatnych sprawach w godzinach pracy, wszyscy zaczęli schodzić mu z drogi. Współpracownicy ograniczają kontakty z nim do minimum, bojąc się, że zaraz odburknie im coś niemiłego. Pewnie na ich miejscu postępowałabym podobnie. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek poza mną znał prawdziwy powód jego zachowania.

Chcąc oderwać się od własnych problemów, podczas przerwy na lunch pukam do drzwi Roberta. Odpowiada mi cisza, więc odczekuję kilkanaście sekund i pukam raz jeszcze, po czym delikatnie uchylam drzwi.

— Hej! Jak się trzymasz? — rzucam możliwie najweselszym tonem.

— Zgodnie z twoimi wskazówkami traktuję życie jak sinusoidę, uparcie czekając na sequel — odpowiada, lekko się uśmiechając. Wygląda, jakby nie robił tego od tak dawna, że zaraz popęka mu skóra. — Wejdz, proszę.

Opuszczone rolety i zagracone biurko nie zwiastują niczego dobrego. W półmroku podchodzę do okna i otwieram je na oścież, chcąc wpuścić trochę świeżego powietrza. Odsuwam na bok doniczkę z dawno niepodlewany filodendronem, smętnie zwieszającym uschnięte liście poza krawędź doniczki, i wślizguję się na parapet.

— Przyszłam, bo... — urywam, zastanawiając się, jak ubrać moją propozycję w słowa, by nie spotkała się z natychmiastową odmową. — Moja przyjaciółka i jej chłopak wyprawiają dziś małe przyjęcie. Takie kameralne, tylko dla najbliższych znajomych. Powiedziała, żebym zabrała kogoś ze sobą. Zastanawiam się, czy... Może zechciałbyś pójść ze mną?

Robert odchyła się na fotelu, spoglądając na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Zaraz, czy ty się właśnie nade mną litujesz?

— Proszę — szepczę, patrząc mu w oczy.

Zdejmuje okulary i ostrożnie odkłada na stos teczek.

— W moim obecnym stanie psychicznym nadaję się co najwyżej na stypę.

— Pociera twarz dłońmi, wygładzając brwi. — Weź Rafała, on będzie błyszczał w towarzystwie.

— Chyba głupotą. Proszę, chodź ze mną. — Uśmiecham się najbardziej zachęcająco, jak potrafię. — Zależy mi na tym, żebyś to był właśnie ty.

— Dlaczego? To jakiś rodzaj eksperymentu towarzyskiego, mam rację? — Wzdycha, z powrotem wsuwając okulary na nos. — Nie wierzę, że brakuje facetów ustawiających się w kolejce do wyjścia z tobą. Prawdopodobnie czekają dłużej niż mój ojciec na wizytę u kardiologa w ramach NFZ-et.

— Oj, Robert... Obiecuję, że jeśli ci się nie spodoba, będziesz się mógł zmyć w każdej chwili. — Ostrożnie zeskakuję z parapetu, po czym podchodzę do jego biurka. — To jak, umowa stoi?

— Twoja motywacja wciąż pozostaje dla mnie zagadką, ale nie sposób ci odmówić — oświadcza, mrużąc oczy z rozbawieniem. — To o której mam po ciebie przyjechać?

— O dwudziestej. Adres prześlę ci SMS-em. — Odwracam się i idę w stronę drzwi. Już mam wyjść, ale zamieram z ręką na klamce. — Ach, byłabym zapomniała! Włóż garnitur.

— Kameralna impreza dla kilku znajomych, tak? — Wzdycha.

Posyłam mu szeroki uśmiech i znikam za drzwiami, zanim zdąży zmienić zdanie.

* * *

Karol ścisza muzykę i chrząka znacząco, by zwrócić na siebie uwagę licznych gości. Stoi na szczycie schodów, obejmując wzrokiem wypełniony po brzegi salon. Rozmowy momentalnie cichną i wszyscy z uśmiechem wpatrują się w gospodarza.

— Piękne panie, dostojni panowie! To dla mnie ogromny zaszczyt móc stać teraz przed wami, by ogłosić tę niezwykle ważną dla nas nowinę — urywa,

wyraźnie wzruszony. — Chodź do mnie, kochanie. — Wyciąga rękę do Idy, która zmierza w jego stronę, przytrzymując wolną dłonią dół sukni. Mężczyzna czeka, aż narzeczona dołączy do niego, po czym kontynuuje: — Brak mi słów, by określić, jak wielką radość sprawiła mi ta oto zjawiskowa kobieta, zgadzając się zostać moją żoną. — Ujmuje dłonią podbródek Idy i unosi go lekko, by móc spojrzeć jej głęboko w oczy. — Chcę z tobą co dzień wypijać poranną kawę i wieczorny kieliszek wina. Wracać do domu tylko po to, by móc zobaczyć cię w drzwiach. Tak jak teraz, już zawsze trzymać twoją dłoń i nigdy nie musieć jej puszczać.

Przemowę Karola przerywają gromkie brawa. Mężczyzna wpatruje się w Idę jak w obrazek, podobnie jak reszta gości. Nawet mnie trudno oderwać od niej wzrok. Długa, czerwona suknia z rozcięciem odsłaniającym zgrabne udo idealnie komponuje się ze złotą biżuterią i jasnymi włosami, opadającymi falami na nagie ramiona. Wygląda wprost przepięknie.

— Nasz ślub odbędzie się w sierpniu przyszłego roku i już teraz serdecznie was wszystkich zapraszamy — dodaje Karol, spoglądając narzeczonej w oczy z szerokim uśmiechem.

Ida wzdycha, odwracając się w stronę gości.

— No dobra, koniec z tą oficjalną gadką. Fajnie, że dziś tu z nami jesteście. Bawcie się dobrze i wasze zdrowie! — Unosi kieliszek szampana, mrugając do mnie porozumiewawczo. Czeka, aż goście wrócą do porzuconych rozmów, po czym namiętnie całuje Karola, ciągnąc go w stronę sypialni.

Przewracam oczami, choć w głębi duszy bardzo się cieszę. Rozpiera mnie radość i coś na kształt dumy, bo mam swój mały udział w tym, że tej dwójce udało się dogadać. Bez wątpienia będą najpiękniejszą parą młodą, jaką widziało to miasto.

Rozglądam się wkoło, szukając wzrokiem Roberta. Z ulgą zauważam, że wydaje się dobrze bawić. Stoi przy ścianie, pogrążony w rozmowie z jakąś

rudowłosą kobietą, której dotychczas jeszcze nie spotkałam. Wygląda na to, że jego początkowy stres wyparował na dobre.

— No, to formalną część mamy już za sobą — mówię z uśmiechem, podchodząc do Roberta. — Wszystko w porządku?

— Tak. Rozmawiałem właśnie z panią Julią o...

— Wystarczy Julka — wchodzi mu w słowo kobieta, przechylając kokieteryjnie głowę.

— Rozmawialiśmy z Julią o tym, jakie to zabawne, że z wiekiem granica starości diametralnie się przesuwa — oznajmia, lekko mnie obejmując. — Gdy byłem dzieciakiem, wydawało mi się, że dwudziestopięciolatkwie znajdują się u schyłku życia. Teraz powoli dobiegam czterdziestki, a wciąż od gry na giełdzie bardziej interesuje mnie premiera nowego PlayStation — mówi ze śmiechem.

— Fakt. Kiedy byłam w przedszkolu, myślałam, że w wieku dwudziestu siedmiu lat będę szczęśliwą mężatką, może nawet będę miała dziecko — odpowiadam, kiwając głową ze zrozumieniem. — A tymczasem... Jest, jak jest. Nie mam pojęcia, co robiłam przez ostatnie dwie dekady. Chyba połowę przespałam, a resztę czasu zmarnowałam na naukę i pracę.

Kątem oka zauważam niezadowolone spojrzenie, jakim Julia obrzuciła dłoń mężczyzny spoczywającą w dolnej części moich pleców.

— My chyba jeszcze nie miałyśmy okazji się poznać — zwracam się do niej, odsuwając się od Roberta. — Jagoda Szewczuk, przyjaciółka Idy.

— Julia Olszewska, miło mi.

Wymieniamy zwyczajowy uścisk dłoni, a ja zastanawiam się, skąd znam jej nazwisko.

— Zaraz, czy ty nie jesteś przypadkiem kuzynką Karola...? — pytam niepewnie. — I organizujesz te wszystkie wspaniałe międzynarodowe wystawy, o których mi tyle opowiadał?

— Nie da się ukryć, to część mojej pracy — odpowiada skromnie, wzruszając ramionami. — Jestem historykiem sztuki.

— I to jakim! Julia przejechała wzdłuż i wszerz cały świat, współpracowała z największymi nazwiskami współczesnego malarstwa — wyjaśniam Robertowi. — W wakacje podróżowałaś po Argentynie i Nowej Zelandii, prawda?

— Rzeczywiście, spędziłam tam kilka tygodni. — Odrzuca miedziane włosy na plecy, rozciągając pokryte czerwoną szminką wargi w delikatnym uśmiechu. — Ale dosyć o mnie. Jeszcze chwila, a zarzucę was brązowymi anegdotami, przy których nawet najbardziej uprzejmi rozmówcy zaczynają ostentacyjnie ziewać.

— Trudno mi sobie wyobrazić, by historie opowiadane z tak ogromną pasją mogły kogokolwiek znudzić — zwracam się do niej ciepłym tonem. — Wybacz moje nieokrzesanie, ale czy byłabyś tak miła i opowiedziała mi co nieco o powiązaniach między sztuką klasyczną a współczesną? Mam wrażenie, że dzisiejsi artyści zapędzili się zbyt daleko w eksperymentalnych poszukiwaniach, tracąc ową płaszczyznę porozumienia z tradycją, której, przynajmniej w moim odczuciu, na próżno szukać w bestsellerowych obrazach ostatnich dziesięcioleci.

— Nieokrzesanie? Ależ to niezwykle słuszna uwaga. Owo pytanie od lat zadaje sobie dziesiątki badaczy, a wciąż pozostaje ono bez wyczerpującej odpowiedzi. — Posyła mi zyczliwy, choć niepozbawiony dystansu uśmiech. — Moi drodzy, otóż w sztuce chodzi przede wszystkim o harmonię. Niezależnie od epoki i właściwych jej technik to właśnie połączenie w jedną spójną całość koncepcji i kreacji spędza artystom sen z powiek. Już greccy rzeźbiarze dużą wagę przykładali do idealnego ułożenia sylwetki, proponując kontrapost. Czyż to nie z ich wnikliwych obserwacji korzystamy do dziś, pozując do zdjęć w taki sposób, by nasze ciało prezentowało się szczególnie atrakcyjnie? —

Julia żywo gestykuje, zatracając się w ulubionym temacie. — Zatem czy są to powabne, kobiece sylwetki, z należną czcią i uwagą wymalowywane przez Rubensa, czy też plamy koloru porozrzucane pozornie na chybił trafił przez Paula Gauguina w abstrakcyjnym uniesieniu, to właśnie osiągnięcie harmonii jest nadrzędnym celem, który od wieków przyświeca wszystkim twórcom. Każdy z nich pragnie dokładnie tego samego. Chce, by odbiorca, wpatrując się w jego dzieła, odczuwał błogi spokój, nie mając wątpliwości, iż obcuje z częstką niezwykle trudnego do uchwycenia geniuszu. — Julia nieśmiało wzrusza ramionami, jak gdyby wcale nie wygłosiła przed chwilą wzniosłej mowy pochwalnej na cześć sztuki.

Z daleka dostrzegam Idę, zmierzającą w naszą stronę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Lekko rozmazana szminka i zamglone spojrzenie wskazują na to, że nie marnowali z Karolem czasu. Gdy tylko nasze spojrzenia się krzyżują, przyjaciółka marszczy brwi i skinieniem głowy daje mi znać, że musimy pogadać.

— Jestem pod wrażeniem — oświadcza Robert, zerkając na mnie ukradkiem. — Przyznaję, że jeśli chodzi o malarstwo, to zatrzymałem się gdzieś pomiędzy Rembrandtem a van Goghem. Jako kompletny ignorant dzisiejszych trendów chętnie...

— Przepraszam — mówię cicho, kładąc rękę na jego ramieniu.

Kieruję się w stronę bufetu, gdzie czeka na mnie Ida. Dziewczyna odzywa się, gdy tylko znajduję się w zasięgu jej głosu.

— Zauważyłam, że doskonale się dogadujecie.

— Subtelna jak zawsze — odparowuję, ciągnąc ją na bok, by nikt nam nie przeszkadzał.

Łądujemy w kuchni, co nawet mi się podoba, bo właśnie tam najlepiej się rozmawia. To takie miejsce w domu, które najbardziej sprzyja szczerości.

— Nie spodziewałam się, że kiedyś to powiem, ale chyba za tobą nie

naładżam — oświadcza, wyciągając z lodówki butelkę martini.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Siadam na krześle i z westchnieniem ulgi zdejmuję szpilki, by moje stopy chociaż przez chwilę odpoczęły od kilkunastocentymetrowych szcudeł, na których włożenie namówiła mnie Ida. Uwierzyłam jej na słowo, że najbardziej pasują do mojej dzisiejszej kreacji. Szkoda tylko, że wygoda tak rzadko idzie w parze z estetyką.

— Zamieniłaś Michała na nowszy model? — Przyjaciółka napełnia kieliszki i podaje mi jeden, unosząc znacząco brwi. — Może lepiej byłoby zainwestować w dodatkowe wyposażenie, zamiast ślepo decydować się na świeżynkę na rynku. Tym bardziej że ma niemały przebieg na liczniku, no i bynajmniej nie jest bezwypadkowy.

— To nie tak. — Wzdycham. — Robert przechodzi teraz bardzo trudny okres. Dobrze wiesz, że jest moją jedyną ostoją normalności w pracy. Po prostu... Już tyle razy mi pomógł, że teraz to ja chciałam mu się odwdziżyć.

— A co na to Michał? Bo oczywiście powiedziałaś mu o swojej misji ratunkowej, prawda? — naciska Ida.

Wzruszam ramionami, wyławiając oliwkę z martini. Bez wahania odkładam ją na talerzyk. Lubię czarne, ale zielone są obrzydliwe.

— Idealizowanie niedoszłych partnerów zawsze było moim największym hobby, ale pora z tym skończyć. Już nie chcę być niczyją drugą myślą. — Przymykam oczy, pociągając długi łyk. — Nie potrafię czekać na to, aż ktoś przypadkiem muśnie moją dłoń albo złapie mnie za kolano. Zawsze oddaję całą siebie. *Take it or leave it*, to banalnie proste.

— Czyli kto pierwszy, ten lepszy? — Ida kręci głową z dezaprobatą, wrzucając do ust odłożoną przeze mnie oliwkę. — Pamiętaj, że od niedopowiedzenia jest niebezpiecznie blisko do niepowodzenia. Obyś tego nie żałowała — dodaje cicho.

Tak cicho, że niemal tego nie usłyszałam. A może nie chciałam usłyszeć?

* * *

— Gdybyś zobaczyła minę Moniki, kiedy jej powiedziałem, że wychodzę wieczorem... — Robert śmieje się, nie odrywając wzroku od jezdni. — Bezcenny widok! Chociażby dla tej chwili było warto.

— Tylko dla tej? — pytam, zerkając na niego z ukosa. — Bo ja za to chciałabym zobaczyć jej reakcję na flirtującą z tobą Julię.

— O czym ty mówisz? — Udaje niewiniątko.

— Proszę cię... Nieustannie prawiała ci komplementy. Jak bardzo chciałyby mieć tak rzetelnego współpracownika i jakim to wspaniałym ojcem jesteś, choć nawet nie poznała twoich dzieciaków. Zachowywała się, jakby poza tobą na tej imprezie nie było nikogo!

W świetle reflektorów nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu zauważam, że mężczyzna uśmiecha się po raz kolejny tego wieczoru, co poczytuję za ogromny sukces.

— Było bardzo miło. Naprawdę. Nie spodziewałem się, że... — Robert wykorzystuje chwilę, kiedy zatrzymujemy się na światłach, by spojrzeć mi prosto w oczy. — Jestem ci bardzo wdzięczny. Dzięki tobie udało mi się zapomnieć na moment o wszystkim.

— To ja ci dziękuję — mówię ciepło. — Możliwe, że potrzebowałam tego jeszcze bardziej niż ty.

Obracam głowę, porzucając widok kierowcy na rzecz skutej cienkim lodem rzeki. Odra stoi w miejscu, tak jak i moje życie. Od jej połyskującej tafli odbija się blade światło księżyca. Srebrzysty sierp nawet na moment nie daje nikomu zapomnieć o tym, że jak co noc utknął na zbyt niskim niebie.

— Masz naprawdę wspaniałych przyjaciół — słyszę głos Roberta. — Nie sposób było się oprzeć stworzonej przez nich atmosferze zaraźliwej radości.

To nic, że jutro dotrze do mnie, jaka była nierzeczywista i ulotna.

Na moment pogrąża się w myślach. Upewnia się, czy droga jest wolna, po czym zmienia pas ruchu, płynnie przyspieszając. Po chwili dodaje rozbawionym tonem:

— Choć wydaje mi się, że nie zrobiłem zbyt dobrego wrażenia na Idzie. Wydaje mi się, że twoja koleżanka od samego początku nie pałała do mnie szczególną sympatią.

Przed oczami staje mi przyjaciółka, która niezbyt dyskretnie przewracała oczami i rzucała mi karcące spojrzenia, ilekroć Robert się odezwał. Wygląda na to, że nie uszło to jego uwagi. Decyduję się obrócić dziecinne zachowanie Idy w żart.

— Nie przejmuj się. Ona taka już jest... Dużo szczeka, ale na szczęście nie gryzie!

Chociaż Robert wybucha śmiechem, jestem pewna, iż ma świadomość, że za zachowaniem Idy kryło się coś głębszego. Podgłaśniam muzykę, tchórzliwie chcąc zapobiec kontynuacji tego tematu, po czym opatulam się szczelniej płaszczem i wbijam wzrok w przednią szybę. John Mayer z optymizmem w głosie wyśpiewuje swoje nadzieje związane z mającą nadejść w przyszłości przemianą świata na lepsze. Chętnie bym mu zawtórowała, gdyby nie fakt, że już dawno pozbyłam się złudzeń. To nie świat powinien się zmienić, ale ludzie.

Czuję się potwornie. Jest mi wstyd za to, że moja najlepsza przyjaciółka w tak niedojrzały sposób wyraża swój brak aprobaty dla podejmowanych przeze mnie decyzji. Zwłaszcza że — przynajmniej na razie — daleko im do bycia wiążącymi. Skrzyżowanie naszych niełatwych charakterów od początku rodziło pewne komplikacje, ale zawsze pamiętałam, by w porę zrobić krok w tył. Ostatnio jednak pragnienie dominacji Idy doskwiera mi coraz bardziej, a ustępowanie jej przychodzi mi z coraz większym trudem.

Gdy dojeżdżamy pod moją kamienicę, Robert wysiada z samochodu, otwiera mi drzwi i pomaga wysiąść. Najchętniej przytuliłabym go na pożegnanie, ale powstrzymuję się, bo wiem, że z wielu względów nie byłoby to właściwe.

— Dziękuję za doborowe towarzystwo. Śpij dobrze! — rzucam i odwracam się, zmierzając w stronę budynku.

Kiedy pod drzwiami do klatki spoglądam za siebie, dostrzegam, że Robert wciąż stoi w tym samym miejscu. Przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, wpatrując się we mnie z delikatnym uśmiechem błakającym się po twarzy. Prawdopodobnie stara się opóźnić moment powrotu do domu i zderzenia z przykrą rzeczywistością.

— Wiesz, dzisiejszego wieczoru upewniłam się, że Monika jest ogromną szczęściarą — mówię głośno, opierając się o uchylone drzwi. — Ale na swoje nieszczęście jeszcze większą idiotką — dodaję i szybko wbiegam po schodach, nie dając mu szansy na odpowiedź.

* * *

Po powrocie do domu rzucam klucze na komodę i rozpuszczam włosy. Rozbieram się w ciemnościach, aż zostaję w samej sukience. Włączam lampkę nocną, po czym zwijam się w kłębek w fotelu i przykrywam kocem, próbując kontynuować czytanie przerwanej w połowie powieści, ale nie mogę się skupić. Litery zuchwale tańczą mi przed oczami. Podnoszę się więc i podchodzę do okna. Ostrożnie odchylam zasłonę, chcąc się upewnić, że Robert już odjechał.

Nie odjechał... Opiera dłonie o dach samochodu, zwieszając bezsilnie głowę. Pod nieświadomym wpływem mojego wzroku odwraca się i spogląda w stronę budynku. Szybko cofam się o krok. Mam nadzieję, że mnie nie zauważył.

Rozdział XIV

Leżę na łóżku z szeroko otwartymi oczami, wgapiając się w sufit. Najchętniej przespałabym resztę weekendu, ale niestety mój organizm nie aprobuje tego pomysłu. Zupełnie nie chce ze mną współpracować. Jest dopiero ósma rano, a on już nie wykazuje żadnych oznak senności. Wypełzam więc spod kołdry, myśląc o tym, że będzie to najdłuższa sobota w moim życiu.

Włączam lampkę nocną i z wyrzutami sumienia zerkam w stronę sufitu. Od dwóch tygodni zapominam wymienić uszkodzoną żarówkę, przez co bez przerwy pokój pogrążony jest w półmroku. Przeniosłam nawet kosmetyki do łazienki, bo przy tak słabym oświetleniu korzystanie z toaletki stało się niemożliwe. Psychologowie nazywają to wyparciem. Chyba pora wreszcie zejść na ziemię.

Wsuwam stopy w kapcie, narzucam na siebie szlafrok i ruszam do kuchni, bo bez solidnej porcji kawy nie wychodzi mi nawet nicnierobienie. Dodatkową motywacją jest zapomniane pudełko lodów pistacjowych, na które natknęłam się ostatnio w trakcie poszukiwań mrożonego koperku. Czyż nie brzmi to jak idealny zestaw śniadaniowy?

Kiedy przechodzę przez korytarz, mam wrażenie, że słyszę niepewne pukanie do drzwi. Wlokę się zatem do wejścia, by sprawdzić, o co chodzi. Po krótkiej walce z zamkiem lekko uchylam drzwi, nie zdejmując łańcucha. Prawdopodobnie wciąż śnię, bo moim oczom ukazuje się Michał. Nawet nie ukrywam zaskoczenia.

— A ty co tutaj robisz? — pytam, przecierając oczy.

— Nie mogłem spać, więc stwierdziłem, że sprawdzę, czy już pojechałaś. Wygląda na to, że mi się poszczęściło. — Rozpina kurtkę, nieśmiało zerkając

na łańcuch. — Mogę wejść?

— Jasne, zapraszam. — Wpuszczam go do środka, odsuwając się na bok.
— Napijesz się ze mną kawy? Nie robię tak dobrej jak ty, ale...

— Bardzo chętnie — wchodzi mi w słowo, uśmiechając się szeroko.

* * *

Siedzimy w kuchni naprzeciwko siebie, obejmując obiema dłońmi filiżanki świeżo zaparzonej kawy. Niepewność, która towarzyszyła mi przez ostatnie dni, gdzieś się ulotniła, gdy tylko spojrzałam Michałowi w oczy. W jej miejsce przyszła ogromna radość.

Ciekawe, ile relacji rozpadło się tylko dlatego, że ich uczestnicy nie potrafili schować dumy do kieszeni i odważyć się na spotkanie twarzą w twarz po wyrzuceniu z siebie zbyt wielu nie do końca przemyślanych zdań. Wszechobecna elektronika zwiększa dystans między ludźmi, dając złudne poczucie siły i wolności. Ranienie innych przychodzi nam tak łatwo, gdy wystarczy jedno dotknięcie, by się rozłączyć, jeden przycisk, aby zgasić ekran. Tak wiele gorzkich słów nigdy nie przeszłoby nam przez usta, gdybyśmy w trakcie ich wypowiedzania patrzyli adresatom w oczy.

Jestem pod wrażeniem, że mimo mojej opryskliwości i zmyślonego wyjazdu Michał zdecydował się tutaj przyjść. To takie nierealne, że jest teraz obok mnie, że nawet nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Milczę więc, czekając, aż odezwie się pierwszy.

— Jeśli chodzi o naszą wcześniejszą rozmowę... — zaczyna, szukając wzrokiem mojego spojrzenia.

— Przepraszam, to było bardzo głupie z mojej strony — mówię i upijam ostrożnie pierwszy łyk gorącej kawy. — Zadaję ci tak wiele pytań, nie biorąc pod uwagę, że może zwyczajnie nie masz ochoty na nie odpowiadać.

Michał przygląda mi się uważnie. Prawdopodobnie zastanawia się, skąd

taka nagła zmiana mojego nastawienia. Na moment zamyka oczy, jakby z wysiłkiem zbierał myśli. Gdy otwiera je z powrotem, uśmiecha się i sięga po moją dłoń, splatając jej palce z własnymi.

— Nie myśl, proszę, że od czegoś uciekam. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Trudno mi ubrać w słowa coś, o czym dotychczas jedynie myślałem.

— Więc myślałeś? — pytam zalotnie, opierając podbródek na wnętrzu wolnej dłoni.

Kręci głową z rozbawieniem, mrużąc oczy.

— Uważaj, bo jeszcze chwila, a wyczerpiesz całą pulę lekkich tematów.

— I zostaną nam tylko filozoficzno-metafizyczne rozważania o przemijaniu?

— Dokładnie. Więc może najpierw zajmijmy się czymś praktycznym. Na przykład zaprojektujmy dom z pokojami dla dwójki... no dobra, niech ci będzie, trójki dzieci. Zaopatrmy się od razu w góralskie kapcie dla całej ferajny. Ja będę odpowiedzialny za uzupełnianie kawy w ekspresie, a ty za podtrzymywanie przy życiu kaktusa. — Uśmiecha się jednym z tych uśmiechów, który emituje więcej światła niż promienie słońca wpadające właśnie do kuchni. — Swoją drogą, musimy wymyślić dla niego jakieś pieśzcotliwe imię.

Przez chwilę nic nie mówię, wpatrując się w nasze złączone dłonie. Moje kończą się dokładnie tam, gdzie zaczynają jego ostatnie paliczki. Jest idealnie.

— Pewnie cię zaskoczę, ale na początek wystarczy mi dym z komina — mamrocze.

Śmieje się, ukradkiem zerkając na zegarek.

— Mam nadzieję, że nie zająłem ci zbyt dużo czasu. O której musisz się zbierać?

Wzruszam ramionami, biorąc kolejny łyk kawy.

— Nie muszę — odpowiadam z uśmiechem.

— Nie miałaś gdzieś jechać?

Patrząc mu prosto w oczy, szepczę:

— Już wróciłam.

* * *

Namówiłam Michała, żeby pojechał do domu uciąć sobie krótką drzemkę, zanim zacznie kilkunastogodzinną zmianę. Zrobił to niechętnie i tylko dlatego, że obiecałam odwiedzić go po południu w pracy.

Uśmiecham się na myśl o tym, jak wiele jest w stanie zmienić jedna rozmowa. Życie zdążyło mnie nauczyć, że najważniejsze są czyny. Słowa znaczą niewiele, ponieważ możemy je kontrolować tylko w momencie wypowiedzienia, a i tak nie zawsze uderzają one z taką siłą, jaką w nich tchnęliśmy. Miło jest przypomnieć sobie jednak, że z ograniczonej liczby liter mogą powstać twory, będące w stanie wywołać nieograniczoną ilość emocji.

Mam ochotę skakać z radości i śmiać się bez końca, a po prostu sprzątam mieszkanie. Wymieniam nawet tę nieszczęsną żarówkę. Zadzwoiłabym do Idy, ale nie jestem gotowa na jej triumfalną pieśń z refrenem w postaci „a nie mówiłam?”. Zamiast tego wybieram numer Adama, z którym nie rozmawiałam od czasu naszego ostatniego, niezbyt udanego spotkania. Odbiera dopiero po piątym sygnale.

— Cześć, braciszku. Jak tam życie? — pytam, opierając się plecami o ścianę.

— Hej! Jak zawsze znakomicie — odpowiada z nutą ironii w głosie. — Czym zasłużyłem sobie na przerwanie milczenia przez moją niepokorną siostrę? Czyżbyś odkryła, że telefon działa w obie strony?

Wzdycham, osuwając się na podłogę.

— Jak poszło spotkanie z Wiktorem? — kontynuuje łagodniejszym tonem. — Widziałem się z nim zaraz przed jego powrotem do Stanów, ale nie chciałem mi zbyt wiele powiedzieć.

— Nijak — bąkam, wpatrując się w swoje paznokcie.

— Jagoda... On cię naprawdę kocha.

Wybucham śmiechem, który nie ma w sobie nic z wesołości.

— Kocha?! Czy ty siebie w ogóle słyszysz? — rzucam sarkastycznie. — Jest wkurzony, ale wcale nie dlatego, że zламаłam mu serce. On po prostu czuje się przegrany. A faceci tacy jak on nie lubią ponosić porażek. Niestety, chyba nigdy do niego nie dotrze, że tak naprawdę przegrał z samym sobą. — Zaciskam powieki, starając się opanować. Biorę kilka głębokich wdechów, po czym dodaję: — Proszę, nie nazywaj miłością głupiej desperacji zmieszanej z resztkami przyzwyczajenia. Swoją drogą, czy my naprawdę nie mamy już innych tematów do rozmowy...?

— Ależ oczywiście, że mamy. Na przykład zbliżające się święta. Pamiętasz o tym, że istnieje coś takiego jak dom rodzinny, prawda?

— Jak mogłabym zapomnieć — mówię gorzko. — Już pracuję nad nieszkodliwymi anegdotami, by podczas wigilijnej kolacji nikomu ość nie stanęła w gardle. Nie martw się, nie wspomnę o tym, że nie skorzystałam z jedynej okazji na dostatnie życie, nie dając drugiej szansy Wiktorowi.

— Jesteś niesprawiedliwa — odzywa się po chwili Adam.

— Tak sądzisz? To może uświadomię rodzicom, że wcale nie mieszkam w trzypokojowym apartamencie na czterdziestym piętrze Sky Tower, jak im się wydaje, tylko z moją pensją ledwo udaje mi się opłacić ciasne mieszkanie w starej kamienicy, a do pracy chodzę pieszo. Swoją drogą, właściciele od kilku miesięcy straszą podniesieniem czynszu, więc nie wiadomo, jak długo jeszcze będę mogła sobie pozwolić na to lokum. Na pewno matka nie będzie mieć żadnego problemu z zaakceptowaniem mojej decyzji.

— Dobrze wiesz, że nie musisz się tak męczyć — oznajmia, nie kryjąc rozdrażnienia. — To był twój wybór, że od lat nie bierzesz od nich żadnych pieniędzy. Gdybyś okazała odrobinę skruchy...

— Adaś, ja nie muszę, ja chcę — przerywam mu. — Rodzicielstwo to nie tylko kwestia kasy. W rzeczywistości to przede wszystkim nie jest to. Zrozum, że ostatecznie, czego pragnę, to żyć tak jak oni, więc nie zamierzam opierać swojego rozwoju na ich guście. Na szczęście jestem w stanie obyć się bez ich błogosławieństwa — wyrzucam z siebie szybko, skubiąc rękaw wełnianego swetra. — Zresztą niczego od nich nie chcę.

— Naprawdę aż taką frajdę sprawia ci robienie wszystkiego na odwrót? — pyta cicho.

— Sam widzisz, jak świetnie się bawię — odpowiadam, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

Dopóki się nie rozłączyłam, nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech.

* * *

Jest już grubo po północy, a ja wciąż towarzyszę chłopakom w pracy. Dzięki ich obecności niemal zapomniałam o nieprzyjemnej rozmowie z bratem. Ten zatłoczony, odrobinę duszny i zdecydowanie zbyt hałaśliwy pub nieoczekiwanie stał się moim ulubionym miejscem na ziemi.

Michał wyszedł przed chwilą zapalić, więc zostałam sama na sam z Damianem. Będąc świadkiem tego, co on wyprawia, z trudem utrzymuję powagę.

— To jest okrutne — mamrocę, widząc, jak klient chłopaka krzywi się i zatacza, choć zamówiony przez niego shot jest kieliszkiem najzwyczajszej wody mineralnej.

— Doskonale wie, na co się pisze. Widzisz? „Nietrzeźwym alkoholu nie sprzedajemy”. Tabliczka aż krzyczy. Przecież nie chcę mieć problemów z prawem. — Puszczą do mnie oczko, po czym odlewa odmierzoną ilość wódki do swojego sprite’a.

Wiem, że jego zachowanie jest skrajnie niemoralne, ale wybucham niepohamowanym śmiechem.

— Nie śmieję się! Po prostu zależy mi na zdrowiu naszych klientów — zapewnia. — Na tym etapie nie robi mu to już żadnej różnicy. Zresztą przecież sama widziałas, że kopie tak samo jak czysta.

Biorę głęboki wdech, ocierając łzy śmiechu wierzchem dłoni.

— No co, jego żona by mi podziękowała — dodaje.

— Szczególnie po sprawdzeniu stanu jego konta bankowego — odparowuję.

Patrzy na mnie z udawanym oburzeniem.

— Naprawdę uważasz, że pieniądze są ważniejsze od zdrowia?!

Przewracam oczami, rezygnując ze zbijania kolejnych argumentów chłopaka. Damian ma w sobie coś z Idy — wygranie z nim graniczy z cudem.

— Jeszcze powiedz, że tego proceduru nauczył cię Michał. — Zmieniam temat.

— No coś ty, Michaś to święty człowiek! On nie weźmie do ust ani kropelki alkoholu, szczególnie w pracy — mówi z przekąsem. — Ale pamiętaj, od pijanego faceta gorszy jest tylko abstynent!

Śmieję się, biorąc łyk cosmopolitana. Gdy po raz pierwszy byłam tu z Idą, zamówiła nam tego samego drinka. Wspomniałam o tym Damianowi, dodając, że zupełnie mi nie smakował. Chłopak postawił więc sobie za punkt honoru przygotowanie takiej jego wersji, którą będę się rozkoszować. No cóż, muszę przyznać, że mu się udało.

Gdy podnoszę wzrok znad kieliszka, zauważam, że Damian odrobinę zbyt długo poleruje trzymane w dłoni naczynie, wgapiając się w punkt ponad moim ramieniem. Odwracam się, a wtedy dostrzegam grupkę stojących nieopodal baru studentek. Co jakiś czas wybuchają perlistym śmiechem, na który chłopak reaguje przeciągłym westchnieniem.

— Jaka szkoda, że na świecie jest tyle pięknych kobiet, a ja tylko jeden — mówi w zamyśleniu, powoli odstawiając kieliszek. Nie odrywając wzroku od dziewczyn, sięga po kolejny. Okazuje się on tym samym, któremu chwilę wcześniej nadał wysoki połysk, ale oczywiście umyka to jego uwadze.

Lekko odchyłam się do tyłu, obejmując kolano splecionymi dłońmi.

— Lubisz piłkę nożną, prawda?

— Też mi pytanie! Oczywiście — potakuje, ledwo poruszając ustami.

Uśmiecham się na myśl o tym, jak bardzo różni się od swojego najlepszego kumpla. Chłopacy zdążyli mi już opowiedzieć o ich niekończących się kłótniach dotyczących zainstalowania telewizora w pubie. Choć Damian sądzi, że przez jego brak tracą rzeszę klientów, Michał powtarza, że zbyt dużo czasu spędzamy, wgapiając się w świecące ekrany, a tutaj przychodzi się porozmawiać. Wzrusza ramionami, gdy z wypełnionej po brzegi knajpy naprzeciwko dobiegają przekleństwa i okrzyki co rusz podrywających się z siedzeń kibiców. Pozostaje nieugięty, nawet jeśli z tego powodu w meczowe wieczory w lokalu panują pustki.

— I pewnie całe życie kibicujesz jednemu klubowi, mam rację? — drążę temat.

— Zgadza się — przytakuje niepewnie, ale nie od razu przenosi na mnie wzrok.

— Czyli nie przechodzisz na stronę innej drużyny tylko dlatego, że w danym sezonie wiedzie jej się lepiej?

— Jasne, że nie! — oburza się. — Lojalność to kwestia honoru.

— Widzisz, bo ja akurat średnio znam się na piłce, ale analogia do błyskawicznego zmieniania obiektów zauroczenia nasuwa się samoistnie.

Damian marszczy brwi. Prawdopodobnie zamierza nadmienić, że drużyna składa się z jedenastu zawodników, więc nijak ma się to do dochowywania wierności jednej kobiecie, ale naszą konwersację przerywa powrót Michała.

— Mówiłam, żebyś włożył kurtkę — rzucam, widząc jego zaczerwienione, pokryte gęsią skórą ręce.

Wzrusza ramionami, energicznie pocierając dłonie. Dmucha w nie, by ogrzać je oddechem, po czym zajmuje miejsce obok mnie.

— Co robiliście? — pyta.

— Nic — odpowiada szybko Damian, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Michał rzuca mi podejrzliwe spojrzenie, ale mówi tylko:

— Nudy.

— Fakt — zgadzam się, dopijając drinka.

* * *

Wychodzimy z pubu dopiero przed drugą. Michał zaproponował, że odwiezie mnie do domu, a potem wróci po Damiana. Tym razem to on został dłużej w pracy, by policzyć całodniowy utarg. Wciąż jestem pod wrażeniem, że potrafią robić takie rzeczy o tej porze, nawet pod lekkim wpływem alkoholu. Widać lata praktyki czynią z ciebie matematycznego geniusza.

— Szkoda byłoby zmarnować tak piękną noc, nie uważasz? — rzuca Michał, gdy odpinam pasy, przygotowując się do wyjścia z samochodu.

Uśmiecham się, zastygając z ręką na klamce.

— Wyeksploatowaliśmy już całkiem sporą jej część. Mam wrażenie, że zdążyliśmy nadużyć jej gościnności. Nie sądzisz, że warto byłoby dać jej trochę... odpocząć?

— Żartujesz?! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaką przyjemność jej zrobiliśmy, dotrzymując towarzystwa — mówi z oburzeniem, gasząc silnik. — Wiesz, jak jest. Latem kobiety całymi godzinami spacerują samotnie po łąkach, rozmyślają o ukochanych i przeciwnościach losu, szepcząc jej swoje najskrytsze pragnienia. Mężczyźni z butelką w dłoni wykrzykują deklaracje

miłości na mostach wielkich miast. A teraz...? — Bezwiednie zsuwa rękę z kierownicy. — Zimą wszyscy siedzą w przytulnych domach, a ona marznie w samotności. Tym trudniej jest jej to znieść, gdy przez ponad pół roku była rozchwytywana, traktowana co najmniej jak... jak jedyny bezstronny rozjemca dla niezliczonej ilości wewnętrznych walk. — Michał lekko potrząsa głową, wyrывая się z zamyślenia. — Musisz więc przyznać, że nie ma najmniejszych wątpliwości, iż noc cieszy się z naszej obecności.

— Może faktycznie masz rację. Zobacz, nawet przestało padać — odpowiadam w podobnym tonie, zataczając łuk ręką.

— No widzisz. Gdyby nie pilnowanie nas, jedyne, co miałyby do roboty, to skazana na porażkę próba zażegnania konfliktu pomiędzy wschodem a zachodem słońca — stwierdza z rozbawieniem, machinalnie sunąc dłonią po wewnętrznej części siedzenia. — Od tysiącleci usiłuje to zrobić i jak wiadomo, niezbyt jej to wychodzi. — Podnosi wzrok i zerka w moją stronę z lekkim uśmiechem. — Zresztą po takim czasie chyba każdy by się zniechęcił.

— Sądzisz, że jest to możliwe? — pytam, opierając policzek o fotel.

— Pogodzenie wschodu z zachodem?

Przytakuję, patrząc na niego wyczekująco. Choć nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, niecierpliwie się, by usłyszeć jego odpowiedź. Tak naprawdę wiele spraw nurtujących Michała nigdy nie przeszło mi przez myśl, mimo że spędzam w swojej głowie naprawdę dużo czasu. To ciekawe, że istnieje tak wiele idei, lecz ciągle wracamy do tych samych. Dopiero rozmowa z drugim człowiekiem skłania nas do zgłębienia podświadomie omijanych przez nas obszarów.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że jedno przestanie uciekać na drugi koniec Układu Słonecznego, gdy tylko drugie pojawi się w zasięgu wzroku? — Wzrusza ramionami. — Hmm... Zależy, o co się pokłócili.

— Jeśli są podobni do ludzi, to pewnie o jakąś głupotę — mówię,

posyłając mu ciepły uśmiech, i lekko uchylam drzwi. Wiem, że już dawno powinnam była wysiąść, ale z każdą sekundą coraz trudniej jest mi się zmusić do opuszczenia samochodu. Albo raczej jego właściciela. — Dobranoc! — Posyłam chłopakowi całusa w powietrzu i zanim zdążę się rozmyślić, wychodzę na zewnątrz.

Uderza mnie gwałtowna fala zimna, jakbym nagle otworzyła drzwi zamrażarki. Robię kilka kroków w stronę kamienicy, a wtedy, wbrew moim przewidywaniom i wszelkiej logice, Michał również wysiada z auta i podąża za mną. Zatrzymuję się, przygryzając wargi.

— Wracając do tematu... — mówi półgłosem, stając za moimi plecami. — Co ty na to, żebym odwiózł Damiana do mieszkania, wziął szybki prysznic, a później wpadł do ciebie na kolację?

Obracam głowę, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Zważywszy na porę, panie kucharzu, byłoby to raczej śniadanie.

Nachyla się, by poprawić mi szalik, który założyłam w pośpiechu, przez co odsłania spory fragment mojej nagiej szyi. Robi to odrobinę zbyt długo, muskając kciukiem mój podbródek.

— Jak zwał, tak zwał — odzywa się po chwili. — Jedzenie to sztuka, której nie powinniśmy sprowadzać do nazwy kilku posiłków. To jak, byłoby czy będzie?

— W porządku — zgadzam się, jakbym choć przez moment miała jakiegokolwiek wątpliwości. — To może ja w tym czasie coś przygotuję. Na co masz ochotę? Mule w białym winie, quiche z figami i kozim serem? A może golonka w kapuście...? — drocę się, gdy odprowadza mnie do drzwi, bo dobrze wie, że i tym razem to on będzie musiał gotować.

— Po prostu weź długą kąpiel, a gdy wrócę, przyniosę ci kieliszek wina do łazienki.

— I nie będą ci przeszkadzały niepozmywane naczynia i rozrzucone ubrania

w korytarzu? — pytam nie do końca hipotetycznie, bo nie pamiętam, w jakim stanie zostawiłam swoje mieszkanie.

Zamiast odpowiedzieć, przez całą wieczność patrzy mi głęboko w oczy, owijając wokół palców pasmo moich ciemnych włosów.

— Nie gap się tak — mówię cicho, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

— Dlaczego? — szepcze.

— Bo po trzech minutach patrzenia sobie w oczy bicie naszych serc się zsynchronizuje, a wtedy wmówimy sobie, że to przeznaczenie.

Śmieje się, robiąc kilka kroków w tył.

— Zaraz wracam.

* * *

Wygląda na to, że Michałowi naprawdę zależało na spędzeniu czasu tylko ze mną, bo jest z powrotem zaledwie po półgodzinie. W środku nocy moja efektywność spada niemal do zera, więc zdążyłam jedynie wziąć prysznic, poprawić makijaż i wybrać muzykę, a on już puka do moich drzwi. Widocznie spędziłam zbyt dużo czasu, przeprowadzając walkę na śmierć i życie pomiędzy debiutem Beach House a najnowszym krążkiem Mazzy Star. Przepraszam, Hope, ale tym razem wygrała Victoria.

Otwieram Michałowi z leniwym uśmiechem, bujając się w rytm *Master of None*.

— Beach House? Jestem pod wrażeniem, że jeszcze nie zasnęłaś. — Śmieje się, otrzepując buty ze śniegu. Wchodzi do środka, po czym ostrożnie odkłada zakupy na szafkę i zdejmuje kurtkę.

— A ty co, obrabowałeś po drodze winiarnię? — odpowiadam, patrząc wymownie na torbę wypełnioną butelkami.

Wzrusza ramionami, przeczesując palcami pokryte białym puchem włosy.

— Raczej nie najgorzej zaopatrzony monopolowy. Masz szczęście, że

trafiłaś na mnie, bo niewiele osób wie, gdzie znaleźć dobre wino nad ranem — oświadcza, pochylając się, by zdjąć buty. — Byłem pewien, że wytrawne, ale wolałem nie ryzykować ze szczepem. Nie wiedziałem, które lubisz, więc wziąłem syrah, pinot noir, cabernet sauvignon... — wymienia, zerkając do siatki. — Gdzieś się zapodziało jeszcze jakieś chardonnay. Na wypadek, gdybyś miała ochotę na deser.

— Zdajesz sobie sprawę, jak wielu wieczorów będziemy potrzebowali, żeby pozbyć się tych zapasów? — mówię, krzyżując ramiona. — Zakładając, że napijesz się ze mną, i tak będzie to jakieś pół roku.

— Już się na to cieszę — stwierdza z leniwym uśmiechem.

— Czyżby to oznaczało, że pierwszy raz zobaczę, jak pijesz alkohol? — pytam, nie kryjąc zdziwienia.

— Biorę taką opcję pod uwagę — odpowiada, zdejmując przez głowę sweter. — Nie mam pojęcia, co ci naopowiadał Damian, ale to nie jest żaden ślub czystości ani głupi zakład. Po prostu staram się ograniczać picie alkoholu do wyjątkowych okazji — dodaje.

Widok czarnego T-shirtu opinającego jego umięśnioną klatkę piersiową na moment wytrąca mnie z równowagi. Rozpuszczam włosy, by zająć czymś ręce.

— Wprost nie mogę się doczekać, żeby dowiedzieć się, jak się upijasz — oświadczam, opierając się o ścianę. — No wiesz, czy chcesz się bić, czy przytulać.

— Z tobą wszystko — mówi, podchodząc tak blisko mnie, że czuję ciepło jego ciała.

Wzdycham, ignorując ciarki, które przeszły mi po plecach.

— Daruj sobie. Na mnie takie teksty nie działają. — Przeciągam się i odwracam w stronę kuchni. — Chodźmy, umieram z głodu.

* * *

Może to niekorzystny układ planet albo usytuowanie mieszkania na żyłce wodnej, że pomimo piękna tej chwili nachodzi mnie jakiś dziwny stan, ale odkładam widelec, uderzona nagłą myślą. Biorę głęboki wdech, po czym mówię:

— Michał, czy ty jesteś pewien, że ja, czwarta nad ranem, te nieziemskie krewetki z chilli, to wino, grillowany...

— Bakłazan. Z pomidorami i mozzarellą — podpowiada, patrząc na mnie wyczekująco.

— No właśnie. Czy jesteś pewien, że to wszystko ma sens?

Skupiam wzrok na talerzu, bojąc się spojrzeć mu w oczy. Michał przysuwa się bliżej, po czym długo przygląda mi się w milczeniu. Nie słychać nic prócz tykania zegara i cichego szumu lodówki.

— A co, jeśli powiem, że nie ma nic, co miałoby dla mnie w tym momencie większy sens? — zaczyna, zamykając moje dłonie w swoich. — Przebywanie z tobą jest jak... Jak wrzucenie pierwszej monety do fontanny albo samotna podróż pustym autobusem. Jak stąpanie po warstwie świeżego śniegu, jeszcze nieskażonego ludzką stopą — wylicza cicho, zataczając kciukami kółeczka na moich nadgarstkach. — Przy tobie czuję, że jest we mnie coś wyjątkowego, choć jednocześnie wiem, że to nieprawda.

Przygryzam wargi, by powstrzymać uśmiech.

— Mówisz tak, jakbym była jak Ida. Ona nie zdąży nawet wyjąć papierosa, a już pojawia się tuzin mężczyzn z ogniem. A ja...

— A ty nawet nie palisz — wchodzi mi w słowo.

— No właśnie. Może wtedy byłabym jedną z tych kobiet, przy których ludzie czują się wyjątkowo... Wiesz, które sprawiają, że wszyscy faceci na ulicy przystają i pozerają je wzrokiem, marząc o małym tête-à-tête. Jak Ava Gardner w *Zabójcach* albo Lauren Bacall w *Wielkim śnie*.

Przechyliła głowę, wpatrując się we mnie z uśmiechem.

— Dawno nie słyszałem tak absurdalnej teorii — odpowiada. — Ale masz rację, za tobą się nie ogląda. O tobie pisze się ballady i listy samobójcze.

— I co, napisałeś już coś? — pytam, upijając spory łyk wina.

— A powinienem? — Muska ustami wierzch mojej dłoni.

— Chyba nie. Inwestowanie czasu w moją osobę niezbyt się opłaca. — Zakładam za ucho pasmo opadających na twarz włosów. — Sam byłeś świadkiem, jak mój niedoszły mąż wybiegł jak oparzony, gdy tylko zaczęło robić się pod górkę.

Obraca moją dłoń, znacząc wewnętrzną część nadgarstka rzędem delikatnych pocałunków.

— Kochałaś go? — pyta cicho.

— Nie wiem — odpowiadam po chwili milczenia. — Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, mam wrażenie, że bardziej cieszyłam się z planowania ślubu niż z tego, że go weźmiemy.

— Jak to nie wiesz?

Wzruszam ramionami.

— Po prostu. Nie wiedziałam, czy go kocham, ale nie wiedziałam też, jak to jest go nie kochać.

Patrzy mi prosto w oczy i uśmiecha się szeroko.

— A mnie kochasz?

— Ciebie lubię.

— Tylko?

Przytakuję.

— Dlaczego?

— Nawet jeśli twoja obecność w cudowny sposób zamienia mój wewnętrzny monolog w dialog, sprawiając, że uśmiech staje się równie oczywisty jak oddychanie, nie można kogoś tak szybko pokochać.

— A ile czasu musi minąć? — pyta, wodząc koniuszkiem wskazującego

palca po moim przedramieniu.

— Trudno powiedzieć. Rok, może dwa?

— Poczekam maksymalnie kwadrans.

Kręcę głową z lekkim uśmiechem, po czym wstaję od stołu, by posprzątać po posiłku. Muszę zająć czymś ręce, bo przyłapuję się na tym, że traktuję jego słowa zbyt poważnie.

* * *

Leżymy w ubraniach na zasłanym łóżku, z półprzymkniętymi oczami wsłuchując się w dyskretne dźwięki dobiegającej z głośników muzyki. Marzę o tym, by ta noc trwała wiecznie.

— Powiedz mi coś, czego nikomu nigdy nie powiedziałeś — mruczę, opierając głowę na ramieniu Michała.

— Coś w stylu: tak naprawdę nigdy nie lubiłem Nirvany?

Śmieję się cicho.

— To niezwykle odważne wyznanie, ale chodziło mi o coś bardziej osobistego.

Zastanawia się przez chwilę.

— Może to źle zabrzmie i może nie jest to odpowiednia chwila na takie zwierzenia, ale wkurzał mnie ten cały cyrk po śmierci matki. — Podnosi się, by sięgnąć po kieliszek wina. Wlewa w siebie całą jego zawartość, po czym bierze głęboki wdech i kontynuuje: — Wiesz, to stało się zaraz przed Gwiazdką. Ludzie odwiedzali nas pod byle pretekstem, mówili, jak bardzo im przykro... Jakby niewystarczające było to, że umarła. Od tamtej pory wyrazy współczucia to najbardziej znienawidzone przeze mnie słowa. Mogli gadać i gadać, a i tak wszyscy wiedzieliśmy, że nie będzie wesołych świąt ani szczęśliwego nowego roku.

Zerkam na niego z napięciem.

— Jak zniosła to twoja siostra?

— Na pewno lepiej niż ja. Była bardzo mała, gdy to wszystko się wydarzyło. Całą swoją miłość przelała na ojca, który kompletnie na to nie zasługiwał — mówi w zamyśleniu. — Niestety, dzieci są w stanie wybaczyć rodzicom wiele rzeczy, byle tylko mieć ich przy sobie.

— Wciąż z nim mieszka?

— Broń Boże, nie. Zajmują się nią dziadkowie ze strony mamy. Zresztą teraz to już bardziej ona zajmuje się nimi. — Kładzie się z powrotem, poprawiając poduszkę pod głową. — Ojciec poudawał przez chwilę idealnego tatusia, ale wiadomo było, że nie wytrzyma zbyt długo bez zalewania się w trupa.

Obracam się na bok, podpierając głowę na ręce.

— Dlatego prawie nie pijesz?

Przytakuję z zamkniętymi oczami.

— Gdy kilka dni po śmierci matki nieudolnie próbowałem usmażyć małej na śniadanie jej ulubione bananowe naleśniki, miałem ochotę roztrzaskać patelnię na jego głowie. — Bierze głęboki wdech, po czym otwiera oczy. — Przepraszam, wiem, nie powinienem tak mówić. To w końcu mój stary.

— Masz z nim kontakt? — pytam, kładąc dłoń na jego piersi. Delikatnie ją ujmuję, muska ustami i przykłada do swojego policzka.

— Szczerze mówiąc, niewiele mnie obchodzi, co się z nim dzieje. Niczego tak bardzo nie żałuję jak tego, że mama pozwoliła mu wrócić. — Przyciąga mnie do siebie i mocno przytula, opierając podbródek na mojej głowie. — Zostawił nas zaraz po narodzinach Amelki. Wiesz, naprawdę dobrze nam było bez niego. Poszedł w tango na trzy lata, a później wrócił z podkulonym ogonem... Długo nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego matka zgodziła się na jego powrót.

— Może po prostu bardzo go kochała?

Zwleka z odpowiedzią, niespiesznie muskając wargami moje włosy.

— Nie kochała go, jestem tego pewien, ale miała zbyt miękkie serce — odzywa się po chwili. — Wydawało jej się, że robi to dla naszego dobra. Chciała, żebyśmy mieli nieidealną, ale pełną rodzinę. Nie winię jej za to, choć źle mi z tym, że umarła, nie wiedząc, że gdy byliśmy sami, niczego nam nie brakowało. Była dla nas wszystkim i jeszcze czymś więcej.

— Szkoda, że najważniejszym okresem w naszym życiu jest właśnie dzieciństwo — mówię cicho. — Definiuje nas raz na zawsze, wpływając na wszystko, co nas później ciekawi, zadziwia i oburza, a co wydaje się oczywiste, chociaż nie mamy żadnego wpływu na to, jak ono wygląda.

Michał wzdycha, nieznacznie się odsuwając.

— Dlatego warto pamiętać o korzeniach, ale trzeba patrzeć w przód, zamiast pogrążyć się we wspomnieniach. Zależne od nas jest jedynie tu i teraz. I tylko to jest prawdziwe — szepcze, łaskocząc oddechem moją szyję.

Uśmiecham się, czując szorstki zarost Michała na swoim policzku. Zamykam oczy i wdycham korzenny zapach, który stale wokół siebie roztacza. Opieram głowę na jego klatce piersiowej, zwijam się w kłębek i niemal natychmiast odpływam w błogi sen. Wciąż jestem świadoma, gdy ostrożnie mnie przykrywa i odgarnia kosmyk z mojego czoła, by złożyć na nim delikatny pocałunek.

Rozdział XV

Od dwóch godzin przeglądamy opasłe katalogi sukien ślubnych, ale Idzie żadna się nie podoba. Francuskie koronki i jedwabne tkaniny, skomplikowane hafty oraz kilkumetrowe treny, nawet złota nitka — nic nie robi na niej wrażenia. Ja zachwycam się co drugą z propozycji, a ona tylko wzdycha, zdegustowana moim spaczonym poczuciem estetyki.

— Wiesz, moja matka upiera się, że koniecznie muszę mieć śnieżnobiałą sukienkę — oznajmia. — Powtarza, że od współczesnych fanaberii ważniejsza jest tradycja. Ale ja w białym wyglądam jakoś mdło, nie uważasz?

Wzruszam ramionami.

— Nie wydaje mi się, ale to twój dzień, więc ostatnie słowo powinno należeć do ciebie. Może w takim razie powinnaś się zdecydować na kość słoniową?

— Zazdroszczę ci — mówi po chwili, ignorując moją sugestię, po czym przymyka trzymany w dłoniach magazyn. — Barmani to jedyny dowód na to, że faceci potrafią jednocześnie gadać i coś robić. Spójrz tylko na mojego Karola. Odkąd przyszłaś, praktycznie nie wychyla nosa z tych maili, zamiast mi coś doradzić. — Wzdycha, patrząc znacząco w jego stronę. — Karolu, czy byłbyś tak dobry i poświęcił kilka minut swojej narzeczonej? Już wolałabym, żebyś gapił się w mój dekolt niż w ten cholerny komputer!

Karol natychmiast odkłada laptopa, po czym niechętnie dołącza do nas na kanapie.

— Ale ja się na tym kompletnie nie znam — oświadcza z rezygnacją. — Zresztą chyba nie powinienem widzieć wcześniej twojej reakcji. Podobno to przynosi pecha, prawda?

Ida prycha z oburzeniem, krzyżując ramiona.

— Jeśli uważasz, że jakiś głupi przesąd jest w stanie zaszkodzić naszemu związkowi, to może nie ma sensu, żebyśmy...

— Ta jest piękna — przerywa jej, wskazując skromną suknię z lejącego materiału w kolorze écru.

— Zgadzam się. Jest idealna — wtrącam. — Cała reszta to przerost formy nad treścią.

— Czy wyście poszaleli?! — Ida łapie się za głowę, kręcąc nią z niedowierzaniem. — Mam wyglądać na własnym ślubie jak jakaś pierwsza lepsza druhna z zabitej dechami wiochy?

Przewracam oczami i spoglądam na Karola ze współczuciem.

— Prosisz mnie, żebym wyraził swoją opinię, a gdy tylko odważę się ją sformułować, pragniesz rozerwać mnie na strzępy — mówi ze spokojem. — Kochanie, zastanów się nad tym, jakie wysyłasz komunikaty, bo niestety są one całkowicie sprzeczne.

— Pewnie, masz rację! — Ida podnosi się, zgarniając ze stołu wszystkie katalogi. Podchodzi do komody, wrzuca je do jednej z szuflad i zamyka ją z głośnym trzaskiem. Odwraca się w naszą stronę, po czym oznajmia z promiennym uśmiechem: — Zbliżają się poświęteczne wyprzedaje, więc może po prostu kupię jakąś szmatę w sieciówce. Co wy na to?

— I to jest świetny pomysł — stwierdzam, udając, że nie słyszałam obecnej w jej głosie ironii. — To ślub, a nie koronacja, na miłość boską! Poza tym podobno pary, które wydają więcej kasy na przyjęcia weselne, częściej się rozwodzą.

Dziewczyna jęczy, chowając twarz w dłoniach.

— Ja z wami zwariuję — mamrocze.

Karol zerka na mnie z ukosa, uśmiechając się lekko.

— Ida, jestem tylko twoją przyjaciółką, a nie profesjonalnym doradcą

ślubnym — mówię ze śmiechem, wstając. Podchodzę do dziewczyny, by mocno ją przytulić, mimo jej protestów. — Mogę zaprojektować ci zaproszenia i pomóc w doborze muzyki, ale jak sama widzisz, na nic się zdam w kwestii kreacji. Nadal uważam, że nawet w zwykłej kiecce wyglądałabyś jak milion dolarów, ale jeśli naprawdę zależy ci na tych wszystkich ręcznie naszywanych kryształach i koronkach à la Elie Saab, to w porządku. Wybierzmy się do największego salonu ślubnego w mieście. Obiecuję, że jak przymierzysz stworzoną dla ciebie sukienkę, będziesz wiedziała, że to ta jedyna — dodaję, odsuwając Idę od siebie na odległość ramion. — Zgoda?

— Niech ci będzie — ustępuje, starając się zachować powagę. Wytrzymuje zaledwie kilka sekund, po czym wybuchą śmiechem. — Nie masz pojęcia, na co się piszesz!

Wzruszam ramionami.

— Jakoś dam radę. W końcu już to przerabiałam — mówię cicho, odwracając wzrok.

* * *

Biegnę korytarzem, zerkając na zegarek. Choć w szkole średniej byłam w sekcji pływackiej, a na studiach wkręciłam się w hatha-jogę, ostatnio jedynym uprawianym przeze mnie sportem jest jogging w szpilkach. Jednak mimo że uprawiam tę dyscyplinę prawie codziennie, nie odnoszę w niej imponujących sukcesów, bo zaaferowana kumulującymi się problemami nagminnie zapominam o utrzymywaniu odpowiedniego rytmu oddechu, przez co nawet teraz męczy mnie zadyszka. Wybiła właśnie osiemnasta, więc prawdopodobieństwo, że zastanę Roberta w jego biurze, jest bliskie zeru, ale mam do niego na tyle pilną sprawę, że się nie poddam.

— Robert? — wołam odrobinę zbyt głośno, pukając do drzwi. Kolega niemal natychmiast je uchyla, wpuszczając mnie do środka. — Jesteś jeszcze.

Miałam nadzieję, że cię spotkam.

— A ja o to zadbałem — odpowiada z ciepłym uśmiechem.

— Nie chcę ci przeszkadzać, ale...

— Nie przeszkadzasz. Usiądź, proszę — przerywa mi, podsuwając fotel. — Wiem, jutro przylatuje ten Niemiec i chciałaś dopytać, czy pamiętałem o materiałach promocyjnych.

— Zgadza się — mówię niepewnie, zajmując wskazane miejsce.

— Dziś rano odebrałem je z drukarni, tak jak prosiłaś. — Otwiera szafkę i wyciąga z niej karton wypełniony broszurami. — Sprawdziłem raz jeszcze z identyfikacją wizualną. Logotypy bez zarzutu, kolory firmowe się zgadzają, literówek też nie ma, więc wygląda na to, że możesz spać spokojnie — dodaje, kładąc pudełko na biurku, tak że owiewa mnie kojący zapach świeżego druku.

— Dziękuję. Nie mam pojęcia, co ja bym bez ciebie zrobiła — mamroczę, odchylając głowę do tyłu. Zaciskam powieki i wciągam głęboko powietrze do płuc, aż czuję kłujący ból w klatce piersiowej. — A co z briefem? — rzucam nagle, otwierając oczy.

— Czeka już w sali konferencyjnej — oznajmia łagodnym tonem. — Spokojnie, dasz radę.

— Przepraszam, może faktycznie trochę świruję. Mam już po prostu dość bycia firmową maskotką. Powoli zaczyna mnie wykańczać to ciągle wykorzystywanie mojej osoby — mówię, rozmasowując sobie skronie. — Staram się nie narzekać, ale chyba właśnie wyczerpałam pokłady zdolności aktorskich na najbliższą dekadę. To tylko kwestia czasu, aż dostanę paraliżu od uśmiechania się na zawołanie. Zobacz, jest dopiero poniedziałek, lada moment święta, a ja już mam dość.

— Wiesz, jak jest... Koniec roku, nóż na gardle, a trzeba dopiąć budżet. Szef doskonale wie, że świetnie radzisz sobie w spotkaniach twarzą w twarz

— stwierdza Robert i wstaje, by nalać mi wody. Wręczając mi szklanę, dorzuca: — Swoją drogą, obiecałaś mi ostatnio, że pogadasz z nim o podwyżce.

— Ach, tak. Rozmawiałam z nim kilka dni temu na ten temat — oświadczam, po czym pociągam duży łyk. Woda przyjemnie chłodzi mi przełyk. Wzdycham, posyłając mężczyźnie blady uśmiech. — Nie chcesz wiedzieć, co mi zasugerował.

— Że już dawno powinnaś była poruszyć tę kwestię? — mówi, opierając się biodrem o biurko tuż przy zajmowanym przeze mnie fotelu.

Prycham z rozbawieniem. Reakcja szefa nie mogła bardziej odbiegać od wyobrażeń Roberta.

— Zapytał, czy spodziewam się dziecka, bo jedynie desperacja związana z wpadką mogła mnie skłonić do tak absurdalnych pomysłów. — Obracam się nieznacznie, by móc spojrzeć Robertowi w oczy. — W skrócie, jeśli ktoś zasługuje na podwyżkę, to ci, którzy mają na utrzymaniu rodzinę, a nie młoda panienka, mogąca przeznaczyć całą pensję na własne zachcianki. Nie omieszkał dodać, że powinnam być mu wdzięczna do końca życia, że przyjął mnie do pracy prosto po studiach, z minimalnym doświadczeniem. Oczywiście przy okazji dorzucił mi parę rzeczy do zrobienia. — Wzdycham, dostrzegając zmartwienie malujące się na twarzy kolegi. — Warto było spróbować, choć przez to nie mam nawet okazji przyjrzeć się bliżej tym wszystkim projektom, a już muszę lecieć na kolejne spotkanie.

Robert kładzie uspokajająco dłonie na moich ramionach, unosząc lekko kąciki ust.

— Domyślasz się, co teraz powiem, prawda?

— Wiem, wiem... Na moim miejscu pomyślałbyś o nowej pracy, bo przecież chyba nie zamierzam harować jak dziki osioł aż do emerytury — bąkam, przymykając oczy, bo mężczyzna zaczyna delikatnie masować mi kark.

Bezwiednie się uśmiecham, czując, jak moje mięśnie momentalnie się rozluźniają, a przez ciało przebiega przyjemna fala ciepła.

— Pamiętaj, pięknych jachtów nie buduje się po to, żeby stały w porcie. Jesteś za młoda, żeby się uszatkowywać — mówi półgłosem, a ja zastanawiam się, czy miał na myśli jedynie kwestie zawodowe.

— Ale każdy statek potrzebuje kotwicy — odpowiadam, nie otwierając oczu. — Powiedz mi, gdzie ja znajdę takiego drugiego Roberta?

Mężczyzna nagle zabiera swoje dłonie, jakby zorientował się, co właśnie się wydarzyło. Do mnie także dociera niestosowność tej chwili, ale już za późno, by można było uznać to za przypadek.

— Lepiej leć do domu poszukać swojej maski pracownika roku. Jutro może ci się przydać — oznajmia niskim, zduszonym głosem.

Potrząsam głową, by pozbyć się wrażenia, że zrobiliśmy coś złego. Podnoszę się z fotela i podchodzę do okna, zwiększając dystans między nami.

— Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki nie powiesz mi, co u ciebie — oświadczam, opierając się o parapet.

Robert krzyżuje ramiona, przywołując na twarz coś w rodzaju uśmiechu.

— A więc to był tylko pretekst, tak? Wyzaliłaś mi się, żeby zrobiło mi się przykro, a teraz pora na mnie?

— Nie zapominaj, że ty też mi coś obiecałeś — odpowiadam, nieznacznie przechylając głowę. — Chyba tylko informacja o tym, że wyprowadziłeś się od Moniki, jest w stanie poprawić mi teraz humor.

— Zatem na pewno ucieszysz się fakt, że wreszcie zebrałem się na odwagę i od piątku mieszkam u brata. Jacek ma dom na przedmieściach, więc muszę wstawać pół godziny wcześniej, żeby na czas dojechać do pracy, ale to nic w porównaniu z brakiem konieczności codziennego widywania mojej wkrótce ekszony. Gdyby nie ty, nie wiem, czy...

— Jestem z ciebie dumna — przerywam mu, lekko się uśmiechając.

Wzrusza ramionami, odwracając wzrok.

— Wybacz, że moje rady nie przynoszą równie wymiernych skutków.

— Na szczęście przyjaźń nie podlega ewaluacji. W odróżnieniu od tych bzdur — stwierdzam, patrząc znacząco na plik dokumentów, które zostawiłam na szafce przy drzwiach. Waham się, przechodząc obok Roberta, ale ostatecznie omijam go łukiem i rzucam lekko: — Do jutra.

* * *

Po powrocie do domu tak wytrwale żongluję arkuszami w Excelu, że dopiero burczenie w brzuchu skutecznie odciąga moją uwagę od tabel. Przerывam pracę jedynie po to, by zaaplikować sobie wzmożoną dawkę cukrów prostych, najlepiej w połączeniu z tłuszczami nasyconymi, ale niestety, w lodówce znajduję tylko serek wiejski, zeschniętą główkę sałaty i pół pomidora. Sama się dziwię, co w mojej kuchni robią tak zdrowe produkty.

Po tylu godzinach pracy nie mam zbyt dużych wymagań. W tym momencie do szczęścia wystarczyłby mi nawet słoik dżemu. Zerkam na zegarek, ale i on nie pozostawia złudzeń. Jest tak późno, że nie zdążę już wyskoczyć nawet na szybkie zakupy do osiedlowego sklepu.

Zamiast się poddać, z ociąganiem wracam przed komputer, by poszukać jakiegoś całodobowego dyskontu z dostawą do domu. Z trudem wygrywam z napływającymi łzami, gdy okazuje się, że najbliższy możliwy do zarezerwowania termin transportu to środa po południu. Wpatruję się tępo w monitor, tak długo, aż z apatii wyrywa mnie brzęczenie komórki. Mrugam kilkakrotnie, dostrzegając nadawcę wiadomości.

Uprzedziłam Michała, że mam mnóstwo pracy, więc najpewniej zobaczymy się dopiero w weekend, a on tak po prostu w poniedziałkowy wieczór pyta, jak mi idzie. Doprawdy, jak może mi iść?

Choć nie powinnam się teraz rozpraszać, natychmiast odpisuję.

Wykorzystując noc niezgodnie z jej przeznaczeniem, powinnam wyrobić się do rana. Oczywiście, o ile wcześniej nie umrę z głodu. Jeśli nie zamelduję Ci jutro o pomyślnym wykonaniu zadania, dzwoń od razu po śmieciarkę — na pogotowie będzie już za późno.

Odpowiedź przychodzi niemal od razu, lecz brzmi zupełnie inaczej, niż się spodziewałam.

Eseemesowanie z tobą przypomina palenie e-papierosa. Otwórz drzwi :-)

Wstaję, po czym siadam z powrotem i znów wstaję. Choć brzmi to absurdalnie, podchodzę do drzwi, narzucając po drodze na siebie błękitny szlafrok. Ostrożnie spoglądam przez wizjer, a moim oczom ukazuje się szeroko uśmiechnięty Michał, przestępujący z nogi na nogę. Pakunek w jego dłoniach sugeruje, że nieprzypadkowo znajduje się właśnie przed moimi drzwiami.

Rzucam przelotne spojrzenie w lustro, zawiązując pospiesznie szlafrok w pasie, po czym uwalniam włosy z absurdalnego upięcia, które nadawało mojej twarzy kreskówkowy wyraz.

— Naprawdę nie znudziło ci się jeszcze oglądanie mnie w wersji sauté? — rzucam, uchylając drzwi zaledwie na kilkanaście centymetrów. — I czy musisz ciągle zjawiać się bez zapowiedzi? — dodaję, nie zdejmując dłoni z klamki.

— Szkoda, że nie mam przy sobie kamery. Mogłabyś zagrać w reklamie snickersów — odpowiada, szczerząc się jak mały chłopiec. — „Głodny nie jesteś sobą”? Chyba tak to leciało.

— Bardzo śmieszne. Przepraszam cię, ale ja naprawdę nie mogę...

— Sobota wydawała mi się zbyt odległa, więc postanowiłem wpaść pod pretekstem przyniesienia ci czegoś. Ale spokojnie, Jagódko, już sobie idę — mówi niezrażony, wyciągając w moją stronę niewielkie naczynie owinięte

folią aluminiową.

Bezwiednie sięgam po pojemnik, wpatrując się w niego jak urzeczona. Żywię szczerą nadzieję, że zawiera coś nadającego się do skonsumowania. Coś, co nie jest sałatą i pomidorem. Ukradkiem odchylam sreberko, zerkając nieśmiało w stronę Michała.

— To tylko ciastka — oznajmia z uśmiechem, rozsuwając niepewnie kurtkę, jak gdyby się zastanawiał, czy wpuszczę go do środka. — Gdybym wiedział, że odpowiesz na moją wiadomość w tak dramatyczny sposób, przyniosłbym coś bardziej odpowiedniego.

Otwieram szeroko drzwi, zachęcając go do wejścia. Nie spuszczając wzroku z Michała, zdejmuję z naczynia kolejne warstwy folii, aż dostrzegam mnóstwo idealnie okrągłych makaroników i pięknie udekorowanych bez.

— Po prostu spróbuj — zachęca z uśmiechem, widząc moje niezdecydowanie.

Zdejmuje nie tylko kurtkę, lecz także bluzę, czym na moment odwraca moją uwagę od wypieków. Jakim cudem jemu zawsze jest tak gorąco? I jak mogłam wcześniej nie zauważyć, że włoski na jego przedramionach mają złotawy kolor?

Uciekam spojrzeniem, starając się uspokoić biegnące zbyt daleko myśli.

— Wiesz, ostatnio mam wrażenie, że moje życie składa się z samych poniedziałków... Wszystkie mają wyblakły, spłowiały kolor i pachną melancholią. Ciągle coś zaczynam i nigdy nie mam okazji skończyć — mówię, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu. — Cieszę się, że przyszedłeś, zabarwiając ten dzień intensywnymi odcieniami. Wbrew kalendarzowi dzięki tobie stał się mniej poniedziałkowy.

Michał odchyła głowę do tyłu, opierając się o ścianę.

— Moje życie za to zawiera tylko środy. Wszystko jest średnie, nijakie... Niby pełno odcieni, ale tak bardzo wymieszanych, że sam już nie wiem, jaki

kolor dominuje — kontynuuje w podobnym tonie. — Weekend jest tak daleko, że albo żyję wspomnieniami, albo złudzeniami dotyczącymi przyszłości. Właśnie dlatego przyszedłem tutaj. Żeby przestać się czuć zawieszonym gdzieś pomiędzy.

Spoglądamy na siebie jednocześnie, po czym szybko odwracamy wzrok.

— W takim razie może... — zaczynam niepewnie, wracając do niego spojrzeniem. — Co ty na to, żebyśmy spotykali się we wtorki?

Uśmiecha się szeroko, zerkając na moje dłonie, czym przypomina mi o kurczowo trzymanym przeze mnie naczyniu.

— Nie patrz tak na mnie! Nie ma mowy, bym tego dotknęła — mamroczę. — To małe dzieła sztuki.

— No dalej, robiłem je pół dnia z myślą o tobie — oznajmia, patrząc na mnie wyczekująco.

Poddaję się i wybieram po jednym z ciastek. Fioletowy makaronik jest przełożony jagodowym musem, natomiast chrupiąca beza kryje w sobie krem migdałowy i frużelinę malinową.

— Jak ty mnie rozpieszczasz. — Wzdycham, rozmarzona.

Oblizuję usta, by pozbyć się okruchów, czemu Michał przygląda się bez skrepowania.

— Mam w tym swój cel — mówi miękko, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. — Liczę, że zmienisz zdanie à propos czasu potrzebnego na zakochanie.

Przewracam oczami, opierając się o przeciwległą ścianę.

— Właśnie go przedłużyłeś o dobrych kilka miesięcy — mruczę.

— Jeśli taką karę przewidujesz za szczerłość, to w porządku, przyjmę ją z honorem.

Niewiele myśląc, odstawiam naczynie i z wolna podchodzę do Michała. Wmawiam sobie, że chcę tylko poprawić mu włosy, rozczochrane przez

pospieszne zdejmowanie ubrania. Waham się, widząc jego roześmiane oczy, śledzące każdy mój ruch. Gdy moja dłoń niepewnie wędruje ku jego twarzy, Michał obejmuje mnie w pasie i mocno do siebie przyciąga. Odgarnia włosy z moich ramion, a ja głośno wciągam powietrze. Czuję się niezręcznie, kiedy dotyka miejsca, w którym zaledwie kilka godzin temu spoczywały dłonie Roberta. Mam wrażenie, jakby wypaliły na moim ciele niewidzialny ślad. Nie mam wątpliwości, że ze strony mężczyzny był to zaledwie niewinny, przyjacielski gest, mający na celu uspokojenie moich zszarganych nerwów. Dlaczego więc czuję niepokój?

Michał marszczy brwi, dostrzegając moje niezdecydowanie. Mrugam kilkakrotnie, wrywając się z zamyślenia. Który to już raz trwonię teraźniejszość na jałowe rozważania? Przywołuję na twarz uśmiech i splatam dłonie na karku chłopaka, muskając ustami jego wargi. Początkowo zaskoczony, po chwili zanurza ręce w moich włosach i oddaje pocałunek. Smakuje dokładnie tak, jak się spodziewałam. Jak słony karmel, mięta i obietnica, której pragnę dotrzymać.

Gdy jakiś czas później odsuwamy się od siebie, na dworze pogasły już wszystkie latarnie.

Rozdział XVI

W piątek po południu Michał odbiera mnie z pracy. Tym razem wyjątkowo mnie uprzedził, więc zdążyłam na wszelki wypadek przemyśleć każdy element mojego ubioru, łącznie z koronkową bielizną. Choć raczej nie będę miała okazji mu jej zaprezentować, bo najpierw idziemy coś przekąsić, a wieczorem wybieramy się do Idy. Razem, po raz pierwszy jako para. Wciąż trudno mi w to uwierzyć, ale cieszę się, że przedstawię wszystkim oficjalnie Michała właśnie dziś wieczorem. Wcześniejsza wigilia z przyjaciółmi to jeden z moich ulubionych dni w roku i ten aspekt świąt, dla którego warto zaakceptować całą resztę.

Mroźny podmuch wiatru uderza mnie w twarz, gdy biegnę do samochodu po oblodzonym chodniku. Michał wychyla się zza kierownicy i otwiera mi drzwi od środka.

— Gdzie jedziemy? — pytam, zapinając pasy.

— Do najlepszej restauracji w mieście — oznajmia, nachylając się, by mnie pocałować.

Odpala silnik, ale zwleka z wrzuceniem biegu.

— Czyli? — pytam, opierając się o niego czołem. Jego ciepły oddech łaskocze moje policzki.

— Mojej kuchni — odpowiada, odsuwając się z uśmiechem.

* * *

— Stół bilardowy...? Poważnie? — rzucam z udawanym oburzeniem, obejmując wzrokiem salon w mieszkaniu chłopaków.

— A czego się spodziewałaś po dwóch facetach? Kominka i zestawu do robienia na drutach? — odpowiada ze śmiechem.

— Jeszcze mi powiedz, że zaadaptowaliście piwnicę na kręgielnię.

— Nie wpadliśmy na to, ale Damianowi na pewno ten pomysł się spodoba.

Przewracam oczami, usadawiając się na szarej, narożnej sofie. Michał przygląda mi się przez dłuższą chwilę, zanim zajmie miejsce tuż obok mnie.

— Mogę cię o coś zapytać? — zaczyna.

— Ktoś kiedyś mi powiedział, że takie pytanie to tylko idiotyczna próba uspokojenia własnego sumienia — droczyć się.

— Biorę to za odpowiedź twierdzącą — mówi, obdarzając mnie jednym z tych uśmiechów, przez które błyskawicznie przyspiesza mi tętno i zaczynam czuć, jak krew pulsuje w mojej klatce piersiowej. — A więc, skąd twoje zamiłowanie do whisky?

Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem.

— Przepraszam — mamrocze, odchylając się na oparcie, i biorę głęboki wdech. — Myślałam, że wykorzystasz sytuację i zapytasz o coś w stylu moich fantazji seksualnych, a ciebie interesuje whisky?

Wzrusza ramionami, przyciągając mnie do siebie.

— Nie pytam o rzeczy, które da się sprawdzić w praktyce.

Przewracam oczami, ale nie wyswobadzam się z jego objęć.

— To nie tak, że jestem wybitną znawczynią. Dorastałam razem z bratem i... — Przez moment się waham, zastanawiając się, jak wiele powinnam zdradzić. — I jego najlepszym przyjacielem. Uważali, że nikt tak naprawdę nie lubi krwistych steków, cuchnącego sera i whisky. Wiktor studiował medycynę. Sam pił sporadycznie i ciągle powtarzał, że alkohol zabija komórki mózgowie, a większość z nas nie ma ich za wiele. — Śmieję się. — Początkowo sięgałam po whisky na przekór. Wiesz, na złość babci odmrozę sobie uszy. Tak przekonująco udawałam, że nie jest taka zła, że aż mi posmakowała. I tak

zostało.

— Ten Wiktor był... jest dla ciebie kimś znacznie więcej niż kolegą brata, prawda? — mówi z napięciem w głosie Michał. — Mam wrażenie, że miałem okazję go poznać. Fan trójwarstwowego latte z syropem orzechowym i stu czterdziestoma siedmioma kroplami odłuszczonego mleka, zgadza się? To przez niego wtedy płakałaś...?

Patrzę na niego zaskoczona.

— Tak, Sherlocku, ale... Nie wiem, czy warto psuć ten wieczór kontynuowaniem tego tematu — szepczę, opierając głowę na jego ramieniu.

Gdy nie odpowiada, dociera do mnie, że nie chcę wznosić między nami bariery zbudowanej z kolejnych nieudomówień. Już i tak sporo przez nie straciliśmy. Otwieram usta, a wtedy wylewa się z nich nieprzerwany potok słów, tak że ledwo znajduję ułamek sekundy na oddech.

— Wiesz, niektórym ludziom wydaje się, że w trakcie pogoni za marzeniami są w stanie sprawić, by życie innych osób stanęło w miejscu. Łudzą się, że zdołają stworzyć zapasową kopię swojego dotychczasowego życia, na wypadek, gdyby coś poszło nie po ich myśli. Niestety, ludzkie uczucia nie są dyskami komputerów. Lubią ewoluować bez naszej wiedzy, a żadne z nich nie jest dane raz na zawsze. — Biorę głęboki wdech, zerkając na chłopaka. — Jedną z takich osób jest właśnie Wiktor.

Michał milczy, nie odrywając wzroku od okna. Podążam za jego spojrzeniem. Choć słońce już dawno zaszło, centrum miasta świeci się równie mocno jak w dzień. Hałaśliwe i pospieszne daje mieszkańcom poczucie, że uczestniczą w czymś istotnym. Że nigdy nie są sami.

— John Lennon powiedział kiedyś, że życie jest tym, co się dzieje, kiedy my jesteśmy zajęci snuciem planów. Wybacz mi moją szczerość, ale cieszę się, że twój eks nie miał o tym zielonego pojęcia — szepcze Michał, przyciągając mnie mocniej do siebie. — A jeśli chodzi o whisky... Od początku

wiedziałem, że żadna z ciebie koneserka.

Spoglądam na niego naburmuszona.

— Aż tak źle mi szło udawanie, że się na tym znam?

— Chivas Regal — mruczy mi do ucha, nie kryjąc rozbawienia.

Kręcę głową z niedowierzaniem, lekko się odsuwając. Czyżbym się przesłyszała?

— Nie w mówisz mi, że pod ukrytą przez ciebie etykietą butelki...

— Przysięgam. Gdy pierwszy raz się spotkaliśmy, polełem ci Chivas Regal.

Zaciskam powieki, by dać sobie chwilę na przeanalizowanie tej informacji. Zrozumiałam każde wypowiedziane przez Michała słowo, ale nie dociera do mnie ich sens. Nie mogę w to uwierzyć! To niemożliwe, bym zachwycała się znieprawdopodobnym przede mną szkockim mieszańcem. Wygląda jednak na to, że towarzystwo niektórych ludzi jest w stanie sprawić, by pewne rzeczy smakowały zupełnie inaczej.

— W porządku. Żałuję, że mi powiedziałaś, ale muszę jakoś to przełknąć — mamrocze, kładąc rękę na jego piersi. — W takim razie teraz moja kolej na kłopotliwe pytanie. — Zastanawiam się przez chwilę. — No więc... czy uważasz, że jako społeczeństwo zmierzamy w dobrą stronę?

— Poważnie? — Śmieje się, patrząc na mnie jak na kosmitkę.

Przytakuję, kiwając głową.

— Ale tylko w formie rozgrzewki! Później, niestety, nie będzie aż tak łatwo.

— No dobrze. A więc, globalnie czy regionalnie? — pyta.

— Nie spodziewałam się, że aż tak bardzo wczujesz się w rolę. Tylko nie wyskocz mi tutaj z przemową na temat pokoju na świecie, bo żadna z ciebie Miss Polonia — żartuję, szturchając go.

— Moja droga, ranisz me serce. — Wzdycha teatralnie. — A tak na poważnie... Cóż, moim zdaniem nie idziemy ani w przód, ani w tył. Powiedziałbym, że kręcimy się w kółko, zjadając własny ogon. Dajemy się

wieść przyzwyczajeniom, popełniając wciąż te same błędy. Trochę jak w *Stu latach samotności*.

Uśmiecham się, przyznając mu w myślach punkt, których zresztą i tak ma już nadwyżkę. Kolejny raz czuję, jakbym rozmawiała sama ze sobą. Gdyby ktoś zadał mi podobne pytanie, moja odpowiedź brzmiałaby niemal identycznie. Szybko przypominam sobie jednak, jaki temat pierwotnie chciałam poruszyć.

— Zatem... — zawieszam głos, momentalnie poważniejąc. — Michał, powiedz mi, ale tak szczerze, czy naprawdę nie istnieje dla ciebie nic ponadczasowego?

— Oprócz muzyki Sinatry...? — Udaje, że się głęboko zastanawia. — Może miód.

— Miód?! — dziwię się.

Wzrusza ramionami.

— Słyszałem, że może przetrwać nawet trzy tysiące lat. Podobno się nie psuje.

— W przeciwieństwie do relacji międzyludzkich?

Michał przytakuje, wpatrując się w przestrzeń o wiele większą niż ta, którą jestem w stanie dojrzeć.

— Trzy tysiące lat... — mówię powoli. — I pomyśleć, że ludzie mają problem, żeby wytrzymać ze sobą trzy lata. Dziwne z nas stworzenia.

— Nawet bardzo dziwne. Jesteśmy jak takie... emocjonalne second-handy. Choć przybywa nam doświadczeń, wciąż nie możemy przestać się porównywać. Do rodzeństwa, znajomych, siebie samych sprzed kilku lat. Chcemy coraz więcej, szybciej, intensywniej, pozostając w nieustannym rozdarciu pomiędzy stabilizacją a szaleństwem. — Zaciska powieki, owładnięty emocjami, z którymi nietrudno jest mi się utożsamić. — Gdybyśmy mogli, wystawilibyśmy nasze uczucia na serwisie aukcyjnym, żeby mieć pewność, że ulokowaliśmy je najlepiej. Najchętniej wrzucilibyśmy każdy

moment do porównywarkei cenowej. Może wtedy zniknęłyby wątpliwości, które bez przerwy tkwią gdzieś z tyłu naszej głowy. — Milknie na chwilę. — Zawsze znajdzie się ktoś zgrabniejszy, inteligentniejszy, bardziej zaradny życiowo...

— Od ciebie? Wątpię! — żartuję, muskając ustami jego policzek.

Chcę wyrwać go z zamyślenia, a ponieważ najlepszym sposobem na to jest szczypta przyziemności, wstaję i krzyżuję ramiona, patrząc na niego niecierpliwie.

— Nie chcę być niegrzeczna, ale ktoś obiecał mi pyszny, niezdrowy podwieczorek.

Michał uśmiecha się i również podnosi, po czym prowadzi mnie do swojego królestwa.

* * *

— Wyobraźcie sobie, ja tu leżę i odpływam od tego paskudnego znieczulenia, a ten się mnie pyta, czy nie leczył przypadkiem mojej matki w dziewięćdziesiątym ósmym! Bo pamięta, że jakaś kobieta miała taki sam uśmiech i to nie może być zbieg okoliczności. Gdyby mój ojciec to usłyszał, toby mu nie było tak wesoło. Stary romantyk się znalazł! Mógł zacząć od czegoś prostszego. Przecież ja wtedy nawet nie byłam w stanie sobie przypomnieć, jak mam na imię, a co dopiero wygrzebać z pamięci skrawki nie moich wspomnień! No powiedzcie mi, czy istnieje coś gorszego od gadatliwego dentysty? — Lekko wstawiona Ida kończy przemowę otwartym pytaniem do publiczności, odstawiając z impetem swój piąty już kieliszek wina. Moja rachuba może mieć jednak niewiele wspólnego z rzeczywistością, gdyż obserwując jej zachowanie, zyskuję coraz większą pewność, że zaczęła degustację jeszcze przed naszym przyjściem.

— Zbyt ciasne buty lub zbyt duże nadzieje? Choroba weneryczna?

Miesiączka podczas długo oczekiwanego urlopu albo wielki pryszcz pojawiający się na czole dzień przed ślubem? — wyrzucam z siebie na jednym wydechu.

Przyjaciółka przewraca oczami. Wie, że mogłabym tak ciągnąć w nieskończoność. W konkurencji czarnowidztwa nie ma ze mną najmniejszych szans. Bez słowa sięga więc po wino, ale kieliszek wypada jej z ręki i toczy się po dywanie. Widzę to w zwolnionym tempie, jak w tandetnym, niskobudżetowym filmie. Wszyscy wstrzymują oddech. Alkohol wylewa się na podłogę. Karol schyla się, by podnieść naczynie.

— Tej pani już podziękujemy — stwierdza, stawiając kieliszek w znacznej odległości od Idy.

— Ależ kochanie, kiedy mam się dobrze bawić, jeśli nie podczas kolacji z moimi wspaniałymi przyjaciółmi?! — protestuje ona, gwałtownie gestykulując. — Za rok o tej porze być może będę miała ciążowy brzusek i... rozstępy. — Krzywi się, nieświadomie zerkając na swój idealnie płaski brzuch. — Prawda, Ewelka? Powiedz mu, jak to jest! Koniec krótkich bluzeczek i długich wieczorów z butelką wina. Karolku, muszę pić na zapas, żeby mieć co wspominać podczas dwóch lat posuchy — dodaje i przechyla się, by podjąć kolejną bezskuteczną próbę dosięgnięcia kieliszka.

Ewelina potakuje odrobinę zbyt żywo, po czym puszcza do Karola oczko. Mężczyzna wzdycha, zdegustowany kobiecą solidarnością, która, biorąc pod uwagę szwankujący zmysł równowagi Idy, ujawnia się w niezbyt odpowiednim momencie. Pomimo braku sojusznika narzeczony nie ustępuje.

Dostrzegając powagę sytuacji, kładę rękę na kolanie Michała i nachylam się, by szepnąć mu do ucha:

— Chyba pora na deser?

Chłopak głośno chrząka, zwracając na siebie uwagę pozostałych.

— Może ktoś ma ochotę na tiramisu? — mówi niepewnie.

— Kupiliście tiramisu?! — Ida przenosi wzrok na Michała, porzucając nieudane próby wyrwania kieliszka z rąk narzeczonego. — Skąd wiedziałeś, że to mój ulubiony deser? — dodaje figlarnie, patrząc na barmana spod przymrużonych powiek.

— Wszyscy uwielbiają tiramisu — odpowiada niewinnie, wzruszając ramionami. — Zrobiliśmy je wspólnie z Jagodą — dodaje, szturchając mnie, choć mój wkład ograniczył się do oblizania łyżki z resztką kremu.

Prostuję się na krześle, nie wyprowadzając znajomych z błędu. Nikt jednak nie docenia moich przypuszczalnych zdolności kulinarnych, bo Ida natychmiast zmienia temat.

— Moi drodzy, czy wy tak w ogóle wiecie, co oznacza „tiramisu”? — woła euforycznie, z namaszczeniem akcentując ostatnią sylabę w nazwie deseru. — Poderwij mnie! Temu chłopakowi nie brakuje fantazji. — Odwraca się w naszą stronę i zatacza palcem łuk, celując we mnie. — Jeśli ty go nie poślubisz, musisz pozwolić zrobić to Eweli. Taki skarb powinien zostać w rodzinie! Zasugerowałabym też Julkę, ale ona chętnie zagięłaby parol na pewnego rozwodnika z dwójką uroczych maluchów. — Chwyta się kurczowo stołu, patrząc na mnie ze swawolnym błyskiem w oku. — Szkoda tylko, że facet jest zajęty zalecaniem się do innej.

Głośno wciągam powietrze, zastanawiając się, czy ktoś poza mną dostrzegł podtekst ukryty w nietaktownym żarcie Idy. Rozglądam się wkoło, ale wygląda na to, że tym razem mi się upiekło, bo wszyscy są zajęci przesuwaniem naczyń na przepełnionym stole, by zrobić miejsce na deser.

— To już nawet nie jest aranżowane małżeństwo, tylko zwyczajny handel ludźmi — mruczy Michał, splatając nasze dłonie pod stołem.

— Witaj w gronie przyjaciół Idy — szepczę, przywołując na twarz promienny uśmiech, po czym wstaję, by przynieść z lodówki porcelanowy półmisek.

* * *

Obecność niektórych osób, szczególnie w zestawieniu z wieloma butelkami wina i niepohamowanymi wybuchami śmiechu, jest w stanie wywołać niebywałe anomalie pogodowe. Tylko tak można bowiem wytłumaczyć fakt, że zgodnie zdecydowaliśmy się przenieść imprezę na gigantyczny balkon Idy. Choć jest druga połowa grudnia, nie zawracaliśmy sobie głowy okryciami wierzchnimi.

Nawet jeśli miałabym przypłacić tę chwilę anginą, nie ma mowy, bym z niej zrezygnowała. Tym bardziej że panowie odeszli właśnie na bok, by w spokoju wymienić się uwagami na temat gatunków tytoniu, zostawiając nas same.

— Mogłaś sobie darować te uwagi o Robercie — wyrzucam Idzie, gdy tylko Michał i Karol znaleźli się poza zasięgiem słuchu.

— Co ja znowu złego zrobiłam?! — Przyjaciółka chwiejnie podnosi się z krzesła, udając oburzenie.

— Dziwię się, jakim cudem udało się Karolowi przedostać przez mur okalający twoje serce — rzucam z przekąsem. — Naprawdę, nie ma w tobie ani krzty empatii!

Ewelina patrzy na nas, dezorientowana. Nie miała okazji poznać Roberta, a tym bardziej zaangażować się w jego prywatne sprawy, bo podczas imprezy zaręczynowej Idy opiekowała się przeziębionym synkiem. Przenosi więc teraz wzrok z niej na mnie i z powrotem, marszcząc brwi. Jakbyśmy walczyły właśnie na korcie tenisowym, zawzięcie przebijając piłkę na drugą stronę siatki, a ona nie miała pojęcia, o co toczy się set.

— Wyluzuj, skarbie. Podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie — mówi twardo Ida, po czym zbliża się do barierki i wspiera łokciami o poręcz, niebezpiecznie przechylając się do przodu. Choć pod wpływem chłodnego powietrza nieco wytrzeźwiała, zaczynam się o nią niepokoić. — Myślisz, że to pierwszy facet, którego żonka mało poważnie potraktowała tę całą

pompatyczną przysięgę? Pomyśl przez chwilę racjonalnie i postaw się na jej miejscu. Dwójka małych dzieci, do tego mąż pracoholik, brzuch przypomina rozciągnięty sweter, nawet cycki już nie te... — Ku mojej uldze stawia stopy z powrotem na płytkach, po czym obraca się w naszą stronę. — To była tylko kwestia czasu. Musiała sobie kogoś znaleźć na boku, żeby przestać się czuć, jakby była stworzona wyłącznie do celów prokreacyjnych i dbania o dom.

— Czy ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz?! — Kręcę głową z niedowierzaniem, przywołując w pamięci obraz przyjaciółki, wygłaszającej monolog o miłości będącej wspólnym pokonywaniem maratonu. — A może to tylko wytwór mojej wybujałej wyobraźni? Ewela, czy słyszałaś to samo co ja?!

— Dziewczyny, wybaczcie, ale nie stanę po stronie żadnej z was, bo nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi. — Przygryza wargi, wyraźnie tracąc cierpliwość. — Wygląda na to, że coś mnie ominęło. Czy któraś mnie łaskawie oświeci, kim jest Robert?

— Adoratorem Jagody, choć nasza przyjaciółka zdaje się to irracjonalnie wypierać — oświadcza Ida śpiewnym głosem, chodząc na palcach wzdłuż balustrady. — Wydaje jej się, że wymamrotanie kilku frazesów przed ołtarzem jest remedium na całe zło wszechświata.

— Nie mogę tego słuchać! Przypominam ci, że za kilka miesięcy sama będziesz z namaszczeniem wygłaszać tę pompatyczną przysięgę. Ciekawe, jak zareagujesz, gdy twój romantyczny maraton nagle zamieni się w sztafetę! — wołam za nią, tracąc resztki cierpliwości.

Zamiast odpowiedzieć, niedbale macha ręką i oddala się w stronę chłopaków. Może to i dobrze, bo jestem na nią wściekła, a szkoda byłoby zamienić ten miły wieczór w zażartą walkę. Poza tym nareszcie będę miała chwilę na spokojne opowiedzenie wszystkiego Ewelinie.

— Robert to mój kolega z pracy — mówię cicho, obracając krzesło tak, by

siedzieć naprzeciwko niej. — Dopiero po kilku miesiącach dowiedział się, że jego ukochana żona regularnie go zdradzała. Niemal go to zabiło... — Chyba nareszcie do mojego organizmu zaczyna docierać, że temperatura spadła poniżej zera, bo przeszywa mnie silny dreszcz. Widmo anginy staje się coraz bardziej wyraziste, ale otulam się tylko szczelniej żakietem, po czym kontynuuję: — Wydaje mi się, że gdyby nie praca, byłoby z nim o wiele gorzej. Kurczowo trzyma się obowiązków, starając się choć na moment o tym zapomnieć. Ale wiesz, jak jest... Im łatwiej emocje dają się zepchnąć na dno świadomości, tym trudniej jest, gdy wracają. A wracają zawsze, i to ze zdwojoną siłą.

— Chcesz powiedzieć, że to nie była jednorazowa przygoda? — Ewela odzywa się po chwili, patrząc na mnie z nieudawanym współczuciem.

Kręcę przecząco głową.

— Niestety, daleko temu do niewinnego kłamstewka. To było perfidne, systematyczne oszukiwanie. Jego żona wymykała się z domu, gdy tylko wrócił z pracy. Pod najróżniejszymi pretekstami. Nie dawała mu nawet zjeść spokojnie obiadu, tylko od razu zostawiała z dziećmi i listą rzeczy do zrobienia podczas jej nieobecności. — Wzdycham, jeszcze bardziej zniesmaczona komentarzem Idy. — Za moją namową wystąpił o rozwód, ale już wiadomo, że ta sprawa będzie się ciągnąć w nieskończoność. Monika wmawia mu, że dla dobra dzieci lepiej nie orzekać o winie, a Robert... Gdy tylko pojawia się temat maluchów, przestaje myśleć racjonalnie. Nietrudno się domyślić, że bez podania wyraźnego powodu sąd nie chce nawet słyszeć o rozwodzie. Szczególnie jeśli w grę wchodzi małoletnie potomstwo. Prawnicy oczywiście proponują separację, sugerując, że to normalne, że po latach uczucie trochę przygasa. — Wzdrygam się, wypowiadając na głos te brednie.

— Istny koszmar — ocenia Ewela, kładąc rękę na moim ramieniu, choć to

nie ja jestem osobą, która potrzebuje pocieszenia. Po chwili wyraz jej twarzy diametralnie się zmienia. Z troskanie ustępuje miejsca lekkiemu uśmiechowi. — Słuchaj, przecież ja znam naprawdę świetnego adwokata! Mój kolega z podstawówki pracuje w jednej z lepszych kancelarii w mieście. Może mógłby pomóc twojemu przyjacielowi?

— Sama nie wiem, czego on potrzebuje bardziej: pomocy prawnej czy trzeźwego myślenia — mamroczę.

— Na pewno nie zaszkodzi go z nim skontaktować — zawiesza głos, jakby przyszło jej coś jeszcze do głowy. — Wiesz, że chyba nawet mam w torebce jego wizytówkę? Poczekaj chwilę. — Podnosi się i szybkim krokiem wraca do środka.

Całkowicie przeszła mi ochota na nocne przesiadywanie na dworze, więc również wstaję z zamiarem wejścia do mieszkania, ale zatrzymuje mnie roześmiana Ida. Niemal wbiega we mnie, stając mi na drodze z Karolem i Michałem u boku.

— Jestem pod wrażeniem, jak długo wytrzymałaś na zewnątrz, zmarzluchu! Ciekawe, co to za myśli rozgrzewają cię od środka. — Puszczą do mnie oczko, wspierając się na ramionach chłopaków.

Nie podoba mi się, że wciąż ucieka się do niewybrednych żartów, zachowując się, jakby nasza sprzeczka się nie wydarzyła. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale w słowo wchodzi mi pojawiająca się w progu Ewela.

— Całe szczęście, że udało mi się znaleźć ten świstek! — Wyciąga w moją stronę wizytówkę, nie zważając na to, że mamy publiczność. — Dasz wiarę, że przy okazji natknęłam się w torebce na ulubioną grzechotkę Czarusia? W jego mniemaniu jest już prawie dorosłym facetem, więc obraziłby się na mnie nie na żarty, że wciąż jestem w posiadaniu kompromitujących go akcesoriów! — Śmieje się. — Przekaż tę wizytówkę Robertowi i oczywiście powiedz, żeby powołał się na mnie. Naprawdę nie ma na co czekać, gdy w grę wchodzi

przyznanie opieki nad dziećmi.

— Nie wierzę! — prycha Ida, przewracając oczami. — Czy wyście oszalały? Zupełnie nie rozumiem, co wy wszystkie w nim widzicie! Ewela, doprawdy, teraz tobie zaczęło zależeć na wdzięczności tego bufona?!

Mężczyźni unoszą brwi, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, po czym wpatrują się w nas z konsternacją. Głupio mi, że kłócimy się o tak oczywistą sprawę, i to tylko dlatego, że Ida pełna jest irracjonalnych uprzedzeń. Mam świadomość, że jest w tym także sporo mojej winy. Może niepotrzebnie zwierzałam jej się z wszelkich dręczących mnie rozterek, również tych, które pojawiały się w mojej głowie tylko na moment, by chwilę później zniknąć na dobre. Nic dziwnego więc, że ma problem z interpretacją niektórych sytuacji. Do niedawna ja sama go miałam.

— Ida, przykro mi, ale czerwone wino niezbyt ci służy — rzucam lekkim, pojednawczym tonem, po czym biorę głęboki wdech i przenoszę spojrzenie z przyjaciółki na Michała. — Niestety, obie mamy skłonności do przesadzonych reakcji — mówię cicho, nie odrywając wzroku od jego oczu. — Jak to jest, że im bardziej czyste ma się intencje, tym mocniej się obrywa?

Gdy odpowiada mi szerokim uśmiechem, cała reszta przestaje się liczyć.

* * *

Pomimo nieporozumienia z Idą wczorajsza noc była tak wspaniała, że wcale nie obraziłabym się, gdyby nie przyszedł po niej dzień. Tym bardziej, jeśli jest to dzień, w którym zmuszona jestem stawić czoło wszystkim problemom, od których z lepszym lub gorszym skutkiem udawało mi się uciekać przez ostatni rok.

Niestety, promienie słońca nieubłaganie wdarły się przez okna, które w poimprezowym uniesieniu zapomniałam przysłonić roletami. W brutalny sposób rozwiewają wszelkie moje wątpliwości. Oto nadeszła Wigilia. Czas

zadumy i kąśliwych uwag, skrywanych pod płaszczykiem cennych rad. Śmierć karpia i złudzeń, że kiedykolwiek będę w stanie spełnić oczekiwania mojej rodziny.

Jęcę, przeciągając dłońmi po twarzy. Wystarczy tylko zwlec się z łóżka i poczłapać pod prysznic, bo prezenty czekają spakowane już od miesiąca. Zawsze staram się załatwić to w listopadzie, gdyż cierpię na poważną alergię na galerie handlowe w grudniu. To nietypowa choroba, objawiająca się ledwo powstrzymywaną chęcią mordy wszystkich osób, które raczyły się znaleźć przede mną w gigantycznej kolejce. Zresztą nie musiałam czekać z tym aż do Gwiazdki także dlatego, że nie potrzebowałam zbyt wiele czasu do namysłu. Kupione przeze mnie rzeczy są kalką sprawdzonych podarunków z poprzednich lat. Również w tej kwestii nie jestem w stanie sprostać wymaganiom krewnych.

Jednak nawet i od tej zasady istnieje pewien wyjątek, bo moja kreatywność nie zna granic, jeśli chodzi o prezenty dla najbliższych przyjaciół. O ile Idę zachwyca wszystko, co ma logo jakiegoś projektanta, a Ewelę zadowala coś praktycznego, ale w dobrym guście, o tyle w tym roku miałam spory problem z Michałem. Moje myśli dryfowały najpierw wokół kompletu starannie wyselekcjonowanych, trudno dostępnych winyli, które mogłyby wzbogacić jego niemałą kolekcję, ale w końcu znalazły spokojną przystań w designerskim sklepie z gadżetami kuchennymi. Sympatyczny sprzedawca przekonał mnie, że zestaw minimalistycznych, czarnych noży ze stali nierdzewnej z antypoślizgową rękojeścią w eleganckim, drewnianym bloku to najlepszy wybór. Osobiście nie mam pojęcia, na co komu aż tyle noży, tak ostrych, że są w stanie zabić nawet przy beztróskim krojeniu szczypiorku, ale nie zamierzałam się kłócić ze specjalistą.

Siadam na łóżku i przeciągam się, głośno ziewając. Pora przygotować się do corocznej farsy.

Rozdział XVII

Do domu pojechałam pociągiem, choć Michał uparcie nalegał, żeby mnie odwiedzić. Sam wybierał się autem do swoich dziadków, więc musiałyby tylko odrobinę zboczyć z trasy. Okazało się, że dom rodzinny jego matki znajduje się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym się wychowałam. Udało mi się jednak go przekonać, że przyda mi się chwila dla siebie, by móc w spokoju zebrać myśli.

Samotne podróże zawsze nastrajały mnie nader optymistycznie. Uwielbiam siedzieć przy oknie, opierając rozgrzane na co dzień intensywnym myśleniem czoło o chłodną szybę. Bezrefleksyjnie wpatrywać się w to, co za mną lub przede mną. Obserwować, jak krajobraz złożony jedynie z ośnieżonych pól, zamarzniętych sadzawek i zachmurzonego nieba zmienia się jakby od niechcienia, i choć przez chwilę nie musieć dokonywać żadnych wyborów i analizować ich skutków. Miarowy stukot kół pociągu w połączeniu z przyciszonymi rozmowami współpasażerów działa na mnie bardziej uspokajająco niż jakikolwiek środek nasenny.

Nie uprzedziłam rodziny, o której się pojawię, więc na stacji kolejowej nikt na mnie nie czeka. Drogę do domu pokonuję powolnym spacerem, za jedyne towarzystwo mając mroźny wiatr, niosący drobne płatki śniegu. Wielokrotnie się zatrzymuję, chcąc dobrze się przyjrzeć wszystkim miejscom, które lata temu tak mi było żal opuszczać. Zamiast stawu pokrytego grubą taflą lodu, porysowanego przez ostrza dziesiątek łyżew, dostrzegam jednak zarośnięte bajoro. Plac zabaw, niegdyś wypełniony dziecięcym śmiechem, teraz przypomina wysypisko śmieci. Nawet trzepak, który kiedyś niemal skłonił mnie do rozpoczęcia kariery akrobatycznej, obecnie przywodzi na myśl kadr

z horroru.

Odwracam wzrok i przyspieszam kroku, nie chcąc dopuścić do całkowitego wyblaknięcia wciąż żywych wspomnień.

* * *

Nie zdążam nawet wdrapać się po przykrytych kołderką białego puchu, marmurowych schodach, a już uchylają się drzwi. Matka staje w progu z założonymi rękami, patrząc na mnie bez cienia uśmiechu. Mierzy mnie surowym wzrokiem od stóp do głów, przyznając mi znikomą liczbę punktów w znanych tylko sobie kategoriach. Robi to na tyle niedyskretnie, bym zdała sobie z tego sprawę.

Bez mrugnięcia wytrzymuję jej spojrzenie.

— Wesołych świąt, mamó — mówię, patrząc jej głęboko w oczy.

Krzywi się, jakbym śmiertelnie ją obraziła, poprawiając nerwowo zdobiący jej szyję sznur pereł. Kosztowna biżuteria w połączeniu z błękitną, dobrze skrojoną garsonką i krótkimi, ufarbowanymi na blond włosami nadaje jej wygląd królowej Elżbiety II.

Nigdy nie nazywa mnie córką, nie stosuje też żadnych zdrobnień. Upiera się również, żebym w towarzystwie nie zwracała się do niej per „mama”. Wydaje jej się, że dzięki temu jest w stanie zatrzymać upływ czasu, zahamować siwienie włosów i opóźnić pojawianie się zmarszczek. Oczekuje, że będę mówiła do niej wyłącznie po imieniu, jakby bojąc się przyznać, że przez dziewięć miesięcy nosiła mnie pod swoim sercem.

— Mogłabyś sobie ufarbować włosy na jakiś wesoły kolor, zamiast rokrocznie zmuszać wszystkich do oglądania tego nudnego brązu — oświadcza z dezaprobatą, wpuszczając mnie do środka.

— Dla niektórych jest to głęboki odcień prawdziwej gorzkiej czekolady, zawierającej minimum siedemdziesiąt procent miazgi kakaowej —

odparowuję, przywołując nietypowy komplement Michała. — Podobno w słońcu mieni się refleksami przywodzącymi na myśl chrupiącą warstwę na szczycie crème brûlée — dodaję, odstawiając na bok niewielką walizkę.

Nie patrząc matce w oczy, zdejmuję kaszmirowy szal i ze stoickim spokojem odkładam go na zwykle pustą, przeznaczoną dla gości półkę. Świadoma wbitego we mnie bacznego spojrzenia, śledzącego każdy mój ruch, powoli rozpinam płaszcz, ukazując czarną, elegancką sukienkę, na której wyjątkowo staranne wyprasowanie poświęciłam dziś rano dobrych kilka minut. Swoją drogą, do tej pory się dziwię, że tak szybko udało mi się zlokalizować zapomniane żelazko, które walało się na dnie szafy obok podniszczonych, podobno niegdyś białych trampek.

— Wyglądasz jak anioł śmierci — słyszę zza pleców wyrzut matki, która obróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła przed siebie, znikając w głębi korytarza.

Zaciskam powieki, opierając się o framugę drzwi. Witaj w domu.

* * *

Stoję w progu mojego pokoju z dzieciństwa, głośno wciągając powietrze. Pomieszczenie przypomina dziwaczne muzeum. Choć nie byłam tu od roku, zupełnie nic się nie zmieniło. Te same plakaty „wielkiej czwórki z Seattle” wciąż wiszą na ścianach, nic nie robiąc sobie z faktu, że nikt już nie słucha grunge’u. Nawet ramki ze zdjęciami znajdują się w identycznej konfiguracji, prezentując moją przemianę z zamyślanej okularnicy z aparatem na zębach w zadowoloną z życia, szeroko uśmiechniętą dziewczynę, obejmującą niebieskookiego chłopaka z zaczesanymi do tyłu blond włosami.

Przysiadam na brzegu łóżka, by następnie odchylić się do tyłu, zaciskając powieki. Przez moment czuję, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała. Jakbym wciąż czekała na wyniki matur, znajdując się na rozdrożu dróg. Tym razem

jednak ścieżki te nie są wydeptane, lecz co najwyżej przeleżane w poczuciu bezsensu. Wolno otwieram oczy i wtedy orientuję się, że tak naprawdę nic nie jest tu tym, czym było.

Z apatii wyrywa mnie dopiero brzęczenie telefonu. Marszczę brwi, dostrzegając imię, które pojawiło się na wyświetlaczu. Czyżby Ida postanowiła dolać oliwy do ognia? A może wręcz przeciwnie, zamierza wyciągnąć do mnie rękę na zgodę? Od wczorajszego wieczoru minęło chyba jednak zbyt mało czasu, by zdążyła zmienić zdanie.

Niezależnie od tego, jaka jest jej motywacja, decyduję się odebrać połączenie.

— Cześć — mówię chłodno.

Na moment zapada niezręczna cisza. Dziewczyna odchrząkuje, wyraźnie bijąc się z myślami. Być może spodziewała się większej rozmowności z mojej strony, ale nie zamierzam jej niczego ułatwiać.

— Wszystko w porządku? — dobiega mnie nienaturalnie cichy głos Idy.

Wzruszam ramionami, mimo że przyjaciółka nie może tego zobaczyć. Wpatrując się w swoje skrzyżowane, odziane w rajstopy nogi, odpowiadam:

— Bywało lepiej.

Swoją drogą, wełniane rajstopy są jednym z bardziej przełomowych wynalazków ludzkości. Tylko dzięki nim nie odmroziłam sobie kończyn w trakcie dłuższego niż zwykle spaceru do domu. Oczywiście mogłabym podróżować w bardziej odpowiedniej odzieży niż czarna, ołówkowa sukienka. Nie chciałam jednak prowokować niepotrzebnych komentarzy matki, bez których zresztą i tak się nie obyło. Gdybym przekroczyła próg domu w wygodnych dżinsach, powiedziałyby z wyrzutem, że nie mam już piętnastu lat.

Szkoda. Wtedy jeszcze mogła się łudzić, że zostanę kimś — nie mając naturalnie na myśli spełnionej, niezależnej kobiety, lecz niesamodzielną istotę,

oplecioną jak bluszcz wokół swojego mężczyzny. Bluszcz, który może i na moment rozkwita, ciesząc oko żywą zielenią, ale zaraz szybko usycha.

— Posłuchaj, jeśli chodzi o wczoraj... — urywa Ida, szukając odpowiednich słów. — Chyba trochę przesadziłam, prawda?

— Nie da się ukryć — odpowiadam, po czym usadawiam się wygodniej na łóżku. Wygląda na to, że szykuje się długa rozmowa.

— Ja po prostu... Skarbie, znam twoje autodestrukcyjne skłonności, więc czuję się w obowiązku bronięcia cię przed samą sobą. To nie moja wina, że zarówno jeśli chodzi o życie zawodowe, jak i prywatne, masz naturalną skłonność do podejmowania decyzji, które nie podobają się nikomu innemu.

— Które nie podobają się tobie — poprawiam ją.

Wzdycha ciężko.

— Przecież wiesz, że chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.

— Wiem, Ida. Wiem. — Opieram się o ścianę i zamykam oczy. — Ale nie mogę mieć wszystkiego, nikt nie może. Chyba już nawet nie chcę. Może i nie jest idealnie, ale jest dobrze, Ida. Koniec z byciem żeńską wersją Don Kichota. Przekonałam się na własnej skórze, że w pojedynku fantazji z rzeczywistością to rzeczywistość zawsze triumfuje. Zamiast poetyckich uniesień otrzymuje się co najwyżej prozę życia. Jedyne, co można zrobić, to nauczyć się, jak ją czytać, nie tracąc zainteresowania.

Przyjaciółka przez moment się nie odzywa. W trakcie tej jednej rozmowy potrzebuje na zebranie myśli więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej. W przeciwieństwie do mnie ponieważ ja chyba jeszcze nigdy nie widziałam wszystkiego tak wyraźnie.

Gdy po chwili przerywa milczenie, w jej głosie słychać wahanie i odrobinę żalu.

— Wiesz, dopiero teraz dotarło do mnie, jak bardzo się ostatnio zmieniłaś.

— Czy to źle? — pytam z napięciem.

— Nie. Po prostu... inaczej. — Bierze głęboki wdech, po czym głośno wypuszcza powietrze z płuc. — Ale między nami to niczego nie zmienia, prawda?

— Skądże — odpowiadam z lekkim uśmiechem. — Oczywiście tak długo, jak długo wytrzymasz z nienarzucaniem mi swojej wersji rzeczywistości. Szczególnie jeśli chodzi o moich przyjaciół, których ledwie znasz. Byłabym wdzięczna, gdybyśmy nie wracały już do tematu Roberta, dobrze? — mówię, a w myślach dodaję: „Wystarczy, że ja sama będę, ilekroć zetknę się z nim w pracy, czyli codziennie”.

— Dlaczego brzmi to jak jakieś potworne, niemożliwe do spełnienia postanowienie noworoczne? — mamrocze.

Z trudem utrzymuję powagę, wyobrażając sobie cierpiętniczy wyraz twarzy przyjaciółki.

— Nic, co tyczy się przyszłego roku, nie jest w stanie zadziwić mnie bardziej niż fakt, że wychodzisz za mąż — oświadczam śmiertelnie poważnym tonem.

Ida wybuchła śmiechem. Chwilę później w słuchawce słyszę krótką szamotaninę, a następnie dobiega mnie wesoły głos Karola:

— Nie kłóćcie się już więcej, co? Ida od rana chodzi jak struta. I wcale nie mam na myśli tylko tego, że wczoraj przesadziła z winem. Nie ma nic gorszego niż kac zmieszany z wyrzutami sumienia. Dopiero teraz udało mi się ją namówić, żeby do ciebie zadzwoniła... — urywa gwałtownie, by zaraz potem jęknąć: — Aua, zostaw mnie! I tak jej powiem, że ma rację!

Śmieję się, przywołując obraz przyjaciół wrywających sobie telefon z rąk.

— Nie słuchaj go! — rozlega się w słuchawce stłumiony okrzyk Idy, po czym na moment zapada cisza.

Widocznie Karol wygrał zaciętą walkę, bo chwilę później słyszę go bardzo wyraźnie. Kiedy dociera do mnie znaczenie wypowiedzianych przez niego

słów, zyskuję pewność, iż uzyskał przewagę nad Idą dzięki temu, że przemoc poszła w odstawkę, a w jej miejsce pojawiła się rzeczowa argumentacja.

— Znam skłonność mojej narzeczonej do ubarwiania rzeczywistości, więc przyznaję, że z pewnym dystansem podszedłem do jej rozpaczliwej opowieści o wyzyskującym biedne kobiety potworze, jakim podobno jest ten twój Robert, i muszę stwierdzić, że masz absolutną słuszość. Swoją drogą, dobrze robisz, dziewczyno, stawiając się mojej Idzie. Jeśli nie my dwoje, to nikt się nie odważy! — Śmieje się.

Oczywiście wyobraźni widzę, jak przyjaciółka krzyżuje ramiona, patrząc na niego wymownie z uniesioną brwią. Facet ma przechłapano, ale cieszę się, że dokłada wszelkich starań, by ułatwić nasze pojednanie.

— Zachowała się paskudnie i tyle. Ale za bardzo ją kochamy, by się na nią długo gniewać, mam rację? — dodaje jeszcze.

— Trudno się nie zgodzić — odpowiadam z uśmiechem.

— Korzystając z okazji... — zaczyna niepewnie Karol. — Trochę mi głupio, bo nie wiem, czy bierzesz czynny udział w tej wojnie, zresztą, to nie moja sprawa, ale... Julia prosiła mnie, żebyś przekazała swojemu koledze najlepsze życzenia — przerywa, by odchrząknąć. — Wiesz, aby przyszły rok okazał się dla niego lepszy od obecnego. I dużo miłości, cokolwiek miała na myśli.

— Bez obaw, nie jestem zaangażowana nawet w najmniejszą bitwę. — Oddycham z ulgą, uświadamiając sobie, że to prawda. — A Robertowi na pewno będzie bardzo miło. — Zerkam na zegarek, orientując się, że zaraz spóźnię się na kolację. — Okej, koniec tych czułości. Muszę lecieć, widzimy się w sylwestra. Dzięki za telefon. Wesołych świąt, dzieciaki! — mamrocze, po czym rozłączam się i zeskakuję z łóżka.

* * *

— Jesteś pewna, że chcesz zjeść jeszcze jeden kawałek? Wydaje mi się, że trochę się ostatnio zaokrągliłaś — słyszę oschły głos matki, dobiegający z drugiego końca stołu.

— Wyborna ryba, naprawdę. Sama przyrządziłaś? — pytam, wbijając widelec w kolejną porcję dorsza, choć mam świadomość, że wszystkie dania zostały zamówione w tej samej co zawsze restauracji.

Zapada cisza, przerywana jedynie przez szcęk sztućców, spokojną melodię kolęd w instrumentalnych aranżacjach oraz ciche trzaskanie ognia w kominku. Nieznacznie fałszujące skrzypce idealnie oddają mój obecny nastrój. Adam taktownie milczy, rzucając mi zmartwione spojrzenie nad srebrną patelnię z ciastami. „Wiesz, jaka jest matka” — zdaje się brzmieć jego niewerbalny komunikat. Marcelina, jego świeżo upieczona narzeczona, udaje, że nic się nie dzieje. Nie zdążyłam jeszcze zamienić z nią słowa, ale już wiem, że zupełnie do niego nie pasuje. Na pewno nie zaskarbiłaby sobie sympatii tego Adama, który zaplatał mi warkocze i czytał bajki przed snem. Adam doktorant wydaje się jednak zaledwie jego cieniem, który wkrótce już całkiem wyblaknie.

Ojciec także się nie odzywa. Mechanicznie operuje sztućcami, patrząc przed siebie obojętnym, nieobecny wzrokiem. Podejrzewam, że myślami jest daleko od stołu, gdzieś w umowach handlowych i fakturach, stanowiących sens jego życia.

Nagle gospodyni odkłada filiżankę z takim poirytowaniem, że aż wylewa jej się trochę herbaty na spodek. Wiem, że chciałyby zapytać o coś jeszcze. Wiem nawet o co.

— No dalej, nie krępuj się. Zapytaj o niego — mówię, po czym pakuję do ust pokąsany kęs ryby.

— Doprawdy, trzeba być tobą, żeby odrzucić taką partię! — rzuca gniewnie, mnąc w dłoni lnianą serwetkę. — Co ci, do cholery, strzeliło do łba?!

— Jaka szkoda, że każdy z nas ma tylko jedno życie, prawda? I choćby nie wiem, jak bardzo tego pragnął, nie może go przeżyć za nikogo innego — odpieram, starając się zachować zimną krew.

— I to dla jakiegoś nieudacznika, który, nie wiedzieć czemu, zawrócił ci w głowie?! — kontynuuje, niezrażona. — Powiedz mi, czy to prawda, że spotykasz się z jakimś, pozał się Boże, bufetowym?

Zastygam z widelcem w połowie drogi do ust. Niespiesznie go odkładam i sięgam po serwetkę, zmuszając się do oddychania. Każda cząsteczka mojego ciała wrywa się do ucieczki, ale nie zamierzam dać matce tej satysfakcji.

Nie zważając na to, jak wielu mamy świadków, kobieta ciągnie, coraz bardziej podnosząc głos.

— Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że potrzebujesz kogoś na swoim poziomie, kogoś, kto będzie w stanie zapewnić ci...

— A od kiedy ciebie interesuje, czego ja potrzebuję? — mówię cicho, nie odrywając wzroku od śnieżnobiałego, żakardowego obrusu. — Mam już dosyć, rozumiesz? Powinnaś być ze mnie dumna. Skończyłam studia z wyróżnieniem, mam przyzwoitą pracę i cudownych przyjaciół. Jestem szczęśliwa, słyszysz? — Gwałtownie wstaję od stołu, spoglądając na brata przeproszająco. — Adaś, naprawdę się starałam, ale dłużej nie dam rady. — Obracam się, przenosząc wzrok na rodziców. — Przykro mi, tato, że nie okazałam się wystarczająco ważna. Wybacz, mamo, że nie jestem twoim ulubionym dzieckiem — dodaję gorzko, kierując się w stronę drzwi.

W pośpiechu wkładam kozaki i narzucam płaszcz. Nie mam pojęcia, co robię, ale muszę się znaleźć jak najdalej od tego salonu i obrzydliwej, pogardliwej wyższości.

Wybiegam. Nikt mnie nie zatrzymuje. Przez moment słyszę tylko bicie własnego serca i ciche skrzypienie śniegu pod stopami. Nasilający się wiatr płącze moje włosy, których nie zdążyłam upiąć. Choć moje dłonie bardzo

szybko marzną, nie żałuję, że nie zabrałam rękawiczek. Część mnie chce, aby rozpętała się burza śnieżna, a ja utknęłabym w niej, nie mogąc trafić do domu.

Długo spaceruję z rękami wbitymi w kieszenie, wpatrując się w granatowe, zasłane ciężkimi chmurami niebo. Nagie gałęzie układają się na nim w skomplikowany wzór, tworząc osobliwy baldachim. Pałętam się pod nimi jak zeschnięty, nikomu niepotrzebny liść. Jak jabłko, które spadło całe lata świetlne od jabłoni.

Zaczynam się zastanawiać, jak potoczyłoby się dalej moje życie, gdyby pisano o nim książkę. Prawdopodobnie mama by poważnie zachorowała, a tata przeszedłby na wcześniejszą emeryturę, aby móc się nią zaopiekować. Wbrew ostrzeżeniom lekarzy wyjechaliby do Indii na miesiąc, a może nawet spędziliby tam pół roku. W obliczu realnych problemów przypomnieliby sobie, dlaczego się w sobie zakochali, i przeżyliby drugą młodość.

Stawiam jednak dziesięć do jednego, że moja nigdy niepracująca matka przeżyje nas wszystkich, a ojciec po prostu któregoś dnia zrobi sobie drzemkę na kanapie podczas przerwy na lunch i nigdy się z niej nie obudzi. Oboje dożyją dziewięćdziesiątki i odejdą, tak naprawdę nigdy nie żyjąc. To takie smutne, że aż na moment tracę oddech.

Co chwila to wyciągam, to chowam z powrotem telefon. Wreszcie, wygrywając walkę z wyrzutami sumienia, że przerwę Michałowi miły wieczór z rodziną, skostniałymi palcami wystukuję szybkiego SMS-a.

Jeśli możesz, przyjedź po mnie, proszę.

Dopiero teraz zatrzymuję się, by dokładnie zapiąć płaszcz i osłonić się przed zimnem. Chowam ręce z powrotem do kieszeni, po czym powolnym krokiem kieruję się w stronę domu. Na szczęście nie zdążyłam się nawet rozpakować.

Rozdział XVIII

— Amelko, chciałbym ci przedstawić Jagodę. Jest moją... bliską przyjaciółką.

Nastolatka patrzy na mnie z rezerwą. Na jej pokrytej delikatnymi piegami twarzy miesza się wiele emocji. Uderza mnie to, jak bardzo podobna jest do brata. Ma takie same włosy w kolorze miodowy blond i brązowe, zamyślane oczy.

Przez chwilę stoi na schodach prowadzących na piętro, nie ruszając się z miejsca. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie rezygnuje. Zaraz potem wbiega na górę, obdarzając Michała nieodgadnionym spojrzeniem.

— Na pewno się dogadacie — mruczy on.

Niestety nie mam okazji, by wyartykułować swoje wątpliwości w tej kwestii, bo chłopak prowadzi mnie w stronę kuchni.

— Przepraszam, że zjawiam się tak niespodziewanie — zaczynam, gdy tylko znajduję się w zasięgu wzroku jego dziadków. — Mówiłam Michałowi, że nie powinien przywozić mnie tu bez zapowiedzi, ale...

Starsza kobieta stanowczo zaprzecza, zamykając mnie w czułym uścisku.

— Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać! Michałek tak rzadko tu kogoś przyprowadza. — Odsuwa mnie na odległość ramion, lustrując z przyjaznym uśmiechem moją twarz. — Śliczna dziewczyna, jak z obrazka! — rzuca do wnuczka na tyle głośno, bym to usłyszała.

Chłopak mruga do mnie porozumiewawczo, a ja mimowolnie się rumienię.

— Usiądź, kochanie. Jesteśmy już po kolacji, ale na szczęście zostało jeszcze mnóstwo pierogów — kontynuuje, robiąc mi miejsce przy stole, po

czym stawia na nim talerz z rantem przyozdobionym słonecznikami. — Zjesz barszczu z uszkami? Takiego, jak nasz Michał robi, to nawet ja nie potrafię ugotować, a wierz mi, skarbie, że w kuchni spędziłam całe lata! Udał nam się wnuczek — oznajmia z dumą, poklepując chłopaka po ramieniu.

— Babciu, a kto mnie nauczył gotować? — odpowiada wesoło Michał, całując ją w rumiany policzek.

— Franek, nastaw no, proszę, wodę na herbatę! Dziewczyna musi się rozgrzać — mówi kobieta, klaszcząc w dłonie, po czym puszcza do mnie oczko.

Kręcę głową z niedowierzaniem, siadając przy pokrytym kolorową ceratą stole. Myślałam, że to domena oderwanych od rzeczywistości filmów. Nie miałam pojęcia, że ludzie zachowują się tak również w prawdziwym życiu.

* * *

Babcia Michała jest najbardziej przekonującą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam. Idealnie sprawdziłaby się w polityce. Jej zdolności dyplomatyczne w połączeniu z widokiem ogromnej ilości domowego jedzenia ujawniły istnienie gigantycznej czarnej dziury w moim żołądku. W efekcie wcisnęłam w siebie tyle, że teraz nie mogę się ruszać.

Leżymy więc na poddaszu, w obitej drewnem sypialni. Lampka nocna rzuca przymgłone, nienachalne światło. Ja siłą woli próbuję zmusić żołądek do przetrawienia zatrważającej liczby pierogów, a Michał wpatruje się we mnie z niegasnącym uśmiechem. Jego piaskowa, lniana koszula w kontakcie z wełnianą narzutą wygląda niemal nierzeczywiście.

— Dziękuję, że po mnie przyjechałeś — mówię cicho, przyciągając go mocniej do siebie.

— Było aż tak źle? — pyta, wplatając palce w moje włosy.

Gdy nie odpowiadam, kciukiem drugiej dłoni ociera łzę, która mimowolnie

popłynęła po moim policzku.

— Mam nadzieję, że nie musiałaś na mnie długo czekać.

— A czy dwadzieścia siedem lat to długo?

Usta chłopaka rozciągają się w szerokim uśmiechu. Przymykam oczy, gdy zaczyna niespiesznie znaczyć pocałunkami drogę od mojego ucha aż po podbródek.

— Chyba mnie nie polubiła — mamroczę.

Odsuwa się, nie kryjąc zaskoczenia.

— Kto? Babcia?! Przecież sama widziałaś, że najchętniej by cię adoptowała!

Kręcę przecząco głową.

— Miałam na myśli twoją siostrę — wyjaśniam.

— To nie tak. — Odwraca wzrok, nieznacznie marszcząc brwi. — Daj jej po prostu trochę czasu, żeby mogła oswoić się z tą sytuacją. Dobrze wiesz, że nie miała najłatwiejszego dzieciństwa, więc nie ma się co dziwić, że nie jest zbyt ufna.

— Tak jak jej starszy brat — mówię, zanim dociera do mnie, co być może pragnął mi w ten sposób przekazać. — Czeka, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jestem pierwszą dziewczyną... — urywam, bojąc się wypowiedzieć swoje wątpliwości na głos.

Przez chwilę patrzy na mnie ze zdziwieniem, po czym wybucha śmiechem.

— Nie martw się, nie jesteś moją drugą połówką. Trzecią ani czwartą też nie — oświadcza, nie przestając szczerzyć zębów w uśmiechu. — Zresztą, osobiście uważam tę teorię za kompletną bzdurę. Po pierwsze, zakłada naszą niekompletność. A mnie się wydaje, że sami powinniśmy tworzyć spójną całość, żeby móc zbudować z kimś jakąś sensowną więź. Poza tym, gdyby faktycznie druga osoba stanowiła naszą brakującą połówkę, po kilku związkach nie zostałyby z nas nawet cząstka — przerywa, by odchrząknąć. — Ale jeśli

pytasz, czy jesteś pierwszą kobietą, którą przedstawiłem siostrze, to odpowiedź brzmi: tak. Choć to kompletnie nieuzasadnione, może czuć się odrobinę zazdrosna.

— Jaka ja jestem głupia... — jęczę, chowając twarz w dłoniach. — Przez to, że niepotrzebnie uniosłam się honorem, zepsułam tej biednej dziewczynie święta.

— Głuptasie, niczego nie zepsułaś. — Łapie mnie za nadgarstki, zmuszając do spojrzenia sobie w oczy. — Przecież proponowałem ci, żebyś przyjechała tu ze mną, pamiętasz? Ale uparłaś się, że nie możesz uciekać przed własną rodziną. Cieszę się, że tutaj jesteś, słyszysz?

— Ale nie zawsze tak było — mówię niechętnie.

Rzuca mi pytające spojrzenie.

— Wiesz, jest jedna rzecz, która wciąż nie daje mi spokoju. — Obracam się na bok, podpierając głowę na zgiętej w łokciu ręce. — Zgadza się z tobą, że miłość od pierwszego wejrzenia to banał, wyłącznie kwestia hormonów, ale... Dlaczego na początku naszej znajomości byłeś wobec mnie taki... taki obojętny?

— Nie chciałem, żebyś widywała się ze mną dla zabicia czasu. — Nachyla się, by odgarnąć z mojej twarzy pasmo włosów, które wydostało się z delikatnego upięcia. — Żebyś trzymała moją dłoń tylko dlatego, że jest cieplejsza od twojej. Zależało mi na tym, by być twoim świadomym wyborem. — Opuszki jego palców przesuwają się wolno od moich skroni aż po pokryte gęsią skórą ramiona, muskając po drodze kącik ust. — Zresztą klienci nie powinni patrzeć, jak zalecam się do dziewczyny.

— Nie zalecałeś się — zauważam, z całych sił starając się, by Michał nie usłyszał drzenia w moim głosie.

— Teraz to robię. — Zamyka moje usta pocałunkiem, który jest jak powietrze po burzy, świeże i subtelnie naelektryzowane. Po chwili się

odsuwa, jednak na tyle nieznacznie, że wciąż czuję na twarzy ciepło jego przyspieszonego oddechu. — Swoją drogą, pamiętaj, że wkrótce sylwester. To najdłuższa noc w roku, bo trwa aż dwa lata — dodaje, poprawiając niesforny kosmyk, który znów przysłonił mi oczy. — Po tym czasie będziesz mogła bez wyrzutów sumienia się we mnie zakochać.

Wtulam się w niego, odwracając głowę, by ukryć uśmiech. Przez okno dachowe zerkam na niebo. W miejscu, gdzie jeszcze kilka godzin temu były same chmury, teraz dostrzegam gwiazdy. Świecą tak jasno, że widzę je, nawet gdy zacisnę powieki.

— Skoro już tak się sobie spowiadamy, to... — zaczyna niepewnie Michał, odsuwając się, by spojrzeć mi w oczy. — Może wytłumaczysz mi wreszcie, o co pokłóciłyście się z Idą?

Nieruchomieję, zaskoczona. Wiedziałam, że kiedyś przyjdzie moment, gdy będę musiała mu o tym opowiedzieć, ale chyba nie jestem jeszcze gotowa na tę rozmowę.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? Kobiety kłócą się o pierdoły — rzucam beznamiętnie.

— Nie wy. — Milknie na moment. — Ale w porządku. Nie masz ochoty, to nie mów.

— Wiesz, gdyby chodziło o mnie, to dałabym jej wygrać... Zawsze daję — oznajmiam, po czym obracam się na plecy i wbijam wzrok w sufit. — Tym razem jednak posprzeczałyśmy się o kogoś, kogo ona nawet nie zna. Tak naprawdę nie ma o czym mówić. Może kiedyś, przez moment, było. Za ledwie okamgnienie, ale teraz... Teraz nie ma. I tak długo, jak zależy to ode mnie, nie będzie. — Zerkam na niego spod zmrużonych powiek, zastanawiając się, czy cokolwiek z tego zrozumiał. — Czy takie wyjaśnienie ci wystarczy?

— Samo patrzeć na ciebie, jak to mówisz, mi wystarczy. — Poprawia ramiączko, które niby przypadkowo zsunęło się poniżej mojego obojczyka. —

Naprawdę chciałem, żebyś tu ze mną przyjechała, wiesz?

— Wiem — odpowiadam niepewnie, obserwując, jak chłopak się podnosi.

— A na dowód tego, że to nie tylko słowa, mam coś dla ciebie.

— Poważnie? — Unoszę się na łokciach.

— Poczekaj chwilkę.

Zbliża się do szafy, po czym ostrożnie wyciąga z niej jakiś duży, prostokątny przedmiot, owinięty w brązowy papier pakowy. Odwracając się z uśmiechem, mówi:

— Zamierzałem go jakoś ładnie zapakować, ale skoro zaczęłaś z tymi swoimi dalekimi od prawdy teoriami, to nie było sensu czekać na złote gwiazdki i renifery.

— Michał, co to jest? — pytam ze śmiechem, po czym nagle smutnieję. — Strasznie mi głupio... Byłam pewna, że zobaczymy się dopiero po świętach, więc mój prezent dla ciebie został we Wrocławiu — bąkam.

— Chciałem poprawić ci humor, a ty znów narzekasz... — Wzdycha. — Kochanie, musisz zacząć myśleć prostymi zdaniem, zamiast ciągle nadużywać tych złożonych. — Kąciki jego ust unoszą się nieznacznie. — Nie patrz tak, tylko chodź do mnie.

Podnoszę się z łóżka, po czym podbiegam do niego i przytulam się mocno do jego pleców.

— Ja po prostu wolę głęboko się zanurzać, zamiast pływać po powierzchni. Przyzwyczajenie z sekcji pływackiej — mruczę. — Tak samo jak z basenem mam z myślami, ale obiecuję, że postaram się nad tym popracować. — Biorę głęboki wdech, po czym szepczę: — Dziękuję za prezent.

Obraca się, mówiąc z udawanym wyrzutem:

— Nawet nie zobaczyłaś, co jest w środku!

Kucam więc i delikatnie rozrywam opakowanie. Dostrzegając znajomą feerię barw, która wyłania się spod warstw papieru, głośno wciągam

powietrze. Gdy zauważam, co przedstawia obraz, tak podobny do tego wiszącego w salonie Idy, do moich oczu napływają łzy.

— Zobacz, ktoś namalował tę piękną scenerię specjalnie dla nich — zaczyna Michał, siadając obok mnie na podłodze. — I wcale niczego im nie ułatwił, bo choć mają cały park tylko dla siebie, to tonie on w deszczu. Wnioskując po tym, jak mocno lśni chodnik, widzimy, że nie jest to ciepła, letnia mżawka, tylko potężna ulewa.

— Michał...

— Mimo to zamiast parasola trzymają swoje ręce — ciągnie, nie dając mi dojść do słowa. — Stoją plecami do nas, więc możesz sobie wyobrazić, że to Humphrey Bogart i Lauren Bacall wybrali się na przechadzkę. Chociaż wydaje mi się, że ona nigdy nie miała aż tak długich włosów... Zresztą palenie w parku jest jak domaganie się klimatyzatora w saunie — kompletnie bez sensu, a Bacall raczej długo by bez fajki nie wytrzymała. W każdym razie pamiętaj, że dla mnie i tak to zawsze będziemy my.

Przenoszę wzrok z obrazu na Michała i z powrotem, nie mogąc uwierzyć, że zapamiętał tak wiele szczegółów z moich bezsensownych monologów. A tym bardziej, że zadał sobie trud, by odszukać autora wspomnianego niegdyś przeze mnie *A Date With The Rain*, a następnie znalazł w jego twórczości niemal identyczne, lecz mające zupełnie inny wydźwięk dzieło.

— No dobra, to było całkiem romantyczne — przyznaję, podnosząc się z podłogi.

— Poczekaj, aż ci powiem, jak brzmi tytuł tego obrazu. — Śmieje się i również wstaje.

Zerkam na niego pytająco, a wtedy on podchodzi do mnie i obejmuje mnie w pasie, patrząc mi głęboko w oczy.

— *When Dreams Come True* — szepcze z ustami przy moich wargach.

— Mój Boże, jakie to banalne... — mamrocze, oddając pocałunek.

Chłopak śmieje się cicho. Nie odrywając się od moich ust, chwytając mnie mocno w talię i lekko unosi. Zanim zdążę zareagować, leżę na plecach z rękami nad głową, a zewsząd otacza mnie ciepły, korzenny zapach.

* * *

Godzinę później Michał wolno zapina koszulę, leniwie się uśmiechając.

— Jeśli chodzi o Amelię... — Jak gdyby nigdy nic wraca do przerwanej rozmowy. — Istnieje jeden niezawodny sposób na przebicie się przez jej mur obronny. Chcesz zobaczyć?

Przytakuję, po czym obserwuję z zaciekawieniem, jak zeskakuje z łóżka i wychodzi, zostawiając uchylone drzwi. Pokój dziewczyny znajduje się naprzeciwko, więc już po chwili słyszę ciche pukanie.

— Ami, zapomniałem ci powiedzieć, że gdy byłaś po południu u Izy, upiekłem szarlotkę. Z bezą, taką jak lubisz. Może masz ochotę zjeść z nami?

Choć siostra pozostaje niewzruszona, Michał się nie poddaje.

— Szkoda. W zamrażarce są lody waniliowe, a ja zrobiłem nawet sos karmelowy, ale nic, trudno... Najwyżej się zmarnuje.

Dźwięk otwieranych z impetem drzwi i wesoły śmiech dziewczyny, kiedy zbiega ze schodów, kierując się w stronę kuchni, nie pozostawiają wątpliwości co do finału sprawy.

Chwilę później w progu sypialni pojawia się Michał. Opiera się o futrynę, puszczając do mnie oczko. Kręcąc głową z uśmiechem, po czym podnoszę się z łóżka i wciągając przez głowę sukienkę. Wygladzając łatwo gniotący się materiał, zerkam w stronę opartego o szafę obrazu.

— To chyba faktycznie jesteśmy my — stwierdzam, by następnie przeciągnąć się z zadowoleniem. — Bacall nie włożyłaby takiej żółtej kurteczki.

— Skąd wiesz, skoro najlepsze filmy z nią są czarno-białe?

Wzruszam ramionami.

— Po prostu wiem.

Michał śmieje się, wyciągając dłoń w moim kierunku. Bez wahania ją chwytam, po czym podążam w ślad za nim, rozmyślając nad tym, czy czarne dziury wolą pochłaniać światło, czy szarlotkę.

* * *

Z płytkiego snu wyrywa mnie ciche skrzypnięcie drzwi. Wnioskując po pozycji słońca zagląającego do pokoju przez odsłonięte okno, domyślam się, że od jego wschodu minęło zaledwie kilkanaście minut. Spod półprzymkniętych powiek patrzę, jak Michał ostrożnie stąpa po drewnianej podłodze, omijając trzeszczące deski. W rękach trzyma dwa parujące kubki. Ich zawartość pachnie równie intensywnie jak pierwsze americano, które zaserwował mi kilka miesięcy temu.

Podchodzi do parapetu i stawia na nim kawę. Jeden kubek pokryty jest takimi samymi słonecznikami jak wczorajsze talerze. Drugi jest niemal identyczny, ale zamiast żółtych kwiatów ozdabiają go szkarłatne maki. Przesyłam chłopakowi w myślach niemą prośbę, by zostawił mi ten pierwszy.

Delikatnie uchyla drzwi balkonowe. Poranne słońce zaczęło nieśmiało rozpuszczać sople lodu, więc dobiega mnie cichy odgłos kapania. Michał wyciąga z tylnej kieszeni paczkę papierosów i staje w progu, zapalając jednego. Bezwiednie zerka w moją stronę. Lekko się uśmiecha, zaciągając się dymem. Opiera głowę o framugę, po czym ostrożnie bierze łyk kawy z kubka z makami.

Słońce ledwo weszło, a ja już pragnę chwalić dzień.

NIE WIDUJĄC GWIAZD

AGATA PIECHOTA

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO